

*Astrid Lindgren*



**Bracia Lwie Serce**

NASZA KSIĘGARNIA

Przełożyła  
TERESA CHŁAPOWSKA

**Astrid Lindgren** (ur. 1907 w Vimmerby), pisarka szwedzka, uważana za klasyka literatury dziecięcej, jest autorką kilkudziesięciu książek tłumaczonych na liczne języki obce i czytanych przez dzieci na całym niemal świecie.

Twórczość jej charakteryzuje wielkie bogactwo gatunków literackich, konwencji i stylu. Pisze m.in. baśnie, utwory fantastyczne i powieści realistyczne. Czasami łączy różne konwencje, a zawsze czyni to w sposób mistrzowski, bezbłędnie trafiając do wyobraźni i uczuć dziecka.

Sławę i pozycję pisarki oryginalnej i znakomitej przyniósł jej cykl książek o Fizi Pończoszance, każda zaś następna książka sławę tę umacniała. Można bez najmniejszej przesady powiedzieć, że jest najbardziej znaną pisarką dziecięcą na świecie. Za swoją twórczość dla dzieci otrzymała wiele nagród i odznaczeń, m.in.: Medal im. Hansa Christiana Andersena, Wielki Złoty Medal Akademii Szwedzkiej, Szwedzką Nagrodę Państwową. Dzieci polskie uhonorowały ją Orderem Uśmiechu. Książka „Bracia Lwie Serce” wyróżniona została międzynarodową Nagrodą Literacką im. Janusza Korczaka.

W języku polskim ukazały się następujące jej książki: „Dzieci z Bullerbyn”, „Nils Paluszek”, „Rasmus i włóczęga”, „Rasmus, ry-cerz Białej Róży”, „Karlsson z dachu”, „Fizia Pończoszanka”, „Fi-zia Pończoszanka wchodzi na pokład”, „Fizia Pończoszanka na Południowym Pacyfiku”, „Zwierzenia Britt-Mari”, „Emil ze Smalandii”, „Mio, mój Mio”, „Lotta z ulicy Awanturników”, „Dlaczego ką-piesz się w spodniach, wujku”, „Detektyw Blomkvist”. Napisana w 1973 roku książka „Bracia Lwie Serce” jest piękną, przejmującą opowieścią łączącą elementy baśni literackiej i mrocznej średniowiecznej sagi rycerskiej. Bohaterami jej są dwaj bracia, którzy w fantastycznej krainie Nangijali walczą w obronie tamtejszego ludu z podłym tyranem i pozostającym w jego służbie potwornym smokiem. Niesamowite, dramatyczne przygody obu chłopców rozgrywają się w malowniczej, lecz groźnej scenerii górskiej, owiane nastrojem tajemniczości i bohaterstwa.

Ale „Bracia Lwie Serce” to książka nie tylko o niezwykłych przy-godach — to wspinała, głęboko wzruszająca książka o męstwie, umiłowaniu wolności, poświęceniu, przełamywaniu własnych słabości i o wielkiej miłości braterskiej, zdolnej zwyciężyć nawet śmierć.

**W.S.**

## Rozdział 1

Chciałbym opowiedzieć wam o moim bracie. Nazywa się Jonatan Lwie Serce i o nim właśnie będzie ta historia. Mnie się ona wydaje prawie baśnią i nawet trochę, troszeczkę, opowieścią o duchach, a przecież wszystko w niej jest prawdą. Tyle tylko, że nikt o tym nie wie poza mną i Jonatanem.

Jonatan nie nazywał się Lwie Serce od początku. Miał na nazwisko Lew, tak samo jak mama i ja. Nazywał się Jonatan Lew. Ja nazywam się Karol Lew, a mama Sigfrida Lew. Tatuś nazywał się Axel Lew, ale zostawił nas, jak ja miałem zaledwie dwa lata, poszedł pływać po morzach i potem nie słyszeliśmy o nim już więcej.

Ale teraz chcę opowiedzieć, jak do tego doszło, że mój brat Jonatan stał się Jonatanem Lwie Serce. No i o tych wszystkich dziwnych rzeczach, które się potem zdarzyły.

Jonatan wiedział, że ja niedługo umrę. Chyba wszyscy to wiedzieli prócz mnie. Wiedzieli nawet w szkole, bo przeważnie leżałem w łóżku i kaszlałem, i ciągle byłem chory, a przez ostatnie półrocze w ogóle nie mogłem chodzić do szkoły. Wszystkie ciocie<sup>1</sup>, którym mama szyje suknie, też wiedziały. Jedna z nich rozmawiała o tym z mamą i ja słyszałem, co mówiły, chociaż wcale tak nie miało być, bo one myślały, że śpię. A ja tylko leżałem z zamkniętymi oczami. I dalej tak leżałem, żeby nie zobaczyły, że usłyszałem to coś, co było okropne: że niedługo mam umrzeć. Zmartwiłem się oczywiście i strasznie się przeraziłem, ale nie chciałem, żeby mama coś zauważyła. Potem rozmawiałem o tym z Jonatanem, jak wróciłem do domu.

— Wiesz, że mam umrzeć? — spytałem i rozplakałem się.

Jonatan zastanawiał się przez chwilę. Może wolał nie odpowiadać mi, ale w końcu powiedział:

— Tak, wiem.

Wtedy zacząłem jeszcze bardziej płakać.

— Przecież to okropne. Jak tak może być — pytałem — żeby niektórzy ludzie musieli umierać nie mając nawet dziesięciu lat?

— Wiesz co, Sucharku, nie wydaje mi się, żeby to było takie okropne. Myślę, że będzie ci wspaniale. — Wspaniale? — zdziwiłem się. — Czy to wspaniale leżeć w ziemi i nie żyć?

— E, tam. To jest tak, jakby tylko twoja skorupa leżała. A ty odfruniesz całkiem gdzie indziej.

— Dokąd? — spytałem, bo zupełnie nie mogłem mu uwierzyć.

— Do Nangijali — powiedział Jonatan.

Do Nangijali. Rzucił to słowo tak, jak gdyby każdy człowiek je znał. Ale ja nigdy jeszcze go nie słyszałem. — Nangijala? — zapytałem. — Gdzie to jest? Wtedy Jonatan powiedział, że nie wie dokładnie, że gdzieś po drugiej stronie gwiazd. I zaczął opowiadać o Nangijali w taki sposób, że miało się prawie ochotę natychmiast tam pofrunąć.

— Tam są jeszcze czasy ognisk i bajek — dodał. — To ci się spodoba.

Mówił, że z Nangijali pochodzą wszystkie bajki, bo właśnie tam takie rzeczy się dzieją i ten, kto się tam znajdzie, ma przygody od rana do wieczora, a nawet w nocy.

— Wiesz, Sucharku — mówił — to będzie co innego niż leżeć tu i kaszleć, i chorować, i nigdy nie móc się bawić. Jonatan nazywał mnie Sucharkiem. Nazwał mnie tak, kiedy jeszcze byłem całkiem mały, a jak któregoś razu spytałem dlaczego, powiedział, że dlatego, że bardzo lubi sucharki, zwłaszcza takie jak ja. Jonatan naprawdę mnie lubił i to było dziwne. Bo ja nigdy niczym innym nie byłem, jak tylko dosyć brzydkim i dosyć głupim, zastrachanym chłopcem na krzywych nogach,

---

<sup>1</sup> W Szwecji dzieci także do obcych osób dorosłych mówią: ciociu, wujku.

i w ogóle. Spytałem go, jak może lubić takiego brzydkiego i głupiego chłopca z krzywymi nogami, i w ogóle, a on wtedy powiedział:

— Gdybyś nie był takim miłym, małym wymoczkiem na krzywych nogach, to nie byłbyś moim Sucharkiem, którego lubię.

Tego jednak wieczoru, kiedy tak bardzo bałem się umrzeć, powiedział, że jak tylko znajdę się w Nangijali, od razu będę zdrowy i silny, a nawet piękny.

— Taki piękny jak ty? — spytałem.

— Piękniejszy — odpowiedział Jonatan.

Kiedys jedna z tych ciotek, którym mama szyje, powiedziała:

— Droga pani Lew, ma pani syna, który wygląda jak królewicz z bajki.

Możecie mi wierzyć, że nie mnie miała na myśli!

Jonatan rzeczywiście wyglądał jak królewicz z bajki. Jego włosy błyszcząły zupełnie jak złoto, miał ciemno-niebieskie, cudne oczy, bardzo świecące, śliczne, białe zęby i całkiem proste nogi.

I nie tylko to. Był też miły i silny, wszystko potrafił, wszystko rozumiał, był najlepszy w klasie i wszystkie dzieci z podwórza biegały za nim wszędzie, gdzie szedł, i chciały być z nim, a on obmyślał im różne zabawy i chodził z nimi na różne wyprawy pełne przygód, a ja nigdy nie mogłem brać w tym udziału, bo leżałem całymi dniami na kanapie w kuchni. Ale Jonatan o wszystkim mi opowiadał po powrocie do domu, o wszystkim, co robił, co widział, słyszał czy przeczytał. Mógł bez końca siedzieć przy mnie na brzegu kanapy i opowiadać. Jonatan też spał w kuchni, na łóżku, które przynosił wieczorem ze składziku. A jak już leżał, dalej opowiadał mi bajki i różne historie, aż wreszcie mama wołała z pokoju:

— Cicho już! Karolek musi spać!

Ale trudno spać, jak się wciąż kaszle. Czasem Jonatan wstawał w środku nocy i robił mi wodę z miodem na złagodzenie kaszlu. Taki był kochany.

Tego wieczoru, kiedy bardzo bałem się umrzeć, siedział przy mnie kilka godzin i rozmawialiśmy o Nangijali, dość cicho, żeby mama nie słyszała. Jak zwykle, zajęta była szyciem — trzymała maszynę do szycia w pokoju, tam gdzie spała — bo trzeba wam wiedzieć, że my mieliśmy tylko pokój z kuchnią. Drzwi do pokoju były otwarte i słyszeliśmy, jak mama śpiewa tę co zawsze piosenkę o marynarzu daleko na morzu. Chyba myślała wtedy o tatusiu, tak mi się zdaje. Nie pamiętam dobrze tej piosenki, przypominam sobie tylko kilka wierszy:

*Jeśli umrę na morzu, moja miła,  
może któregoś wieczoru  
przyleci do twojej chatki  
śnieżnobiała gołębica.  
Wtedy pośpiesz do okna,  
bo to moja dusza  
chce chwilę odpocząć  
w drogich objęciach.*

Myślę, że to ładna, smutna piosenka, ale Jonatan roześmiał się i powiedział:

— Wiesz, Sucharku, ty może też przyfruniesz do mnie któregoś wieczoru. Z Nangijali. I usiądziesz na oknie jak śnieżnobiała gołębica. Zrób tak, proszę cię!

Właśnie zacząłem kaszleć, więc posadził mnie i objął, jak zwykle, kiedy było bardzo źle. I zaśpiewał:

*Wtenczas, Sucharku, będę wiedział,  
że to twoja dusza  
chce chwilę odpocząć  
w drogich objęciach...*

Dopiero wtedy przyszło mi na myśl, jak by to było smutno znaleźć się w Nangijali bez Jonatana. Jaki byłbym samotny bez niego. Co z tego, że słyszałbym mnóstwo bajek i miałbym mnóstwo przygód, gdyby Jonatana nie było. Bałbym się tylko i nie wiedziałbym co robić.

— Nie chcę tam iść — powiedziałem i rozplakałem się. — Chcę być tam, gdzie ty, Jonatanie!

— Dobra, ale ja się też kiedyś znajdę w Nangijali, rozumiesz?

— Tak, kiedyś — obruszyłem się. — Może będziesz żył dziewięćdziesiąt lat, a ja przez ten czas będę tam sam!

Wtedy Jonatan powiedział, że w Nangijali nie ma czasu w takim sensie, jak tu na ziemi. Gdyby nawet żył dziewięćdziesiąt lat, to mnie by się wydawało, że minęły najwyżej dwa dni. Bo tak jest, jak nie ma prawdziwego czasu.

— Przecież dwa dni wytrzymasz sam — mówił. — Możesz włączyć na drzewa i rozpałać ognisko w lesie, i siedzieć z wędką nad jakąś małą rzeczka, i robić wszystko to, za czym tak bardzo tęsknisz. I właśnie jak będziesz wyciągał okonia, ja przyfrunę, a ty powiesz: „Nie może być! Już tu jesteś, Jonatanie?”

Spróbowałem przestać płakać, bo pomyślałem, że przez dwa dni będę mógł wytrzymać.

— Ale wyobraź sobie, jak by to było dobrze, gdybyś ty się tam znalazł pierwszy i ty byś tam siedział z wędką — powiedziałem.

Jonatan był tego samego zdania. Długo na mnie patrzył, bardzo miło, jak zawsze. Widziałem, że jest smutny, bo powiedział bardzo cicho, jakby z bólem:

— A ja tymczasem będę musiał żyć na świecie bez mojego Sucharka. Może nawet dziewięćdziesiąt lat!

Tak się nam wtedy wydawało!

## Rozdział 2

Teraz dochodzę do tego, co takie ciężkie. Do tego, o czym nie mam siły myśleć. I o czym nie potrafię przestać myśleć. Mogło przecież, tak być, że mój brat Jonatan dalej by mieszkał ze mną i siedział przy mnie wieczorem, i opowiadał różne rzeczy, i chodził do szkoły, i bawił się z dziećmi na podwórzu, i robił mi wodę z miodem, i tak dalej. Ale tak nie jest... tak nie jest!

Jonatan jest teraz w Nangijali.

Ciężko mi, nie mogę, nie, nie mogę tego opowiedzieć! Tak potem napisali w gazecie:

*Wczoraj wieczorem niedaleko ulicy Wiciokrzewu wybuchł gwałtowny pożar, powodując całkowite spłonięcie starego, drewnianego domu oraz śmierć jednej osoby. Gdy ogień powstał, w mieszkaniu na drugim piętrze znajdował się sam, chory i leżący w łóżku dziesięcioletni chłopiec, Karol Lew. Chwilę później wrócił do domu jego trzynastoletni brat Jon-tan i zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, rzucił się do płonącego wnętrza, by ratować brata. Tymczasem cała klatka schodowa w jednej chwili stanęła w płomieniach, a odcięty przez ogień pozostawało jedynie wyskoczyć przez okno. Przerażeni ludzie, którzy tłumnie zgromadzili się przed domem, musieli bezsilnie patrzeć, jak trzynastolatek wziął brata na plecy i mając za sobą płomienie, bez namysłu wyskoczył przez okno. Padając na ziemię chłopiec doznał tak silnych obrażeń, że prawie natychmiast zmarł. Natomiast młodszy brat, którego przy upadku ochroniły plecy starszego, wyszedł cało. Matka chłopców, krawcowa z zawodu, była w tym czasie u klientki i po powrocie do domu dostała silnego szoku. Przyczyny powstania pożaru nie są znane.*

Na innej stronie gazety było więcej o Jonatanie. Napisała o nim jego pani ze szkoły. Napisała tak:

*Drogi Jonatanie Lew, czy nie powinieneś raczej nazywać się Jonatan Lwie Serce? Pamiętasz może, jak czytaliśmy w podręczniku do historii o odważnym królu angielskim Ryszardzie Lwie Serce i ty powiedziałeś wtedy: „I pomyśleć sobie, że ktoś może być tak odważny, że piszą o nim potem w podręczniku do historii. Ja bym takim nigdy nie potrafił być”. Kochany Jonatanie, nawet jeżeli nie będą o tobie pisać w podręcznikach do historii, to w tym decydującym momencie byłeś przecież odważny, ty też byłeś bohaterem. Twoja pani ze szkoły nigdy cię nie zapomni, twoi koledzy też będą cię długo pamiętali. Pusto będzie w klasie bez naszego wesołego, pięknego Jonatana. Lecz ci, których kochają bogowie, umierają młodo. Odpoczywaj w pokoju, Jonatanie Lwie Serce!*

Greta Andersson

Dość głupia była ta pani z klasy Jonatana, ale bardzo go lubiła, jak zresztą wszyscy. I dobrze, że wymyśliła tego Lwie Serce, to był naprawdę dobry pomysł!

Chyba nie ma w całym mieście człowieka, który by nie żałował Jonatana i nie uważał, że byłoby lepiej, gdybym ja umarł zamiast niego. Tak przynajmniej zrozumiałem z tego, co mówiły te różne ciotki, które tu przylatują z materiałami, muślinami i innymi szmatami. Wzdychają, patrzą na mnie przechodząc przez kuchnię i mówią do mamy:

„Biedna pani Lew! Akurat właśnie Jonatan, który był taki wyjątkowy!”

Mieszkamy teraz w domu obok naszego dawnego. Dokładnie w takim samym mieszkaniu, tylko że na parterze. Dostaliśmy trochę używanych mebli z opieki społecznej i trochę od ciotek. Leżę na kanapie prawie takiej samej, jak moja dawna. Wszystko jest prawie tak, jak dawniej. Ale też wszystko, dokładnie wszystko jest inaczej niż dawniej! Bo nie ma już Jonatana. Nikt przy mnie nie siedzi wieczorem i nie opowiada, jestem taki samotny, że aż w piersi boli. I mogę tylko szeptać sobie te słowa, które Jonatan powiedział tuż przed śmiercią. Wtedy, kiedy po wyskoczeniu z okna

spadliśmy na ziemię. On najpierw leżał twarzą do ziemi, ale ktoś go odwrócił i zobaczyłem jego twarz. Trochę krwi sączyło mu się z kącika ust i prawie nie mógł mówić. Ale mimo to spróbował jakby się uśmiechnąć i wydobył z siebie tych kilka słów: „Nie płacz, Sucharku, zobaczymy się w Nangijali!”

Tyle tylko powiedział, nic więcej. Potem zamknął oczy i ludzie przyszli go zabrać, i już go nigdy więcej nie zobaczyłem.

Tego, co potem się działo, nie chciałem pamiętać. Ale nie można zapomnieć czegoś tak okropnego i złego. Leżałem na kanapie i myślałem o Jonatanie, aż mi prawie głowa pękała, i nikt nie potrafiłby bardziej tęsknić, niż ja wtedy tęskniłem za nim. I bałem się. Przychodziło mi na myśl, że a nuż to nieprawda z tą Nangijalą! A nuż to tylko taka jakaś zabawna historia, Jonatan tyle ich wymyślał! Bardzo wtedy dużo płakałem.

Ale potem Jonatan przyszedł mnie pocieszyć. Tak, naprawdę! Ach, jakie to było cudowne! Wszystko zrobiło się znów prawie jak dawniej. Widocznie zrozumiał, tam w Nangijali, jak ja się czuję bez niego, i uznał, że musi mnie rozweselić. Dlatego przyszedł do mnie i teraz przestałem już być smutny, i tylko czekam.

Stało się to jakiś czas temu, wieczorem. Leżałem w łóżku, sam w domu, i płakałem za nim, i bałem się, i czułem się nieszczęśliwy i chory, i bardziej biedny, niż to się da opisać. Okno w kuchni było otwarte, bo teraz są ciepłe i ładne wiosenne wieczory. Słyszałem gołębie gruchające na dworze. Bardzo ich jest dużo na podwórzu i na wiosnę bez przerwy gruchają.

I wtedy przyszedł.

Leżałem i płakałem z głową wciśniętą w poduszkę, a tu słyszę gruchanie, całkiem blisko. Podniosłem oczy i widzę, że siedzi na parapecie gołębica i patrzy na mnie miłym wzrokiem. Śnieżnobiała gołębica, zauważcie, nie żadna taka szara, jak te z podwórza! Śnieżnobiała gołębica! Nikt nie zrozumie, co poczułem, jak ją zobaczyłem. Bo było dokładnie tak, jak w piosence: *...może któregoś wieczoru przyfrunie do twojej chatki śnieżnobiała gołębica* Zdawało mi się, że znów słyszę, jak Jonatan śpiewa: *Wtenczas, Sucharku, będę wiedział, że to twoja dusza...*

Ale teraz on do mnie przyszedł zamiast ja do niego. Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem. Leżałem tylko i przysłuchiwałem się, jak gołębica grucha, a za tym gruchaniem czy w środku gruchania, czy jak tam powiedzieć, słyszałem głos Jonatana. Tylko że brzmiał inaczej. Było tak, jakby jakieś szepty przenikały całą kuchnię. Wszystko prawie jak w jakiejś historii o duchach i może ktoś mógłby się wystraszyć, ale ja się nie wystraszyłem. Zamiast tego ucieszyłem się tak bardzo, że chciało mi się skakać pod sufit. Bo wszystko, co usłyszałem, było po prostu cudowne.

Oczywiście, jasna rzecz, to była prawda, to o Nangijali! Jonatan chciał, żebym tam przyszedł jak najprędzej, bo tam jest tak dobrze! Pomyślcie tylko! Czekał tam na niego dom, dostał w Nangijali całkiem własny dom! Mówił, że to stara zagroda, zwana Zagrodą Jeźdźców, i że leży w Dolinie Wiśni, czy to nie cudowna nazwa? I jeszcze, wyobraźcie sobie, pierwsza rzecz, którą zobaczył, jak przyszedł do tej zagrody, to była mała tabliczka na furtce, a na niej było napisane pięknymi, drukowanymi literami: „Bracia Lwie Serce”.

— Co oznacza, że obaj będziemy tam mieszkali — powiedział Jonatan.

W każdym razie ja też będę się nazywał Lwie Serce, jak się tam znajduję. Cieszę się z tego, bo bardzo chcę nazywać się tak samo jak Jonatan, nawet jeżeli nie jestem taki odważny jak on.

— Przyjdź jak najszybciej — powiedział. — Jeżeli nie będzie mnie w Zagrodzie Jeźdźców, to znaczy, że łowię ryby nad rzeką.

Potem zrobiło się cicho i gołębica odfrunęła. Prosto nad dachami. Z powrotem do Nangijali.

A ja tymczasem leżę na kanapie i czekam, żeby pofrunąć za nią. Mam nadzieję, że nie będzie za trudno znaleźć to miejsce. Jonatan mówi, że wcale nie jest trudno. Na wszelki wypadek zapisałem adres:

*Bracia Lwie Serce  
Zagroda Jeźdźców  
Dolina Wiśni  
Nangijala*

Teraz minęły już dwa miesiące, jak Jonatan tam mieszka sam. Musiałem żyć bez niego przez dwa długie, okropne miesiące. Ale ja też niedługo będę w Nangijali. Jeszcze trochę i też tam pofrunę. Może dziś w nocy. Mam takie uczucie, że to może się zdarzyć dziś w nocy. Napiszę kartkę i zostawię na stole w kuchni, żeby mama ją znalazła, jak się jutro rano obudzi.

Na kartce będzie napisane tak:

**NIE PLĄCZ, MAMUSIU!  
ZOBACZYMY SIĘ W NANGIJALI!**



## Rozdział 3

No i potem stało się to. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się nic tak dziwnego. Nagle znalazłem się po prostu przed furtką i zobaczyłem napis na zielonej tabliczce: „Bracia Lwie Serce”.

Jak tam przyszedłem? Kiedy pofrunąłem? Jak znalazłem drogę, nikogo nie pytając? Nie wiem. Wiem tylko, że nagle stałem tam i czytałem napis na furtce.

Zawołałem na Jonatana. Wołałem kilka razy, ale nie odpowiadał. Wtedy przypomniało mi się, że pewnie siedzi nad rzeką i łowi ryby.

Pobiegłem. Taką wąską ścieżką w stronę rzeki. A na dole, na moście siedział Jonatan. Zobaczyłem mojego brata, jego włosy błyszcząły w słońcu. Nawet gdybym spróbował o tym opowiedzieć, to i tak nigdy nie potrafiłbym wytłumaczyć, co wtedy poczułem.

Nie zauważył, że przyszedłem. Spróbowałem zawołać: „Jonatanie!”, ale musiałem widocznie płakać, bo wyszedł z tego tylko taki mały, dziwny pisk. Ale Jonatan usłyszał, że wołam. Podniósł głowę i zobaczył mnie. Najpierw jakby nie poznał, że to ja. Potem krzyknął coś, rzucił wędkę, przybiegł i objął mnie, tak jakby chciał stwierdzić, że naprawdę jestem. Płakałem już wtedy tylko troszeczkę, nie wiem nawet dlaczego, bo przecież nie miałem powodu. Chyba tylko dlatego, że tak bardzo za nim tęskniłem.

Jonatan śmiał się. Staliśmy na stoku nad rzeką, obejmowaliśmy się i było nam tak wesoło, że nie da się tego opisać. Dlatego, że znów byliśmy razem.

Wtedy Jonatan powiedział:

— A więc, Sucharku Lwie Serce, nareszcie tu jesteś!

Sucharek Lwie Serce — dosyć głupio to brzmiało, więc wybuchnęliśmy śmiechem. Potem śmialiśmy się coraz bardziej i bardziej, tak jakby to była najzabawniejsza nazwa, jaką kiedykolwiek słyszeliśmy, a właściwie śmialiśmy się tylko dlatego, że chcieliśmy się z czegoś śmiać, bo aż się w nas gotowało ze szczęścia. Kiedyśmy się śmiali już tak, że więcej nie można, zaczęliśmy się mocować, wcale nie przestając się śmiać, ach, skąd, śmialiśmy się dalej tak bardzo, że przewróciliśmy się w trawę i tarzaliśmy się w niej pękając ze śmiechu, aż w końcu od tego śmiania się wpadliśmy do rzeki i wtedy śmialiśmy się już tak strasznie, że myślałem, że się utopimy.

Ale zamiast tego zaczęliśmy pływać. Nigdy nie umiałem pływać, chociaż bardzo chciałem się nauczyć. Teraz umiałem od razu. Pływałem doskonale.

— Jonatanie, umiem pływać! — krzyknąłem.

— Naturalnie, że umiesz — odpowiedział. I wtedy przyszło mi coś do głowy.

— Jonatanie, zauważyłeś jedną rzecz? Wcale już nie kaszlę.

— Jasne, że nie kaszlesz — odpowiedział Jonatan. — Jesteś teraz w Nangijali.

Pływałem w kółko dłuższą chwilę, a potem wdrapałem się na most. Stałem całkiem mokry, woda ściekała z ubrania, spodnie przyklejały się do nóg — i wtedy zobaczyłem wyraźnie, że coś się zmieniło. Możecie mi wierzyć albo nie, ale moje nogi były całkiem proste, zupełnie takie jak nogi Jonatana!

Przyszło mi wobec tego na myśl, że a nuż jestem też piękny? Spytałem o to Jonatana. Niech zobaczy, czy nie zrobiłem się ładniejszy.

— Popatrz w lustro — odpowiedział. Myślał oczywiście o rzece. Woda płynęła spokojnie i tak lśniła, że można się było w niej przeglądać. Położyłem się na brzuchu na moście i spojrzałem w

dół, nad krawędzią. Zobaczyłem swoje odbicie w wodzie, ale nie zauważyłem w sobie jakiejś specjalnej urody. Jonatan przyszedł i położył się obok mnie, i długo leżeliśmy patrząc na Braci Lwie Serce w dole, w wodzie, na pięknego Jonatana ze złotymi włosami i zielonymi oczami, i tą jego śliczną twarzą, i na mnie z moim chudym pyszczkiem i wiszącymi kosmykami, i w ogóle.

— Nie, nie widzę, żebym był ładniejszy — powiedziałem. Ale Jonatan uważał, że jest duża różnica w porównaniu z tym, co było.

— Wyglądasz zdrowo — stwierdził.

Obmacałem się dokładnie i poczułem, że jestem zdrowy i wesoły w każdej Części ciała. Po co mi w takim razie uroda? I bez niej moje ciało było takie szczęśliwe, jakby się całe śmiało.

Leżeliśmy jeszcze chwilę w ciepłym słońcu i przypatrywaliśmy się rybom, które pływały tam i z powrotem pod mostem.

Potem Jonatan chciał, żebyśmy poszli do domu, chciałem i ja, rzecz jasna, bo byłem ciekaw tej Zagrody Jeźdźców, gdzie od tej pory miałem mieszkać.

Jonatan szedł przede mną ścieżką pod górę, w stronę zagrody, a ja za nim na moich pięknych, prostych nogach. Wpatrywałem się w nie i czułem, jak dobrze się na nich idzie. Kiedy uszliśmy kawałek pod górę, odwróciłem głowę. I wtedy — wtedy nareszcie zobaczyłem Dolinę Wiśni. Ach, jak w niej było wszędzie białe od kwiatów! Była biała i zielona — od wiśniowych kwiatów i zielonej, bardzo zielonej, trawy. Przez tę zieleń i biel płynęła rzeka jak srebrna wstążka. Dlaczego wcale tego nie zauważyłem przedtem, czyżbym widział tylko Jonatana? Stałem jak wryty na ścieżce i patrzyłem.

— To chyba najpiękniejsza dolina na ziemi — powiedziałem do Jonatana.

— Tak, ale nie na ziemi — odpowiedział. I wtedy przypomniałem sobie, że jesteśmy w Nangijali. Dolinę Wiśni otaczały wysokie góry, i to też było piękne. Z ich stromych stoków spływały ku dolinie potoki i wodospady, radośnie rozśpiewane, bo przecież mieliśmy wiosnę. I powietrze było jakieś niezwykle. Takie czyste i dobre, że miało się ochotę je pić.

— Przydałoby się kilka kilo tego powietrza u nas w domu, w naszym mieście — powiedziałem, bo przypomniało mi się, jak swego czasu tęskniłem za świeżym powietrzem, wtedy na kanapie w kuchni, gdzie chyba go w ogóle nie było.

Ale tu miałem je i wdychałem, ile tylko mogłem. Tak jakby mi go było wciąż za mało.

— Mógłbyś trochę dla mnie zostawić! — roześmiał się Jonatan.

Ścieżka, po której szliśmy, była usłana białym kwiatem wiśni, nad nami też wirowały białe, delikatne płatki, obsypując nam włosy i ramiona. Ach, jak ja lubię małe, zielone ścieżki pokryte płatkami kwiatów, jak bardzo lubię! Na końcu ścieżki była Zagroda Jeźdźców z zieloną tabliczką na furtce.

— Bracia Lwie Serce — przeczytałem głośno. — Więc to tu będziemy mieszkali!

— Tak, pomyśl tylko, Sucharku — powiedział Jonatan. — Czy to nie wspaniałe?

Naturalnie, że wspaniałe! Rozumiałem, dlaczego Jonatan tak uważał. Ja też nigdy bym nie potrafił wymyślić miejsca, gdzie chętniej bym mieszkał niż tu.

Była to stara, biała chata, wcale nie duża, z zielonymi narożnikami, zielonymi drzwiami i kawałkiem zielonej ziemi dookoła, na której rosły pierwiosnki, skalnice i sto-krotki. Były tam też bzy i drzewa wiśniowe w pełnym rozkwicie, a naokoło tego wszystkiego biegł kamienny mur, niski, szary murek, na którym rosły różowe kwiaty. Można go było przeskoczyć bez najmniejszego trudu, ale jak się już weszło za furtkę, to jednak ten murek jakby ochraniał przed wszystkim z zewnątrz i miało się uczucie, że się jest u siebie i tylko dla siebie.

Były zresztą dwie chaty, a nie jedna, chociaż ta druga bardziej przypominała stajnię czy coś w tym rodzaju. Do-tykały się narożnikami, a w kącie między ich ścianami stała stara ławka, jakby z epoki kamiennej. Przyjemna w każdym razie ławka i przyjemny kącik, miało się ochotę usiąść na niej i trochę pomyśleć, i porozmawiać, i popatrzeć na małe ptaszki, i może napić się soku czy czegoś takiego.

— Podoba mi się tu — powiedziałem do Jonatana. Był już w drzwiach i chciał wejść do chaty, ale wtem usłyszeliśmy rzenie. Tak, to naprawdę rżał koń! Jonatan powiedział:

— Zobaczmy najpierw stajnię!

Poszedł do drugiej chaty, a ja pobiegłem za nim, wyobrażacie sobie, jakim pędem!

Była to prawdziwa stajnia, dokładnie taka, jak myślałem. Stały w niej dwa konie, dwa śliczne, gniade konie, które obróciły ku nam łby i zarżały, gdyśmy weszli.

— To Grim i Fialar — przedstawił je Jonatan. — Zgadnij, który z nich jest twój!

— Nie, daj spokój — powiedziałem. — Nie próbuj mi wmówić, że jakiś koń należy do mnie, i tak w to nie uwierzę.

Ale Jonatan powiedział, że w Nangijali nie można sobie dać rady bez konia.

— Bez konia nigdzie się nie dostaniesz. A tu, Sucharku, trzeba czasem pojechać bardzo daleko.

Od dawna nie słyszałem równie dobrej wiadomości — że w Nangijali musi się mieć konia! Bo ja strasznie lubię konie! Mają takie miękkie pyski, nie rozumiem, jak w ogóle może istnieć coś tak miękkiego!

To była para wyjątkowo ładnych koni. Fialar miał białą strzałkę na czole, poza tym nie różniły się od siebie.

— Może Grim jest mój? — powiedziałem, bo Jonatan chciał, żebym zgadywał.

— Nie trafiłeś. Twój jest Fialar!

Pozwoliłem Fiakrowi powąchać mnie, poklepałem go i nic a nic się nie bałem, mimo że przedtem rzadko kiedy dotykałem konia. Od razu go polubiłem i on na pewno też mnie polubił, tak przynajmniej uważałem.

— Mamy jeszcze króliki — powiedział Jonatan. — W klatce za stajnią. Ale możesz je zobaczyć później.

Co on sobie wyobrażał!

— Muszę je zobaczyć teraz, natychmiast! — zawołałem. Zawsze bardzo chciałem mieć króliki, a w domu, w mieście, nie można ich trzymać.

Prędko pobiegłem za stajnię, a tam, w klatce, siedziały co najmniej trzy małe, rozkoszne króliki i chrupały liście mleczu.

— To dziwne — powiedziałem później do Jonatana — tu w Nangijali jest wszystko, co się kiedykolwiek chciało mieć.

— Owszem. Mówiłem ci przecież, że tak właśnie tu jest — odpowiedział Jonatan.

I było rzeczywiście dokładnie tak, jak mówił wtedy, kiedy siedział przy mnie na kanapie w kuchni. Teraz mogłem stwierdzić, że wszystko się zgadza, i bardzo się z tego cieszyłem.

Są pewne rzeczy, których się nigdy nie zapomina. Nigdy, przenigdy nie zapomnę tego pierwszego wieczoru w kuchni w Zagrodzie Jeźdźców, jak było cudownie i jakie to było uczucie móc leżeć i rozmawiać z Jonatanem dokładnie tak, jak kiedyś. Teraz znowu mieszkaliśmy w kuchni, jak zawsze przedtem. Z jedną tylko różnicą, że ta kuchnia nie przypominała naszej w domu, w mieście.

Kuchnia w Zagrodzie Jeźdźców musiała być chyba bardzo, bardzo stara, miała grube bale w suficie i duże, otwarte palenisko. Jakie palenisko! Zajmowało prawie całą ścianę, a jak się chciało coś ugotować, to trzeba było to robić wprost nad ogniem, zupełnie tak, jak za dawnych czasów. Na środku podłogi stał najsolidniejszy stół, jaki w życiu widziałem, z długimi, drewnianymi ławami po bokach, i myślę, że co najmniej dwadzieścia osób mogło przy nim siedzieć i razem jeść wcale się nie tłocząc. — Najlepiej, żebyśmy zamieszkali w kuchni, jak zwykle — powiedział Jonatan. — Mama będzie mogła zająć pokój, jak przyjdzie.

Pokój i kuchnia — to była cała chata w Zagrodzie Jeźdźców, ale nie byliśmy przyzwyczajeni do niczego więcej i wcale nie potrzebowaliśmy więcej. Było i tak chyba ze dwa razy tyle miejsca, co u nas w domu.

Ach, prawda, u nas w domu! Opowiedziałem Jonatanowi o kartce, którą zostawiłem mamie na stole w kuchni. — Napisałem jej, że zobaczymy się w Nangijali. Tylko że nie wiadomo, kiedy ona tu przyjdzie.

— To może potrwać — powiedział Jonatan. — Ale dostanie dobry pokój z miejscem na dziesięć maszyn do szycia, gdyby chciała.

Może byście spróbowali zgadnąć, co lubię? A więc lubię leżeć na staroświeckiej, drewnianej ławie w staroświeckiej, starej kuchni i rozmawiać z Jonatanem, i widzieć, jak blask ognia pełga po ścianach, a za oknem gałąź wiśni kołysze się lekko w wieczornym wietrzyku. Ogień w palenisku pomału wygasa, zostaje tylko żar, w kątach robi się ciemno, a ja jestem coraz bardziej senny i tak sobie leżę, i nie kaszlę, a Jonatan opowiada mi różne historie. Opowiada i opowiada, aż w końcu zamiast jego głosu słyszę już tylko jakby jakieś szeptanie i wtedy zasypiam. Właśnie to wszystko lubię i właśnie tak dokładnie było tego pierwszego wieczoru w Zagrodzie Jeźdźców. Dlatego nigdy tego nie zapomnę.

## Rozdział 4

Potem był ranek następnego dnia. Jeździliśmy konno. Tak, umiałem jeździć, mimo że pierwszy raz siedziałem na koniu. Nie rozumiem, jak to się dzieje w Nangijali, że wszystko się potrafi. Galopowałem tak, jakbym nigdy nic innego nie robił.

A jak Jonatan jeździł! Ta jego pani ze szkoły, która uważała, że Jonatan wygląda jak królewicz z bajki, powinna była widzieć go, jak pędzi na koniu przez łąki w Dolinie Wiśni, wtedy zobaczyłaby królewicza z bajki i nigdy by tego nie zapomniała! Ach, kiedy zjawiał się w pełnym galopie i jednym susem przesadzał rzekę, jakby po prostu przefruwał nad nią, z włosami na wietrze, wtedy można było naprawdę uwierzyć, że jest królewiczem z bajki. Był zresztą ubrany prawie jak królewicz albo może raczej jak rycerz. W Zagrodzie Jeźdźców mnóstwo było ubrań, trudno powiedzieć skąd, ale nie takich, jak się dziś nosi, tylko takich właśnie rycerskich. Znalazły się i odpowiednie dla mnie, a moje stare, brzydkie łachy wyrzuciłem, żeby ich już nigdy więcej nie widzieć. Jonatan powiedział, że musimy być tak ubrani, żeby pasować do czasów, w których teraz żyjemy, bo inaczej ludzie w Dolinie Wiśni myśleliby, że jesteśmy jacyś dziwni. Jonatan opowiadał mi kiedyś o czasach ognisk i bajek, więc kiedyśmy teraz jechali sobie w pięknych, rycerskich strojach, zapytałem go:

— Żyjemy tu w Nangijali w strasznie dawnych czasach, prawda?

— Można tak w pewnym sensie powiedzieć — wyjaśnił. — Dla nas są to oczywiście bardzo dawne czasy. Ale można też uważać, że to są nowe czasy.

Namysłał się przez chwilę.

— Tak, właśnie tak — mówił dalej. — Nowe, zdrowe i dobre czasy, w których się łatwo i przyjemnie żyje. Ale zaraz oczy mu pociemniały.

— Przynajmniej tu, w Dolinie Wiśni — dodał.

— Gdzie indziej jest inaczej? — zapytałem. Jonatan odpowiedział, że w innych miejscach może być inaczej.

Co za szczęście wobec tego, żeśmy tu trafili! Właśnie tu, do Doliny Wiśni, gdzie według Jonatana życie było takie łatwe i przyjemne. Nie mogło być nic łatwiejszego, przyjemniejszego i zabawniejszego niż taki ranek jak ten. Najpierw budzi cię w kuchni promień słońca, który wpada przez okno i ćwierkanie wesołych ptaszków w drzewach na dworze i widzisz Jonatana, jak cicho przychodzi i stawia ci na stole chleb i mleko, a kiedy już zjesz, idziesz nakarmić króliki i wyczyścić zgrzeblem swojego konia. A potem wyjeżdżasz na nim, ach, wyjeżdżasz sobie, a w trawie jest rosa, wszędzie się błyszczy i świeci, trzmielce i pszczoły brzęczą w kwiatkach wiśni, koń rusza galopem, a ty prawie wcale się nie boisz. Pomyśl tylko, nie boisz się nawet tego, że to się nagle skończy, jak zwykle wszystko, co przyjemne. Ale nie w Nangijali! W każdym razie nie tu, w Dolinie Wiśni!

Długo jeździliśmy po dolinie, to tu, to tam, potem puściliśmy się ścieżką wzdłuż rzeki, bardzo krętą, i nagle zobaczyliśmy w dole poranne dymy we wsi. Najpierw tylko dymy, a potem całą wieś ze starymi chatami i zagrodami. Usłyszeliśmy pianie kogutów i szczekanie psów, beczenie kóz i owiec, takie prawdziwe poranne odgłosy. Wieś widocznie dopiero co się przebudziła.

Ścieżką w naszą stronę szła jakaś kobieta z koszykiem na ręku. Kobieta ze wsi najwyraźniej, ani młoda, ani stara, coś tak pośrodku, opalona jak ktoś, kto jest na dworze w każdą pogodę. Ubrana była po staroświecku, tak mniej więcej jak w bajkach.

— Ach, Jonatanie, więc przyszedł nareszcie twój brat! — przywitała nas z przyjaznym uśmiechem.

— Tak, przyszedł — odpowiedział Jonatan głosem, w którym usłyszałem radość.

— Sucharku, to jest Sofia —dodał, a Sofia skinęła głową.

— Tak, Sofia — powtórzyła. — Dobrze, że was spotkałam. Możecie w takim razie sami wziąć koszyk. Jonatan wziął koszyk, jakby to była zwykła sprawa, bez pytania, co w nim jest.

— Mam nadzieję, że przyprowadzisz dziś wieczorem twojego brata do „Złotego Koguta”, żeby go wszyscy mogli powitać — powiedziała Sofia.

Jonatan obiecał, że to zrobi, a potem pożegnaliśmy się z nią i wróciliśmy do domu. Spytałem Jonatana, co to jest ten „Złoty Kogut”.

— To karczma pod taką nazwą — odpowiedział. — Na dole we wsi. Spotykamy się tam i rozmawiamy o rzeczach, o których musimy rozmawiać.

Spodobała mi się myśl, że będę mógł pójść wieczorem do karczmy i zobaczyć, jakiego rodzaju ludzie mieszkają w Dolinie Wiśni. Chciałem wszystko wiedzieć o tej dolinie i o Nangijali. Chciałem przekonać się, że wszystko jest tak, jak mówił Jonatan. Poza tym przyszła mi na myśl jedna sprawa, o której przypomniałem teraz Jonatanowi, podczas gdyśmy jechali.

— Jonatanie, mówiłeś, że w Nangijali ma się przygody od rana do wieczora i nawet w nocy, pamiętasz? A tu jest tak spokojnie, żadnych w ogóle przygód.

Jonatan roześmiał się.

— Zapominasz, żeś dopiero wczoraj tu przyszedł. Ledwo tu nos wsadziłeś, głuptasie. Jeszcze ci się niejedna przygoda przytrafi, zobaczysz.

Odpowiedziałem, że jak się nad tym tak naprawdę zastanawiam, to już samo to, co tu mamy w Zagrodzie Jeźdźców, konie, króliki i tak dalej, już samo to jest cudowną przygodą. Więc właściwie nic więcej nie potrzebuję. Jonatan spojrzał na mnie bardzo dziwnie, jakby mnie żałował. A potem powiedział:

— Wiesz, Sucharku, życzyłbym ci, żebyś tak właśnie miał, jak teraz. Tylko tak. Bo niestety są przygody, których nie powinno być, możesz mi wierzyć.

Po powrocie do domu Jonatan rozpakował na stole koszyk Sofii. Był w nim chleb, butelka mleka, dzbanuszek z miodem i trochę naleśników.

— Sofia zaopatruje nas w jedzenie? — zdziwiłem się. Jeszcze się nie zdążyłem zastanowić bliżej nad tym, w jaki sposób będziemy się tu żywili.

— Czasami — odpowiedział Jonatan.

— Całkiem za darmo?

— Za darmo, no, może i tak można to nazwać — powiedział. — W Dolinie Wiśni wszystko jest za darmo. Jedni drugim wszystko dają i pomagają sobie wzajemnie w miarę potrzeb.

— A ty dajesz coś Sofii? — spytałem.

Jonatan znów się roześmiał.

— Oczywiście. Między innymi nawóz koński na jej grządki. Zajmuję się nimi całkiem za darmo.

Potem dodał tak cicho, że ledwo dosłyszałem:

— Zresztą oddaję jej też szereg innych usług. Zauważyłem, że jeszcze coś wyjął z koszyka. Był to mały kawałek zwiniętego papieru. Rozwinął go i przeczytał, co na nim było napisane. Nie spodobało mu się to widocznie, bo zmarszczył czoło. Ale mnie nic nie powiedział, a ja nie chciałem pytać. Doszedłem do wniosku, że na pewno powie, jak będzie chciał, żebym wiedział. W rogu kuchni stał stary kredens. Zaraz pierwszego wieczoru Jonatan powiedział, że w tym kredensie jest skrytka, której nikt nie może znaleźć ani otworzyć, jeżeli nie zna sposobu. Chciałem natychmiast ją zobaczyć, ale Jonatan powiedział, że kiedy indziej, że na razie mam iść spać.

Zasnąłem bardzo szybko i o wszystkim zapomniałem, ale teraz znów mi się to przypomniało. Dlatego, że Jonatan podszedł do kredensu i usłyszałem krótkie, dziwne stuknięcie. Nietrudno było się domyślić, o co chodzi: Jonatan schował zwitek papieru do skrytki, zamknął kredens i położył klucz w starym moździerzcu na najwyższej półce w kuchni.

Potem poszliśmy się kąpać. Ja nawet skakałem do wody z mostu. Miałem odwagę, wyobraźcie sobie! Jonatan zrobił mi wędkę, taką samą jak jego, i nałowiliśmy trochę ryb. Tyle tylko, żeby nam starczyło na obiad. Ja złowiłem sporego okonia, Jonatan dwa.

Ugotowaliśmy ryby w kuchni na otwartym palenisku, w garnku, który wisiał na żelaznym łańcuchu nad ogniem.

Gdyśmy zjedli, Jonatan powiedział:

— Zobaczmy teraz, Sucharku, czy umiesz strzelać do celu. To się może czasem przydać.

Zaprowadził mnie do stajni, gdzie w siodłami wisiały dwa łuki. Domyśliłem się, że sam je zrobił, bo zawsze robił łuki dla dzieci z podwórza, u nas w domu. Ale te były większe i lepsze, taki naprawdę dobry sprzęt.

Zawiesiliśmy tarczę na drzwiach stajennych i strzelaliśmy do celu całe popołudnie. Jonatan pokazał mi, na czym to polega, i nawet całkiem dobrze mi szło — no, nie tak jak jemu, naturalnie, bo Jonatan trafiał za każdym razem w sam środek.

Zabawna rzecz z tym Jonatanem. Chociaż wszystko robił o wiele lepiej ode mnie, wcale nie uważał, żeby w tym było coś nadzwyczajnego. Nigdy się nie przechwalał, robił wszystko tak, jakby wcale o tym nie myślał. Wydaje mi się, że czasem nawet chciał, żeby mnie się udało lepiej niż jemu. Raz jeden ja też trafiłem w sam środek i wtedy bardzo się ucieszył, zupełnie jakbym mu ofiarował prezent. Kiedy zaczął zapadać zmrok, Jonatan powiedział, że teraz czas, żebyśmy się wybrali do karczmy „Złoty Kogut”. Zagwizdaliśmy na Grima i Fialara. Konie chodziły sobie luzem po łące koło Zagrody Jeźdźców, ale na nasze gwizdanie natychmiast przygalopowały do furtki. Osiodłaliśmy je, wskoczyliśmy na nie i powoli pojechaliśmy do wioski.

Nagle ogarnął mnie strach i onieśmienie. Nie byłem przyzwyczajony do spotykania ludzi, zwłaszcza takich jak ci, co mieszkali tu, w Nangijali. Powiedziałem o tym Jonatanowi.

— Czego się boisz? — spytał. — Nie przypuszczasz chyba, że jest tam ktokolwiek, kto by ci źle życzył? — Nie, nie o to mi chodzi, ale oni się może będą ze mnie śmiali.

Zdałem sobie sprawę, że to, co mówię, brzmi głupio, bo dlaczego by się mieli ze mnie śmiać? Ale ja wciąż wyobrażałem sobie takie rzeczy.

— Wiesz — powiedział Jonatan — powinniśmy teraz nazywać cię Karolem, odkąd masz nazwisko Lwie Serce. Sucharek Lwie Serce — to by ich może rozśmieszyło.

Sam przecież śmiałeś się z tego do rozpuku i ja też. Owszem, nie miałem nic przeciwko temu, żeby mnie nazywano Karolem. To na pewno lepiej pasowało do mojego nowego nazwiska.

— Karol Lwie Serce — spróbowałem. — Oto jadą Karol i Jonatan Lwie Serce.

Owszem, dobrze to brzmiało.

— Ale dla mnie dalej będziesz moim dawnym Sucharkiem — powiedział Jonatan. — Pamiętaj!

Wkrótce znaleźliśmy się we wsi, konie szły główną ulicą i głośno stukwały kopytami. Łatwo było znaleźć cel naszej wyprawy. Już z daleka doszły nas śmiechy i rozmowy. Zobaczyliśmy szyld z dużym, pozłacanym kogutem. Tak, to był „Złoty Kogut”, taka stara, sympatyczna karczma, o jakich piszą w książkach. W małych okienkach świeciło się przytulnie. Nabrałem ochoty, by spróbować, na czym polega pójście do karczmy. Nigdy dotąd nie byłem w karczmie.

Najpierw wjechaliśmy na podwórze i uwiązaliśmy Grima i Fialara obok mnóstwa innych koni, które już tam stały. Jonatan miał rację, że w Nangijali trzeba mieć konia. Tego wieczoru chyba wszyscy ludzie z całej Doliny Wiśni przyjechali do „Złotego Koguta”, bo gdyśmy się pojawili, przy bufecie było bardzo tłoczno. Mężczyźni i kobiety, dorośli i dzieci, wszyscy ze wsi tam byli, siedzieli i rozmawiali wesoło, choć co prawda niektóre małe dzieci pozasypiały już na kolanach rodziców. Jakie się zrobiło poruszenie, gdyśmy weszli!

— Jonatan! — krzyczano. — Przyszedł Jonatan! Gospodarz karczmy sam w swojej osobie — a był to duży, czerwony na twarzy i dość przystojny mężczyzna — wołał tak głośno, że słycać go było mimo ogólnej wrzawy. — Idzie Jonatan! Patrzcie, i jego brat z nim! Idą obaj bracia Lwie Serce!

Podszedł do nas, podniósł mnie i postawił na stole, żeby wszyscy mogli mnie zobaczyć, a ja zaczerwieniłem się aż po uszy.

Jonatan powiedział:

— To mój najukochańszy brat, Karol Lwie Serce! Nareszcie tu przybył! Macie być mili dla niego, równie mili jak dla mnie.

— Możesz na nas liczyć — zapewnił gospodarz i zdjął mnie ze stołu.

Przytrzymał mnie chwilę w ramionach i poczułem, jaki jest silny.

— My dwaj — powiedział — na pewno będziemy równie dobrymi przyjaciółmi, jak ja z Jonatanem. Nazywam się Jossi. Choć wołają na mnie raczej Złoty Kogut. A do „Złotego Koguta” możesz przychodzić, kiedy tylko zechcesz, pamiętaj o tym, Karolu Lwie Serce.

Sofia też tam była. Siedziała przy stole całkiem sama. Usiedliśmy z Jonatanem przy niej i zdaje mi się, że ucieszyła się z tego. Uśmiechnęła się miło i zapytała, czy podoba mi się mój koń, a także czy Jonatan mógłby przyjść któregoś dnia i pomóc jej w ogrodzie. Potem zamilkła i zauważyłem, że jest zatroskana z jakiegoś powodu. Zauważyłem też coś jeszcze. Wszyscy patrzyli na Sofię jakby trochę ze złością, a jak ktoś wychodził, zawsze kłaniał się w stronę naszego stołu, zupełnie tak, jakby jej osoba była czymś wyjątkowym. Nie mogłem zrozumieć dlaczego. A ona, jak zwyczajna kobieta ze wsi, siedziała trzymając brązowe, spracowane dłonie na kolanach, w zwykłym ubraniu, z chustką na głowie. Zastanawiałem się, co w niej jest takiego nadzwyczajnego.

Zabawnie było tego wieczoru w karczmie. Śpiewaliśmy bardzo dużo piosenek, niektóre już przedtem znałem, innych nie. Wszyscy byli weseli. Ale czy na pewno? Miałem chwilami wrażenie, że trapią ich jakieś ukryte zmartwienia, tak samo jak Sofię. Jakby co jakiś czas coś im się przypominało. Coś, czego się boją. A przecież Jonatan mówił, że tu, w Dolinie Wiśni, życie jest łatwe i przyjemne. Czego się w takim razie bali? Śpiewali i śmiali się, i można było pomyśleć, że wszyscy się lubią i są dobrymi przyjaciółmi. A chyba najbardziej lubili Jonatana. Zupełnie tak samo jak u nas w domu, w mieście. Wszyscy go lubili. I Sofię też.

Mimo to, kiedyśmy już mieli wracać do domu i wyszliśmy na podwórze, żeby odwiązać konie, zapytałem:

— Jonatanie, co to takiego jest z Sofią?

Wtedy usłyszeliśmy tuż przy nas nieprzyjemny głos:

— Właśnie. Co to właściwie jest z Sofią? Od dawna mnie to zastanawia.

Na podwórzu było ciemno, więc nie wiedziałem, kto to powiedział. Ale potem poznałem go, kiedy stanął w świetle padającym z okna. To był ten mężczyzna, który siedział nie opodal nas w karczmie. Miał rude, kręcone włosy i krótką, rudą brodę. Zwróciłem na niego wtedy uwagę, bo wyglądał, jakby przez cały czas był zły, i wcale z nami nie śpiewał.



— Kto to? — spytałem Jonatana, kiedy wyjeżdżaliśmy stępa przez bramę.

— Nazywa się Hubert. I doskonale wie, co jest z Sofią.

Pojechaliśmy do domu. Był chłodny wieczór, jasny od gwiazd. Nigdy nie widziałem tylu gwiazd i tak świecących. Próbowałem zgadnąć, która jest gwiazdą ziemi.

— Gwiazda ziemi — powiedział Jonatan — ach, ona wędruje gdzieś daleko, daleko w przestrzeni, nie dojrzysz jej stąd.

Wydało mi się to trochę smutne.

## Rozdział 5

Nadszedł dzień, kiedy i ja się dowiedziałem, co jest z Sofią. Któregoś ranka Jonatan oznajmił:

— Pójdziemy dziś na chwilę do królowej gołębi.

— Świetnie — ucieszyłem się. — A kto to jest?

— Sofia — odpowiedział Jonatan. — Królową gołębi nazywam ją tylko żartem.

Krótko potem miałem zrozumieć dlaczego.

Do Zagrody Tulipanów, gdzie mieszkała Sofia, był kawałek drogi. Jej chata stała na skraju Doliny Wiśni, tuż pod wysokimi górami.

Przyjechaliśmy tam konno wczesnym rankiem. Sofia właśnie karmiła gołębie. Widząc je przypomniałem sobie tę białą gołębicę, która usiadła kiedyś na parapecie okiennym u nas w domu. To było chyba z tysiąc lat temu!

— Pamiętasz? — szepnąłem do Jonatana. — Czy to nie jedna z tych gołębic pożyczyła ci wtedy swoich piór, jak byłeś u mnie?

— Tak — odpowiedział. — Inaczej nie mógłbym przyjść. Tylko gołębie Sofii potrafią frunąć przez niebiosa na każdą odległość.

Gołębie otaczały Sofię jak biała chmura, a ona stała bez ruchu wśród trzepoczących skrzydeł. Tak właśnie musi wyglądać królowa gołębi, pomyślałem.

Dopiero teraz zobaczyła, żeśmy przyjechali. Przywitała nas miło, jak to ona, ale nie była wesola. Była nawet bardzo smutna i zaraz powiedziała po cichu do Jonatana:

— Wczoraj wieczorem znalazłam martwą Violantę ze strzałą w piersi. Na górze, w Parowie Wilków. Wiadomości nie było.

Jonatanowi oczy pociemniały. Nigdy go nie widziałem takiego, tak rozgoryczonego. Nie poznawałem go ani nawet jego głosu.

— Więc jest tak, jak przypuszczałem — powiedział. — Mamy zdrajcę w Dolinie Wiśni.

— Chyba tak — odpowiedziała Sofia. — Nie chciałam w to wierzyć. Ale teraz wierzę, że to prawda. Widać było na jej twarzy wielkie zmartwienie, mimo to jednak zwróciła się do mnie:

— Chodź, Karolu, pokażę ci, jak tu u mnie jest. Mieszkała sama w Zagrodzie Tulipanów, ze swoimi gołębiami, pszczołami i kozami. Miała też ogród, a w nim tyle kwiatów, że ledwo się można było przez nie przedostać. Podczas gdy Sofia oprowadzała mnie, Jonatan zabrał się do kopania i pielenia, jak się to robi nawiosnę w ogrodach. Przyglądałem się wszystkiemu, licznym ulom Sofii, tulipanom, narcyzom i jej ciekawskim kozom. Ale cały czas myślałem o tej jakiejś Violancie, zabitej w górach. Po krótkim czasie wróciliśmy do Jonatana, który dalej pełł. Miał już palce całkiem czarne od ziemi.

Sofia popatrzyła smutno na niego i powiedziała:

— Posłuchaj, mój mały ogrodniku, myślę, że niedługo będziesz musiał zabrać się do czegoś całkiem innego.

— Wiem — odpowiedział Jonatan.

Biedna Sofia, na pewno była jeszcze bardziej niespokojna, niż na to wyglądała. Ciągłe wypatrywała czegoś od strony gór. Wydawała się tak zatroskana, że i ja się zaniepokoiłem. Czego tak wypatrywała? Na kogo czekała? Miałem się o tym w chwilę później dowiedzieć. Bo nagle Jonatan zawołał:

— Leci! Bogu dzięki! Jest Paloma!

To leciała jedna z jej gołębic. Najpierw widzieliśmy tylko mały punkcik między szczytami górskimi, ale zaraz potem była przy nas i usiadła Sofii na ramieniu.

— Chodź, Jonatanie — powiedziała szybko Sofia.

— No, a Sucharek — to znaczy Karol? — spytał Jona-tan. — Chyba trzeba mu teraz wszystko powiedzieć.

— Oczywiście — zgodziła się Sofia. — Chodźcie obaj, prędko.

Z gołębicą na ramieniu wbiegła przed nami do chaty. Zaprowadziła nas do małej izby koło kuchni. Zaryglowała drzwi i zamknęła okiennice. Widocznie chciała mieć pewność, że nikt nas nie usłyszy i nie zobaczy, co będziemy robili. — Palomo, moja gołębiczko! — powiedziała. — Czy dziś lepszą przynosisz nowinę niż ostatnio? Wsunęła dłoń pod jej skrzydło i wyjęła maleńki woreczek, a z niego malusienki zwitek papieru, zupełnie taki sam jak ten, który Jonatan wyjął z koszyka i schował w naszym kredensie. — Czytaj, szybko! — powiedział Jonatan. — Szybko, szybko!

Sofia przeczytała. I krzyknęła.

— Złapali też Orwara! Teraz nie ma już nikogo, kto by mógł naprawdę coś zrobić.

Podawała kartkę Jonatanowi, a kiedy przeczytał, oczy mu jeszcze bardziej pociemniały.

— Zdrajca w Dolinie Wiśni — powiedział. — Kto według ciebie może być tak podły?

— Nie wiem — odpowiedziała Sofia. — Na razie nie wiem. Ale jak się dowiem, to niech go Bóg ma w swojej opiece, kimkolwiek jest.

Przysłuchiwałem się temu wszystkiemu i nic nie rozumiałem.

Sofia westchnęła.

— Opowiedz Karolowi — powiedziała. — Ja przez te czas przygotuję wam coś na śniadanie.

I zniknęła w kuchni.

Jonatan usiadł na podłodze, oparł się plecami o ścian i nic nie mówił, oglądał tylko swoje czarne od ziemi palce. W końcu odezwał się:

— Dowiesz się teraz. Bo Sofia zgodziła się, żebyś ci wtajemniczył.

Sporo mi już opowiadał o Nangijali, zanim się tam znalazłem, i później też, ale nic nie przypominało tego, a usłyszałem wtedy u Sofii.

— Pamiętasz, jak mówiłem — zaczął — że życie tu w Dolinie Wiśni, jest proste i przyjemne. Tak było i tak mogłoby być, ale teraz jest inaczej. Bo jak w tej drugiej dalszej dolinie robi się ciężko i źle, to i u nas się to odczuwa. Rozumiesz?

— Jest jeszcze jakaś inna dolina? — spytałem i wtedy Jonatan powiedział mi, że są dwie zielone doliny w Nangijali. obie śliczne, otoczone górami: Dolina Wiśni i Dolina Dzikich Róż. Wcinają się głęboko w wysokie, dzikie góry, trudne do przebycia, jeżeli się nie zna krętych, niebezpiecznych i wąskich ścieżek. Ludzie z tych dolin znają je i mogli łatwo jeździć jedni do drugich.

— Mogli dawniej — mówił Jonatan. — Bo dziś nikt się nie wydostanie z Doliny Dzikich Róż i nikt tam nie wejdzie. Tylko gołębie Sofii.

— Dlaczego? — spytałem.

— Bo Dolina Dzikich Róż nie jest już wolnym krajem. Jest w rękach wroga.

Popatrzył na mnie, jakby mu było przykro, że musi mnie straszyć.

— I nikt nie wie, co się stanie z Doliną Dzikich Róż — dodał.

Wtedy zląkłem się. Tak tu było spokojnie, więc myślałem, że nic niebezpiecznego nie może grozić w Nangijali. Ale teraz naprawdę się przestraszyłem.

— Jaki to wróg? — zapytałem.

— Nazywa się Tengil — odpowiedział Jonatan. Wymówił to imię tak, że zabrzmiało wstrętnie i niebezpiecznie.

— Gdzie on jest? — spytałem.

Wtedy Jonatan opowiedział mi o Karmaniacie, kraju położonym wysoko wśród szczytów Prastarych Gór, daleko za Rzeką Prastarych Rzek, gdzie rządził Tengil, okrutny jak wąż.

Wystraszyłem się jeszcze bardziej, ale nie chciałem tego okazać.

— Dlaczego nie siedzi w tych swoich Prastarych Górach? — spytałem. — Dlaczego musi przychodzić do Nangijali i przeszkadzać?

— Wiesz — odpowiedział Jonatan — ten, kto potrafiłby to wyjaśnić, znałby odpowiedź na wiele pytań. Nie wiem, dlaczego Tengil musi niszczyć wszystko, co istnieje. Tak po prostu jest. Żałuje ludziom życia, jakie mają w dolinach. No i potrzebuje niewolników.

Znowu zamilkł i przypatrywał się swoim dłoniom. Coś jednak mruknął, a ja dosłyszałem:

— Ten potwór ma też Katłę!

Katla! Nie wiem dlaczego, ale to zabrzmiało dla mnie jeszcze wstrętniej niż wszystko inne, co przedtem powiedział, więc zapytałem:

— Kto to jest?

Jonatan pokiwał głową.

— Nie, Sucharku, wiem, że już się boisz. O Katli nie chcę mówić, bobyś nie spał dziś w nocy.

Zamiast o Katli opowiedział mi, jak to jest z Sofią.

— Ona kieruje naszą potajemną walką z Tengilem. Walczymy przeciwko niemu, rozumiesz, żeby pomóc Dolinie Dzikich Róż. Ale musimy to robić po cichu.

— Dlaczego właśnie Sofia? — zapytałem.

— Bo jest silna i potrafi takie rzeczy. I dlatego, że nic a nic się nie boi.

— Ty też się nie boisz, Jonatanie, prawda?

Zastanawiał się chwilę, a potem powiedział:

— Nie, ja też się nie boję.

Ach, co ja bym dał, żebym był równie odważny jak Sofia i Jonatan. A tymczasem byłem tak przerażony, że ledwo mogłem się pozbierać.

— Czy wszyscy to wiedzą, o Sofii i o jej gołębiach, to, że przenoszą przez góry tajne wiadomości?

— Tylko ci, na których możemy z całą pewnością liczyć — odpowiedział Jonatan. — Ale jest wśród nich j e d n e zdrajca i to wystarczy.

Znów mu oczy pociemniały i dodał ponuro:

— Violanta, jak ją wczoraj zastrzelono, niosła tajne posłanie od Sofii. Jeżeli dostało się ono do rąk Tengila, oznacza to śmierć dla wielu mieszkańców Doliny Dzikich Róż. Było dla mnie czymś okropnym, że ktoś mógł poważnie się zastrzelić w locie białą niewinną gołębicę, nawet jeżeli przenosiła tajną wiadomość.

Wtem przypomniało mi się to, co mieliśmy w naszym kredensie. Spytałem Jonatana, dlaczego trzymamy tajne wiadomości w kredensie, czy to nie jest niebezpieczne?

--- Owszem, jest niebezpieczne — odpowiedział. — Chociaż jeszcze niebezpieczniej byłoby je trzymać u Sofii. Wywiadowcy Tengila, gdyby przyszli do Doliny Wiśni, szukaliby przede wszystkim u niej, a nie u jej ogrodnika.

Na szczęście, mówił dalej, nikt prócz Sofii nie wie, kim on naprawdę jest. Że nie tylko jest jej ogrodnikiem, ale i najbliższym współpracownikiem w walce z Tengilem.

— Sofia sama tak postanowiła — mówił. — Nie chciała, żeby ktokolwiek tu w Dolinie Wiśni o tym wiedział, i dlatego ty też musisz przysiąc, że będziesz milczał aż do dnia, kiedy Sofia sama o tym powie.

Przysiągłem, że raczej umrę, niż zdradzę cokolwiek z tego, co usłyszałem.

Zjedliśmy śniadanie u Sofii, a potem ruszyliśmy do domu.

Ale nie tylko my byliśmy tego ranka na konnej przejażdżce, był też jeszcze ktoś inny. Ktoś, kogo spotkaliśmy na ścieżce zaraz po opuszczeniu Zagrody Tulipanów. To był ten z rudą brodą, jak go zwali? Chyba Hubert.

— Aha, wracacie od Sofii — odezwał się Hubert. — Coście tam robili?

— Plewiliśmy w jej ogrodzie — Jonatan pokazał mu ubrudzone ziemią palce. — A ty pewnie polujesz? — spytał, bo Hubert trzymał łuk na kulbace.

— Tak. Chcę sobie upolować kilka dzikich królików. Przypomniały mi się nasze małe króliki u nas w zagrodzie i ucieszyłem się, kiedy Hubert odjechał i nie musiałem go więcej oglądać.

— Co o nim myślisz? — spytałem.

Jonatan zastanowił się.

— To najlepszy łucznik w całej Dolinie Wiśni.

Więcej nic nie powiedział. Ścisnął konia piętami i pojechaliśmy dalej.

Jonatan miał z sobą wiadomość, którą przyniosła Paloma, trzymał ją w małym, skórzanym woreczku pod koszulą i jak tylko przyjechaliśmy do domu, włożył paperek do skrytki w kredensie. Ale najpierw dał mi przeczytać i co na nim było napisane. A było tak:

*Orwar został wczoraj złapany. Siedzi uwięziony w Grocie Katli. Ktoś w Dolinie Wiśni musiał zdradzić jego kryjówkę. Macie u siebie zdrajcę, dowiedzcie się, kto to jest.*

— Dowiedzieć się, kto to jest! — westchnął Jonatan. - Chciałbym się dowiedzieć!

Na papierku było jeszcze coś więcej napisane, tylko że w jakimś tajemniczym języku, którego nie rozumiałem Jonatan uznał, że nie potrzebuję tego wiedzieć, że dotyczy to czegoś, co Sofia musi zbadać.

Pokazał mi za to, jak się otwiera skrytkę. Kazał mi otworzyć ją i zamknąć kilka razy. Potem sam ją zamknął, prze kręcił klucz w kredensie i włożył go z powrotem do móździerza.

Cały dzień rozmyślałem o tym, czego się dowiedziałem a w nocy źle spałem. Śnił mi się Tengil i zabite gołębie i więzień w Grocie Katli, i zacząłem tak krzyczeć przez sen, że aż się sam od tego obudziłem.

I wtedy — możecie mi wierzyć albo nie — zobaczyłem że ktoś stoi w ciemnym kącie koło kredensu, ktoś, kto się wystraszył, jak usłyszał mój krzyk i — zanim zdążyłem porządnie się przebudzić — zniknął w drzwiach jak czarny cień.

Stało się to tak szybko, że miałem prawie wrażenie, że to był po prostu tylko sen. Ale Jonatan, kiedy go obudziłem i opowiedziałem o tym, nie zgodził się ze mną.

— Nie, Sucharku, to nie żaden sen! Na pewno nie sen. To był zdrajca!

## Rozdział 6

— Wybije kiedyś ostatnia godzina Tengila — powiedział Jonatan.

Leżeliśmy w zielonej trawie nad rzeką, a był to taki ranek, że nie chciało się wierzyć w istnienie Tengila czy jakiegoś innego zła na świecie. Było całkiem cicho i spokojnie. Woda szemrała leciutko koło kamieni pod mostem, jedynie to się słyszało. Przyjemnie tak leżeć na plecach i nic nie widzieć, tylko małe, białe chmurki wysoko na niebie. Można sobie leżeć i dobrze się czuć, podśpiewywać sobie i wszystko mieć w nosie.

A tu tymczasem Jonatan zaczyna mówić o Tengilu!

Wcale nie chciałem o nim słuchać, ale mimo to spytałem:

— Co masz na myśli? Że wybije jego ostatnia godzina?

--- Że stanie się to, co z wszystkimi tyranami prędzej czy później. Zostanie zgnieciony jak wesz i zniknie na wieki.

— Mam nadzieję, że niedługo — powiedziałem.

Jonatan mruknął:

— Tengil jest silny. No i ma Katłę.

Znowu wymówił to okropne imię. Chciałem go o nią zapytać, ale dałem spokój. Lepiej nie wiedzieć o Katli w taki piękny poranek.

Ale potem Jonatan powiedział coś, co było gorsze od wszystkiego:

— Sucharku, będziesz musiał przez krótki czas zostać sam w Zagrodzie Jeźdźców. Bo ja muszę pojechać do Doliny Dzikich Róż.

Jak mógł wymyślić coś tak okropnego? Jak mógł przypuszczać, że zostanę w Zagrodzie Jeźdźców choćby jedną minutę bez niego? Jeżeli zamierza rzucić się prosto w paszczę Tengila, to ja zrobię to samo. Powiedziałem mu o tym.

Popatrzył na mnie bardzo dziwnie.

— Sucharku, mam jednego, jedynego brata, którego chcę uchronić przed wszelkim złem. Jak możesz żądać, żebym cię zabrał z sobą, kiedy ja potrzebuję wszystkich moich sił do czegoś innego? Do czegoś, co naprawdę jest niebezpieczne.

Nic mi jego słowa nie pomogły. Byłem tak zmartwiony i zły, że aż się we mnie gotowało.

— A ty — krzyknąłem — jak możesz żądać, żebym siedział sam w Zagrodzie Jeźdźców i czekał na ciebie! A może nigdy nie wrócisz?

Przypomniało mi się nagle, jak to było wtedy, kiedy Jonatan nie żył i odszedł ode mnie, a ja leżałem sam na kanapie i nie wiedziałem, czy kiedykolwiek go zobaczę. Ach, samo to wspomnienie było czymś takim, jak patrzenie w czarną, głęboką dziurę.

A teraz znów chciał mnie opuścić, po prostu zniknąć i narazić się na jakieś niebezpieczeństwa, o których nic nie wiedziałem. Gdyby nie wrócił, to już tym razem nie byłoby żadnego ratunku, to już bym na zawsze został sam. Czulem, jak złość we mnie wzbiera. Krzyknąłem na niego jeszcze ostrzej niż przedtem i powiedziałem mu tyle przykrych rzeczy, ile tylko mogłem wymyślić.

Trudno mu było uspokoić mnie. Choćby nawet trochę. Ale w końcu stało się oczywiście tak, jak on chciał. Wie działałem przecież, że wszystko rozumie lepiej ode mnie.

— Ty głuptasie — powiedział — jasne, że wrócę. To było wieczorem, siedzieliśmy w kuchni i grzaliśmy się przy ogniu. Miał wyruszyć na drugi dzień. Nie byłem już zły, tylko zmartwiony, i Jonatan wiedział o tym. Był dla mnie bardzo miły. Dał mi świeżo upieczonego chleba z masłem i miodem, opowiadał mi bajki i różne historie, ale ja nie miałem siły słuchać. Myślałem o bajce o Tengilu, chyba najbardziej ponurej ze wszystkich. Spytałem Jonatana, dlaczego musi narażać się na tyle niebezpieczeństw. Mógł przecież równie dobrze siedzieć w domu przy ogniu, w Zagrodzie Jeźdźców, i przyjemnie spędzać czas. Ale Jonatan powiedział, że są rzeczy, które trzeba robić, nawet jeżeli są niebezpieczne.

— Dlaczego? — zdziwiłem się.

— Bo inaczej nie jest się człowiekiem, tylko śmieciem — odpowiedział.

Wytłumaczył mi, co zamierza zrobić. Chce spróbować wyratować Orwara z Groty Katli. Orwar znaczy więcej niż nawet Sofia, mówił Jonatan, bez niego skończyłyby się zielone doliny Nangijali.

Był już późny wieczór. Ogień wygasł w palenisku, zapadła noc. A potem przyszedł dzień. Stałem przy furtce i patrzyłem, jak Jonatan odjeżdża na swoim koniu i ginie we mgle. Tak, tego ranka mgła okrywała Dolinę Wiśni. I wiercie mi, że gdy tak stałem i patrzyłem, jak mgła go zabiera, jak on się w niej po prostu rozplywa i znika — czułem się tak, jakby mi serce miało od tego pęknąć. Znowu zostałem sam. To było nie do wytrzymania. Jak oszalały ze zmartwienia rzuciłem się do stajni, wyprowadziłem Fialara, wskoczyłem na siodło i ruszyłem za Jonatanem. Muszę go jeszcze raz zobaczyć, zanim go stracę być może na zawsze.

Najpierw miał pojechać do Zagrody Tulipanów po rozkazy od Sofii, wiedziałem o tym i tam się skierowałem. Pędziłem jak wariat i dogoniłem go tuż przy furtce. Prawie się wtedy zawstydziłem i chciałem się schować, ale on już mnie zobaczył i usłyszał.

— Czego chcesz? — spytał.

No tak, czego ja właściwie chciałem?

— Na pewno wrócisz? — wymamrotałem, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

Wtedy podjechał tuż do mnie i nasze konie stanęły spokojnie obok siebie. Jonatan otarł mi coś z policzka wskazującym palcem, może to były łzy, i powiedział:

— Nie płacz, Sucharku. Zobaczymy się znowu, na pewno! Jeżeli nie tutaj, to w Nangilimie.

— W Nangilimie?... — zdziwiłem się. — A co to takiego?

— Opowiem ci innym razem — powiedział.

Sam nie wiem, jak wytrzymałem ten okres samotności w Zagrodzie Jeźdźców i jak mi te dni w ogóle upłynęły. Zajmowałem się, rzecz jasna, zwierzętami. Prawie cały czas spędzałem w stajni u Fialara. Długo przesiadywałem przy królikach i rozmawiałem z nimi. Trochę łowiłem ryby, kąpałem się i strzelałem do celu z mojego łuku, ale bez Jonatana wszystko wydawało się takie głupie. Sofia przynosiła mi co jakiś czas jedzenie i rozmawialiśmy o Jonatanie. Wciąż miałem nadzieję usłyszeć od niej, że „teraz już pewnie niedługo wróci”, ale Sofia nic takiego nie mówiła. Chciałem ją też zapytać, dlaczego ona sama nie wybrała się na ratunek Orwara zamiast posyłać Jonatana. Ale po co miałbym pytać? Przecież wiedziałem.

Tengil nienawidził Sofii, Jonatan mówił mi.

„Sofia w Dolinie Wiśni i Orwar w Dolinie Dzikich Róż to najgorsi wrogowie Tengila i on dobrze o tym wie, wierz mi” — powiedział wtedy, kiedy mi opowiadał o całej tej sprawie. „Orwara trzyma w Grocie Katli i tam też najchętniej by wsadził Sofię, żeby straciła siły i umarła. Ten bandyta obiecał piętnaście siwych koni każdemu, kto mu ją odda w ręce żywą czy umarłą”.

Wiedziałem o tym wszystkim od Jonatana i rozumiałem, oczywiście, dlaczego Sofia musi się trzymać z daleka od Doliny Dzikich Róż. Zamiast niej musiał tam pojechać Jonatan. O nim Tengil nic nie wiedział. Tak przynajmniej można było przypuszczać i taką mieć nadzieję. A jednak był



ktoś, kto zauważył, że Jonatan jest nie tylko pomocnikiem w ogrodzie. Ten, który był u nas w nocy, którego zobaczyłem przy kredensie. Sofia stała się niepokoiła z jego powodu.

„Ten człowiek za dużo wie” — mówiła.

Chciała, żebym natychmiast dał jej znać, gdyby ktoś znowu przyszedł szpiegować koło Zagrody Jeźdźców. Powiedziałem jej, że nikomu już nie warto dobierać się do kredensu, bo przenieśliśmy tajne papiery w inne miejsce. Trzymaliśmy je teraz w skrzyni z owsem, w siodłami. W dużej tabakierze schowanej głęboko pod ziarnem. Sofia poszła ze mną do siodłami, wyciągnęła tabakierę i włożyła do niej nowy papier. Uznała, że to dobra kryjówka, ja też tak uważałem.

— Wytrzymaj, jeżeli możesz — poprosiła odchodząc. — Wiem, że ci ciężko, ale musisz wytrzymać.

Rzeczywiście było ciężko. Zwłaszcza wieczorem i w nocy. Śniły mi się okropne rzeczy o Jonatanie, a kiedy nie spałem, niepokój o niego nie opuszczał mnie ani na chwilę. Któregoś wieczoru pojechałem do karczmy „Złoty Kogut”. Już nie wytrzymałem siedzenia w domu, taka w nim panowała cisza; aż za dobrze było słyszeć moje myśli, a nie były to myśli, które sprawiają przyjemność. Wiercie mi, że jak wszedłem do karczmy bez Jonatana, wszyscy wytrzeszczyli na mnie oczy.

— Coś takiego? — zdziwił się Jossi. — Tylko połowa braci Lwie Serce? Gdzie podziałeś Jonatana? To był trudny dla mnie moment. Pamiętałem przecież, co Sofia i Jonatan mi przykazali. Cokolwiek by się działo, miałem nikomu nie mówić o zamiarach Jonatana ani dokąd pojechał. Żadnej żyjącej istocie. Więc udąłem, że nie słyszę pytania Jossiego. Ale Hubert siedział przy swoim stole i też chciał wiedzieć.

— Właśnie, gdzie jest Jonatan? — spytał. — Chyba Sofia nie wymówiła swojemu ogrodnikowi?

— Jonatan wybrał się na polowanie — odpowiedziałem. — Jest w górach. Poluje na wilki.

Coś przecież musiałem powiedzieć i uznałem, że to dobrze wymyślone, bo Jonatan mówił, że w górach jest sporo wilków.

Tego wieczoru Sofii nie było w karczmie. Ale oprócz niej zgromadziła się tam, jak zwykle, cała wieś. Ja jednak nie śpiewałem z nimi. Dla mnie nie było tam jak zwykle. Niedobrze czułem się bez Jonatana, więc nie zostałem długo.

— Nie bądź taki smutny, Karolu Lwie Serce — powiedział Jossi, kiedy wychodziłem. — Jonatan na pewno wkrótce skończy polowanie i wróci do domu.

Ach, jakże byłem mu wdzięczny za te słowa. Pogłaskał mnie po policzku i dał mi kilka dobrych ciastek, żebym wziął z sobą.

— Możesz je pogryzać, jak będziesz siedział w domu i czekał na Jonatana — powiedział.

Miły był ten Złoty Kogut. Już przez to samo poczułem się mniej samotny.

Wróciłem z ciastkami do Zagrody Jeźdźców, usiadłem przed ogniem i zacząłem jeść.

Zrobiła się teraz ciepła wiosna, prawie lato, w każdym razie w ciągu dnia. Mimo to jednak musiałem palić w dużym palenisku, bo ciepło słoneczne nie przedostawało się jeszcze przez grube ściany naszej chaty. Poczulem zimno kładąc się na ławie, ale szybko zasnąłem. Śnił mi się Jonatan. Sen był tak przeraźliwy, że się obudziłem ze strachu.

— Tak, Jonatanie! — krzyknąłem. — Już idę! — krzyknąłem jeszcze raz i zerwałem się z posłania. W otaczającej mnie ciemności wydało mi się, że słyszę echo rozpaczliwego wołania. To był głos Jonatana. Wołał mnie przez mój sen, potrzebował pomocy. Wiedziałem o tym. Jeszcze go wciąż słyszałem i chciałem pognać prosto przed siebie, w ciemną noc, byle tylko dotrzeć do niego, gdziekolwiek się znajduje. Ale prędko zrozumiałem, że to jest zupełnie niemożliwe. Co miałem

zrobić? Nie było nikogo tak bezradnego, jak ja! Mogłem tylko wsunąć się z powrotem do łóżka i leżeć, i trząść się, i czuć się zagubionym, małym, wystraszonego i samotnym, chyba najbardziej samotnym na świecie.

I wcale tak specjalnie nie pomogło, kiedy zrobił się ranek, a potem jasny, pogodny dzień. Oczywiście, nie pamiętałem już wtedy tak dokładnie, jaki ten sen był okropny. Ale tego, że Jonatan wołał o pomoc, nie dało się zapomnieć. Mój brat wzywał mnie, czy nie muszę wobec tego wyruszyć w drogę i spróbować go odnaleźć?

Przesiadywałem godzinami u królików i zastanawiałem się, co robić. Nie miałem z kim porozmawiać ani kogo spytać. Musiałem zdecydować sam. Do Sofii nie mogłem pójść, boby mnie zatrzymała. Nigdy w życiu by mnie nie wypuściła, taka głupia nie była. Bo to, co chciałem zrobić, wydawało mi się dość niemądre. I niebezpieczne. Bardziej niebezpieczne od wszystkiego innego. A ja przecież wcale nie byłem odważny.

Nie wiem, jak długo siedziałem oparty o ścianę stajni, wrywając źdźbła, trawy. Wyrwałem wszystkie dookoła siebie, ale zauważyłem to dopiero później, nie wtedy, kiedy tak się zamartwiałem. Godziny upływały i może byłbym dalej tam siedział, gdyby nie przypomniało mi się nagle to, co powiedział Jonatan — że czasem trzeba robić rzeczy niebezpieczne, bo inaczej nie jest się człowiekiem, tylko śmieciem!

I wtedy powziąłem decyzję. Uderzyłem pięścią w klatkę z królikami, aż biedaki podskoczyły, i powiedziałem głośno, żeby nie było żadnych wątpliwości:

— Zrobię to! Zrobię! Nie jestem śmieciem!

Ach, jakie to przyjemne uczucie, kiedy się już postanowiło, co robić!

--- Wiem, że mam rację — powiedziałem do królików, bo nie było nikogo, z kim mógłbym porozmawiać. Trudno, króliki będą musiały stać się teraz dzikimi 62 królikami. Wyjąłem je z klatki, zniosłem w ramionach do furki i pokazałem im zieloną, prześliczną Dolinę Wiśni.

--- W całej dolinie pełno jest trawy — powiedziałem. — I jest też bardzo dużo innych królików, z którymi możecie się trzymać. Myślę, że będzie wam o wiele zabawniej niż w klatce, uważajcie tylko na lisy i na Huberta. Wszystkie trzy wyglądały na trochę zdziwione, podskoczyły kilka razy, jakby nie były pewne, czy to jest w porządku. Ale potem pognały wielkim pędem i zniknęły wśród zielonych wzgórz, aż się za nimi kurzyło.

Wziąłem się szybko do przygotowań. Pozbierałem to, co było do zabrania: koc, żeby się zawinąć, kiedy będę chciał spać, krzesiwo do zapalenia ognia, worek z obrokiem, pełny owsa dla Fialara, no i chlebak dla mnie. Nie miałem nic poza chlebem, ale to był ten najlepszy, okrągłe bochenki Sofii. Przyniosła mi ich niedawno całą górę, więc napchałem chlebak, ile się zmieściło. Starczy na długo, a kiedy się skończą, będę jadł trawę, tak jak króliki. Sofia miała mi następnego dnia przynieść zupę, obiecała. Ale wtedy będę już daleko stąd. Biedna Sofia, chyba sama zje tę swoją zupę. Nie mogłem jednak dopuścić do tego, żeby mnie szukała i zastanawiała się, gdzie jestem. Musi się dowiedzieć, ale dopiero, jak już będzie za późno.

Za późno, żeby mnie powstrzymać.

Wyjąłem węgielek z paleniska i napisałem na ścianie w kuchni dużymi, czarnymi literami:

Śniło mi się, że ktoś mnie woła, więc idę szukać go daleko, daleko za górami.

Napisałem tak dziwnie, bo doszedłem do wniosku, że gdyby zamiast Sofii ktoś inny przyszedł do Zagrody Jeźdźców, ktoś z zamiarem szpiegowania, to nie zrozumie, co to znaczy. Pomyśli może, że próbowałem sklecić wiersz czy coś takiego. Ale Sofia natychmiast zrozumie, o co chodzi: że wyruszyłem szukać Jonatana.

Byłem zadowolony i chociaż raz czułem się prawdziwie odważny i silny. Podśpiewywałem sobie:

— „Śniło mi się, że ktoś mnie woła, więc idę szukać go daleko, daleko za góra-a-a-a-ami”.

Ach, jak to ładnie brzmiało! Wszystko opowiem oczywiście Jonatanowi, jak go spotkam. Tak sobie myślałem. Jeżeli go spotkam, myślałem trochę później. A jeżeli nie...

Wtedy od razu opuściła mnie cała odwaga. Stałem się znów śmieciem. Małym, zastrachanym śmieciem, którym zawsze byłem. Jak zwykle w takich chwilach zatęskniłem za Fialarem. Muszę natychmiast do niego pójść! Tylko to odrobinę pomagało, kiedy byłem zmartwiony i niespokojny. Ileż razy, jak mi samotność niemożliwie dokuczała, szedłem do jego boksu! Ile razy pocieszało mnie samo patrzenie w jego mądre oczy, samo dotknięcie jego ciepłej skóry, jego jedwabistego pyska. W tym czasie, po odejściu Jonatana, nie mógłbym żyć bez Fialara.

Pobiegłem do stajni.

Ale Fialar nie był sam w swoim boksie. Stał przy nim Hubert. Tak, stał i głaskał mojego konia, a jak mnie zobaczył, uśmiechnął się złośliwie. Serce zaczęło mi bić. To on jest zdrajcą, pomyślałem. Czułem to od dawna, ale teraz nie miałem już wątpliwości. Hubert był zdrajcą, bo po co by przychodził szpiegować do Zagrody Jeźdźców? „Ten człowiek za dużo wie” — powiedziała kiedyś Sofia.

Hubert był tym właśnie człowiekiem. Teraz zrozumiałem.

Ile wiedział? Czy wszystko? Czy wiedział też, co schowaliśmy w skrzyni z owsem? Starłem się nie dać poznać po sobie, jak bardzo się boję.

— Co tu robisz? — odezwałem się, jak tylko umiałem najśmielej. — Czego chcesz od Fialara?

— Niczego — odpowiedział Hubert. — Szedłem do ciebie, ale usłyszałem, że twój koń rży, a ja lubię konie. Piękny jest ten Fialar.

Nie oszukasz ty mnie, pomyślałem i zapytałem:

— Czego chcesz ode mnie?

— Dać ci to — Hubert podał mi coś zawiniętego w kawałek białego płótna. — Wczoraj wieczorem wydawałeś się bardzo smutny i głodny, więc przyszło mi na myśl, że może teraz, kiedy Jonatan poluje, brak ci jedzenia w Zagrodzie Jeźdźców.

Nie wiedziałem, co mam powiedzieć czy zrobić. Wymamrotałem podziękowanie. Ale przecież nie mogę przyjąć jedzenia od zdrajcy! A może mogę?

Odwinąłem płótno — był w nim duży kawał baraniny, takiej suszonej i wędzonej, wyśmienitej, nazywa się to udziec barani. Pachniał wspaniale. Najchętniej bym od razu wbił w niego zęby. Ale raczej należało powiedzieć Hubertowi, żeby zabrał ten swój udziec i wyniósł się gdzie pieprz rośnie.

Jednak nie zrobiłem tego. W końcu rzeczą Sofii było zająć się zdrajcami. A ja muszę po prostu udawać, że o niczym nie wiem i nic nie rozumiem. Zresztą bardzo chciałem zatrzymać sobie ten udziec. Nic lepiej nie nadawało się do chlebaka.

Hubert wciąż stał przy Fialarze.

— Jesteś naprawdę ślicznym koniem — powiedział. — Prawie tak ślicznym, jak moja Blenda.

— Blenda jest siwa — zauważyłem. — Lubisz siwe konie?

— Owszem, bardzo lubię siwe konie — odpowiedział Hubert.

I pewnie chciałbyś ich mieć piętnaście, pomyślałem, ale nie odezwałem się. Natomiast Hubert powiedział coś okropnego:

— Może damy Fialarowi trochę owsa? Jemu też się należy coś dobrego.

Nie mogłem mu przeszkodzić. Poszedł prosto do siodlarni, a ja pobiegłem za nim. Chciałem krzyknąć: „Zostaw!”, ale nie udało mi się wydobyć ani słowa. Hubert podniósł wieko skrzyni z owsem i wziął czerpak, który leżał na wierzchu. Zamknąłem oczy. Nie chciałem widzieć, jak będzie wyławiał tabakierę. Nagle usłyszałem przekleństwo, więc otworzyłem oczy i zobaczyłem małego szczura przemykającego się błyskawicznie przez krawędź skrzyni.

Hubert spróbował go kopnąć, ale szczur przebiegł po podłodze i schował się w jakiejś niewidocznej dziurze.

— Ugryzł mnie w palec, ten łotr — syczał Hubert. Stał oglądając palec, a ja wykorzystałem ten moment. Szybko, szybko nabrałem czerpakiem owsa i zatrasnąłem wieko skrzyni tuż przed nosem Huberta.

— Fialar będzie zadowolony — powiedziałem. — Nie jest przyzwyczajony do owsa o tej porze.

Za to ty wcale nie jesteś zadowolony, pomyślałem, kiedy Hubert pożegnał się oschle i wolno wyszedł ze stajni. Tym razem żadne tajne meldunki nie wpadły w jego łapy. Ale trzeba było znaleźć nową kryjówkę. Długo się zastanawiałem, aż w końcu zakopałem tabakierę w piwnicy na ziemniaki. Na lewo za drzwiami.

Potem napisałem na ścianie w kuchni nową zagadkę dla Sofii:

Ruda broda chce mieć siwe konie i za dużo wie. Uważaj!

Nic więcej nie mogłem dla Sofii zrobić.

Następnego ranka, o wschodzie słońca, zanim ktokolwiek się obudził w Dolinie Wiśni, opuściłem Zagrodę Jeźdźców i pojechałem w stronę gór.

## Rozdział 7

Opowiedziałem Fialarowi, jakie to jest uczucie być mną, tak, właśnie mną, na dalekiej wyprawie w góry. „Czy rozumiesz, co to jest dla mnie za przygoda? Pamiętaj, że tylko leżałem, wciąż i wciąż, na kanapie w kuchni. Nie myśl, że choć na chwilę zapomniałem o Jonatanie. Gdyby nie on, krzyczałbym teraz tak, że w górach by dzwoniło. Tylko dlatego, że tak jest cudownie!” Naprawdę było cudownie. Jonatan zrozumiałby mnie. Co za góry! Aż trudno uwierzyć, że istnieją tak wysokie góry i że jest tyle małych, czystych jezior i szemrzących strumyków, i wodospadów, i łąk pełnych wiosennych kwiatów w samym sercu gór. A ja, Sucharek, siedzę sobie na moim koniu i widzę to wszystko! Nie myślałem, że może być tak pięknie na świecie, i aż mi się w głowie kręciło. W każdym razie na początku mojej wyprawy.

Potem wszystko pomału zaczęło się zmieniać. Trafiłem na ścieżkę, którą można było jechać konno. To pewnie ta, o której wspominał Jonatan. Mówił wtedy, że do Doliny Dzikich Róż jedzie się przez góry, że dużo tam zakrętów i zakosów. Ta ścieżka z pewnością była bardzo kręta. Po chwili znalazłem się daleko od ukwieconych łąk, góry stały się bardziej dzikie i przerażające, ścieżka coraz bardziej niebezpieczna. Raz pięła się pod górę, to znów schodziła w dół, czasem wiła się po wąskich półkach skalnych nad ogromnymi przepaściami i wtedy myślałem sobie, że to nie może się dobrze skończyć! Ale Fialar był widocznie przyzwyczajony do przemierzania niebezpiecznych górskich ścieżek. Ach, jaki ten mój Fialar był wspaniały! Pod wieczór poczuliśmy zmęczenie, i ja, i on. Rozbiłem więc obóz na noc. Na małym, zielonym skrawku ziemi, żeby Fialar miał gdzie się paść, niedaleko strumienia, z którego mogliśmy obaj pić.

Rozpaliłem ognisko. Całe życie tęskniłem za tym, żeby móc siedzieć przy ognisku. Jonatan opowiadał mi, jakie to cudowne uczucie. No i teraz nareszcie!

— Teraz, Sucharku, nareszcie się dowiesz, co to za uczucie — powiedziałem głośno sam do siebie. Nazbierałem duży stos suchych gałęzi i chrustu i rozpaliłem ognisko, które płonęło i trzaskało, aż iskry wirowały, a ja siedziałem przy nim i czułem, że jest dokładnie tak, jak mówił Jonatan. Takie właśnie miałem przyjemne uczucie siedząc wpatrzony w ogień, pogryzając chleb i żując mięso. Było znakomite, żałowałem tylko, że ofiarował mi je Hubert, a nie ktoś inny. Było mi wesoło i podśpiewywałem sobie mimo samotności: „Mój chleb, mój koń, mój ogień! Mój chleb, mój ogień, mój koń!” Niczego innego nie umiałem wymyślić. Długo tak siedziałem i rozmyślałem o wszystkich ogniskach, jakie płonęły we wszystkich dzikich zakątkach świata od początku jego istnienia i jak wszystkie zagasty dawno, dawno temu. Ale moje paliło się, tutaj, w tym miejscu, teraz właśnie.

Dookoła mnie zapadał zmierzch. Góry były już prawie czarne, ach, jak się zrobiło ciemno i jak szybko! Nie chciałem siedzieć plecami do tej ciemności. Miałem takie uczucie, że ktoś mógłby mnie napaść z tyłu. Zresztą była pora na spanie, więc dorzuciłem porządnie do ognia, powiedziałem dobranoc Fialarowi, zawiąłem się w koc i położyłem możliwie najbliżej ogniska. Potem już tylko jednego chciałem: prędko zasnąć, zanim mnie coś wystraszy. A jednak zdążyłem tak się wystraszyć, że trudno bardziej! Nie znam nikogo, komu zdarzałoby się to równie szybko, jak mnie. Myśli zaczęły mi kołować w głowie. Na pewno są tacy, co czatują na mnie w ciemności, na pewno roi się tu w górach od szpiegów i żołnierzy Tengila, na pewno Jonatan już od dawna nie żyje. Moje myśli krążyły wokół tego wszystkiego i nie dawały mi zasnąć. Nagle zza szczytu górskiego wyrzwał księżyc. Chyba nie ten zwyczajny, choć wyglądał tak samo. Bo powstała taka poświata, jakiej jeszcze nigdy nie widziałem. Wszystko zrobiło się niezwykle. Znalazłem się w dziwnym świecie samych tylko srebrnych i czarnych cieni. Piękne to było, owszem, i trochę smutne w jakiś urzekający, przedziwny sposób. Ale też przerażające. Tam gdzie świecił księżyc, było oczywiście jasno, natomiast pośród cieni mogły się kryć niezliczone niebezpieczeństwa. Naciągnąłem koc na głowę, nie chciałem już nic więcej widzieć. Ale co z tego, kiedy zacząłem słyszeć! Tak, zacząłem

coś słyszeć — jakieś wycie daleko w górach. A potem trochę bliżej. Fialar zarżał. Bał się. Wtedy zrozumiałem. To było wycie wilków.

Ktoś tak strachliwy jak ja mógł prawie umrzeć z przerażenia, ale widząc, jak wystraszony jest Fialar, spróbowałem zebrać w sobie resztki odwagi.

— Fialarze, nie wiesz, że wilki boją się ognia? — powiedziałem. Sam jednak nie bardzo w to wierzyłem, a wilki też na pewno nigdy nic takiego nie słyszały. Bo nagle zobaczyłem je. Zbliżyły się. Okropne, szare postacie wyjące z głodu, oświetlone księżycem.

Wtenczas i ja zawyłem. Zacząłem wrzeszczeć wniebogłoso. Nigdy jeszcze nie krzyczałem tak głośno i to je trochę wystraszyło.

Ale nie na długo. Za chwilę znów były. Tym razem jeszcze bliżej. Ich wycie odbierało zmysły Fialarowi. Mnie też. Wiedziałem, że teraz obaj umrzemy, i Fialar, i ja. Powiniennem być przyzwyczajony do tego, ponieważ już raz umarłem. Ale wtedy chciałem umrzeć, tęskniłem za tym, a teraz nie chciałem. Teraz chciałem być z Jonatanem. Ach, Jonatanie, gdybyś mógł przyjść i pomóc mi!

Wilki podeszły bardzo blisko. Jeden był większy od reszty i bardziej zuchwały. Pewnie przewodnik stada. Wiedziałem, że to on skoczy na mnie. Krążył dookoła mnie i wył, wył tak, że krew zastęgała mi w żyłach. Rzuciłem w niego płonącą gałąź i głośno krzyknąłem, ale to go tylko rozdrażniło. Zobaczyłem jego paszczę i potworne kły skierowane ku mojemu gardłu. Teraz skoczy! Jonatanie, ratuj — on skacze!

A potem? Co, o dziwo, stało się potem? W połowie skoku wilk zawył i padł u moich stóp. Nieżywy. Całkiem martwy. W środku jego głowy tkwiła strzała.

Z czyjego łuku została wystrzelona? Kim był ten, kto uratował mi życie?

Ktoś wyszedł z cienia za skałą. Nie kto inny, tylko Hubert! Stał i szyderczo się uśmiechał, jak zwykle, ale mimo to miałem ochotę rzucić mu się na szyję, tak bardzo się ucieszyłem na jego widok. W pierwszej chwili oczywiście. Tylko w pierwszej chwili.

— Przyszedłem w samą porę — odezwał się Hubert.

— Tak, rzeczywiście — odpowiedziałem.

— Dlaczego nie jesteś w Zagrodzie Jeźdźców? — spytał. — Co tu robisz w środku nocy?

A ty? — pomyślałem, bo przypomniałem sobie zaraz, kim był. Do jakiej podstępnej zdrady dojdzie tej nocy w górach? Ach, dlaczego właśnie zdrajca uratował mi życie? Dlaczego muszę być wdzięczny właśnie Hubertowi, nie tylko za udziec barani, ale i za całe cenne życie?!

— A ty, sam, co tu robisz w środku nocy? — zapytałem ze złością.

— Strzelam wilki, jak pewnie zauważyłeś — odpowiedział. — Zresztą zobaczyłem, jak wyjeżdżałeś dziś rano i przyszło mi na myśl, że powinienem zadbać, żeby ci się nie stało nic złego. Dlatego pojechałem za tobą.

No tak, pomyślałem, kłam sobie, kłam. Prędzej czy później będziesz miał do czynienia z Sofią i wtedy biada ci.

— Gdzie jest Jonatan? — spytał Hubert. — Jeżeli poluje na wilki, to dlaczego go tu nie ma, mógł zastrzelić kilka sztuk.

Rozejrzałem się. Wilki zniknęły co do jednego. Widocznie wystraszyły się, kiedy przewodnik stada padł. I może żałowały go, bo daleko w górach słycać było krótkie, jęklliwe skowyty.

— No, gdzie jest Jonatan? — napierał Hubert.

Wtedy uznałem, że i ja mogę kłamać.

— Niedługo przyjdzie — powiedziałem. — Wyruszył za stadem wilków tam, w tamtą stronę — pokazałem na góry.

Hubert uśmiechnął się. Widać było, że mi nie wierzy.

— Może byś tak wrócił ze mną do domu, do Doliny Wiśni, co?

— Nie. Muszę czekać na Jonatana — odpowiedziałem. — Na pewno lada chwila tu będzie.

— Ach, tak. Ach, tak — powiedział Hubert i dziwnie na mnie popatrzył. A potem — potem wyciągnął zza pasa nóż.

Krzyknąłem z przestachu. Co on zamierza? Kiedy tak stał z nożem w garści, bardziej mnie przeraził niż wszystkie wilki z całych gór.

Chce mojej śmierci, przemknęło mi przez myśl. Wie, że ja wiem, że jest zdrajcą. Dlatego śledził mnie, a teraz chce mnie zabić.

Zacząłem się trząść jak liść osiki.

— Nie rób tego! — wrzasnąłem. — Nie rób tego!

— Czego mam nie robić? — spytał.

— Nie zabijaj mnie...

Wtedy Hubert wpadł w szal. Daskoczył do mnie tak blisko, że aż się prawie przewróciłem ze strachu.

— Ty nicponiu, co powiedziałaś?

Złapał mnie za włosy i potrząsnął mną.

— Ty głupku! — syczał. — Gdybym chciał, żebyś nie żył, to mogłem to przecież zostawić wilkowi. Trzymał mi nóż pod samym nosem, a był to ostry nóż, dobrze widziałem.

— Używam go do obdzierania wilków ze skóry — powiedział. — A nie do zabijania głupich smarkaczy. Kopnął mnie w siedzenie, tak że upadłem na twarz. Potem, cały czas klnąc, zabrał się do zdzierania skóry z wilka.

A mnie się spieszyło, żeby dosiąść Fialara. Chciałem stąd uciec. Ach, jak bardzo chciałem stąd uciec!

— Dokąd się wybierasz? — krzyknął Hubert.

— Pojadę na spotkanie Jonatana — odpowiedziałem i usłyszałem, jak wystraszony i słaby był mój głos.

— Dobrze, rób, jak chcesz, ty półgłówku! — krzyknął Hubert. — Zabij się, nie będę ci więcej przeszkadzał!

Ale ja już odjeżdżałem wielkim pędem. Mogłem gwizdać na Huberta.

Ścieżka przede mną, oświetlona księżycem, wiła się w głąb gór. Księżyc słabo świecił, ale było jasno, prawie jak za dnia, i wszystko było widać. Na szczęście! Gdyby nie to, zablądziłbym. Były tu strome urwiska i szerokie przepaście, aż mi się w głowie kręciło. Wszystko takie okropne i równocześnie piękne. Jakby się jechało we śnie.

Tak, cały ten krajobraz w księżycowej poświacie mógł istnieć chyba tylko w jakimś cudownym, dzikim śnie.

— Jak myślisz — zapytałem Fialara — kto śni ten sen? Chyba nie ja. To musi być ktoś inny, ktoś, kto potrafił wyśnić coś tak okropnego i pięknego równocześnie. Może Bóg?

Byłem tak zmęczony i śpiący, że ledwo trzymałem się w siodle. Trzeba będzie gdzieś odpocząć przez noc.

— Najlepiej tam, gdzie nie ma wilków — powiedziałem do Fialara. Zdaje mi się, że uważał tak samo. Zastanawiało mnie, kto swego czasu wydeptał te ścieżki górskie łączące doliny Nangijali. Kto wymyślił, jak ma biec ta właśnie ścieżka do Doliny Róż? Czy było konieczne, żeby się wiała po tych przeklętych półkach skalnych, nad brzegiem tak strasznych urwisk? Wiedziałem, że jeżeli Fialar zrobi choć jeden niewłaściwy krok, runiemy obaj w przepaść i potem już nikt, po wieczne czasy, nie dowie się, jaki los spotkał Karola Lwie Serce i jego konia. Robiło się coraz gorzej i gorzej. W końcu bałem się nawet mieć oczy otwarte, bo gdybyśmy polecieeli w przepaść, to wolałem tego nie widzieć.

Ale Fialar stapał nieomylnie. Dawał sobie jakoś radę i kiedy wreszcie odważyłem się znów popatrzeć, byliśmy na małej polanie. Na uroczej, zielonej polance z niebosięźnymi szczytami góorskimi po jednej stronie i przepaścią po drugiej.

— To dobre miejsce, Fialarze — powiedziałem. — Tu nas wilki nie napadną.

I tak było rzeczywiście. Żaden wilk nie mógł zejść z tak wysokich gór ani żaden nie mógł wdrapać się po ścianie tak stromej przepaści. Chyba żeby się tu dostał tak jak my, tą paskudną ścieżką wzdłuż urwiska. Postanowiłem wierzyć, że wilki nie są takie chytre.

Wtem zauważyłem coś interesującego: głęboką rozpadlinę, która prowadziła w głąb skały. Tworzyła jakby grotę, bo zamykały ją od góry duże bloki skalne. W tej grocie mogliśmy spokojnie się przespać, będzie dach nad głową i w ogóle wszystko.

Ktoś już odpoczywał w niej przede mną, bo pozostał popiół po ognisku. Miałem ochotę też rozpać sobie ognisko, ale brakło mi sił. Najbardziej chciałem spać. Wziąłem Fialara za wodze i wprowadziłem go do groty.

— Jest tu miejsca dla piętnastu takich jak ty — powiedziałem, bo grotka była głęboka.

Zarżał lekko. Może tęsknił do domu, do swojej stajni. Poprosiłem, żeby mi wybaczył, że go narażam na takie przygody i znoje, dałem mu owsa, pogłaskałem i jeszcze raz powiedziałem mu dobranoc. Potem w najgłębszym i najciemniejszym zakamarku grotki zawinałem się w koc i zanim zdążyłem wystraszyć się choć trochę, zasnąłem. Nie wiem, jak długo spałem. Ale nagle zerwałem się, całkowicie obudzony. Doszły mnie głosy i rżenie koni przed grotą.

Więcej nie trzeba było. Znów mnie ogarnął okropny, dziki strach. Kto wie, czy ci, co gadali na zewnątrz, nie są gorsi od wilków? Usłyszałem głos, który mówił:

— Wprowadź konie do grotki, będzie więcej miejsca. Zaraz potem dwa konie weszły do mojej kryjówki. Poczuty Fialara i zarżały, a Fialar odpowiedział im rżeniem, ale potem ucichły i widocznie zaprzyjaźniły się z nim w ciemnościach. Ludzie na polanie pewnie nie zauważyli, że zarżał jakiś obcy koń, bo dalej spokojnie rozmawiali. Dlaczego tu przyjechali? Kim są? Czego szukają po nocy w górach? Musiałem się tego dowiedzieć. Bałem się tak, że zęby mi dzwoniły, i chciałem znajdować się tysiące mil stąd. A tymczasem byłem tu, tuż obok jakichś ludzi, którzy mogli być przyjaciółmi, ale równie dobrze mogli być wrogami. Musiałem się dowiedzieć, kim są, obojętne, jak bardzo się bałem. Położyłem się płasko na brzuchu i zacząłem pełznąć w stronę głosów na zewnątrz. Księżyc tkwił w samym środku wejścia do grotki, smuga światła padała prosto na moją kryjówkę. Ale ja trzymałem się z boku, w ciemności. Czołgałem się powoli, bardzo powoli, w stronę głosów.

Siedzieli na polanie, w świetle księżyca, przy ognisku. Było ich dwóch. Mieli ordynarne twarze i czarne hełmy na głowie. Pierwszy raz zobaczyłem wtedy żołnierzy Tengila. Możecie być pewni, że dobrze wiedziałem, kogo widzę. Wiedziałem, że mam przed sobą dwóch z tej bandy okrutnych ludzi, którzy wstąpili w szeregi Tengila, żeby niszczyć zielone doliny Nangijali. Nie chciałem wpaść w ich ręce — lepiej, żeby mnie pożarły wilki. Długo rozmawiali z sobą, a ja byłem tak



blisko w mojej ciemnej kryjówce, że słyszałem każde słowo. Byli wyraźnie źli na kogoś, bo jeden z nich powiedział:

— Obetnę mu uszy, jeżeli i tym razem nie przyjdzie w porę.

A drugi dodał:

— Tak, on się jeszcze niejednego musi nauczyć. Siedzimy tu noc po nocy i czekamy bez końca, a jego nie ma. Jaka z niego, prawdę mówiąc, korzyść? Strzelać do gołębi pocztowych, owszem, w porządku, ale Tengil chce czegoś więcej. Chce mieć Sofię w Grocie Katli. Jeżeli on nie potrafi sobie z tym dać rady, to biada mu.

Wtedy zrozumiałem, kim był ten człowiek, o którym mówili i na którego czekali — to był Hubert. Uspokójcie się, pomyślałem. Poczekajcie tylko, aż obedrze wilka ze skóry, potem przyjdzie, możecie mi wierzyć! Zjawi się na ścieżce ten, który ma złapać dla was Sofię! Paliło się we mnie ze wstydu. Wstydziłem się, że mamy zdrajcę w Dolinie Wiśni. Ale mimo to chciałem widzieć, jak Hubert przyjdzie, bo nareszcie miałbym dowód. Co innego kogoś podejrzewać. Teraz wiedziałbym na pewno i mógłbym powiedzieć do Sofii: „Zrób coś, żeby się pozbyć Huberta! Bo inaczej będzie koniec ze wszystkim, z tobą, z nami, z całą Doliną Wiśni”. Niesamowite to uczucie czekać na coś niesamowitego. Zdrajca jest kimś niesamowitym, czułem to tak mocno, że aż przebiegały po mnie dreszcze. Przestałem się prawie bać tych dwóch przy ognisku, bo jeszcze bardziej okropne było zobaczyć lada moment zdrajcę, jak przyjedzie tu konno, po tej ścieżce, zza tej skały. Strasznie się bałem, ale wciąż wpatrywałem się w to miejsce, aż mnie oczy piekły.

Ludzie przy ognisku też gapili się w tę samą stronę. Też wiedzieli, skąd nadjedzie. Tylko żaden z nas nie wiedział kiedy.

Czekaliśmy, oni przy ogniu, ja płasko na brzuchu w grocie. Księżyc zdążył przesunąć się poza wejście do groty, ale czas jakby stanął w miejscu. Nic się nie działo, czekaliśmy tylko. Czekaliśmy tak, że miałem ochotę poderwać się i krzyknąć. Niechby się to już skończyło! Bo wszystko zdawało się czekać: księżyc i góry dookoła, cała ta okropna księżycowa noc jakby wstrzymała oddech i czekała na zdrajcę.

Wreszcie pojawił się. Daleko na ścieżce, obłany światłem księżyca, zbliżał się jeździec na koniu. Tak, teraz widziałem go dokładnie, w tym właśnie miejscu, gdzie byłem pewien, że się pokaże. Widząc go wzdrygnąłem się. Hubercie, jak możesz, pomyślałem.

Oczy tak mnie piekły, że musiałem je zamknąć. A może zamknąłem je, żeby nie widzieć? Tak długo czekałem na tego łotra, a kiedy wreszcie się pokazał, coś takiego zrobiło si ze mną, jakbym nie miał siły spojrzeć na jego twarz. Zamknąłem oczy. Słyszałem tylko odgłos kopyt, coraz bliżej i bliżej. W końcu dojechał i zatrzymał konia. Wtedy otworzyłem oczy. Musiałem jednak zobaczyć, jak wygląda zdrajca kiedy zdradza swoich. Tak, chciałem zobaczyć Huberta jak przyjeżdża, żeby zdradzić Dolinę Wiśni i wszystkie jej mieszkańców.

Ale to nie był Hubert. To był Jossi! Złoty Kogut.

## Rozdział 8

Nikt inny, tylko Jossi.

Przez dobrą chwilę nie mogłem tego zrozumieć. Ten rumiany Jossi, który był taki miły i wesoły, który mi dał ciastka i pocieszał, jak byłem smutny — on był zdrajcą! Siedział teraz przy ognisku, zaledwie kawałek ode mnie, razem z ludźmi Tengila — nazywał ich: Weder i Kader — i wyjaśniał, dlaczego nie przyjechał wcześniej.

— Hubert dziś w nocy poluje w górach na wilki, chyba rozumiecie, że musiałem się przed nim kryć.

Weder i Kader mimo to zdawali się być zli na niego, więc Jossi dodał ostrzej:

— Pamiętacie chyba Huberta? Jego też powinniście mieć w Grocie Katli, tak samo jak Sofię, bo on też nienawidzi Tengila.

— No, to zrób coś z tym — odezwał się Weder. — Jesteś przecież naszym człowiekiem w Dolinie Wiśni, nie? — dodał Kader.

— Oczywiście, tak, tak — powiedział Jossi. Próbował przypochlebić się, wkraść się w ich łaski, ale Weder i Kader nie lubili go, to było jasne. Tak już widocznie jest, że nikt nie lubi zdrajcy, nawet jeżeli ma z niego korzyści.

Uszy mu w każdym razie zostawili, nie obcięli ich. Zrobili natomiast co innego: nazaczyli go piętnem Katli.

— Wszyscy ludzie Tengila muszą nosić piętno Katli, także taki zdrajca, jak ty — powiedział Weder. — Po to, żebyś mógł pokazać, kim jesteś, jak do Doliny Wiśni przyjdą szpiedzy, którzy cię nie znają.

— Oczywiście, tak, tak — zgodził się Jossi. Kazali mu rozpiąć kurtkę i koszulę i rozżarzoną w ogniu żelazną wypalili mu na piersi piętno Katli. Jossi wrzasnął, kiedy poczuł dotknięcie żelaza.

— Poczuj! Dobrze poczuj! — powiedział Kader. — Teraz będziesz raz na zawsze wiedział, że jesteś jednym z naszych, choćbyś nawet był zdrajcą.

Ze wszystkich nocy w moim życiu ta była na pewno najdłuższa i najcięższa do zniesienia, w każdym razie odkąd znajdowałem się w Nangijali. Najgorsze było słuchanie, jak Jossi chełpi się wszystkim tym, co obmyślił na zgliszcza Doliny Wiśni.

Powiedział, że niedługo złapie w sidła Sofię i Huberta. Oboje.

— Ale to się musi tak odbyć, żeby nikt się nie domyślił, kto za tym stoi. Bo inaczej jak mógłbym dalej być zakonspirowanym człowiekiem Tengila w Dolinie Wiśni?

Zakonspirowanym to ty już dłużej nie będziesz, pomyślałem. Jest tu ktoś, kto zdemaskuje cię tak, że zzieleniejesz, ty łotrze z czerwonymi policzkami!

Potem Jossi powiedział coś jeszcze, od czego serce mi zadrżało.

— Nie złapaliście dotąd Jonatana Lwie Serce? Czyżby dalej chodził wolno w Dolinie Dzikich Róż?

Zauważyłem, że Wederowi i Kaderowi nie spodobało się to pytanie.

— Jesteśmy na jego tropie — powiedział Weder. — Stu ludzi szuka go dzień i noc.

— I znajdziemy go, nawet gdybyśmy mieli przewrócić do góry nogami wszystkie chałupy w Dolinie Dzikich Róż — dodał Kader. — Tengil czeka na niego.

— Rozumiem — odpowiedział Jossi. — Młody Lwie Serce jest bardziej niebezpieczny od innych, już wam to mówiłem. On naprawdę jest lwem.

Poczułem się dumny, że Jonatan jest takim lwem. I jaką pociechą było wiedzieć, że żyje! Popłakałem się jednak ze złości, jak zrozumiałem, co Jossi zrobił. Zdradził Jonatana. Tylko on mógł coś wywęszyć o jego potajemnej wyprawie do Doliny Dzikich Róż i posłać o tym wiadomość Tengilowi. To z winy Jossiego stu ludzi szuka teraz mojego brata dzień i noc. I oddadzą go Tengilowi, jeżeli go znajdą.

Ale na razie Jonatan żyje, pomyślcie tylko, żyje! I jest na wolności. Więc dlaczego wołał o pomoc w moim śnie? Zastanawiałem się, wciąż leżąc w grocie, czy się tego kiedykolwiek dowiem.

Tymczasem, słuchając tego, co Jossi mówi, dowiedziałem się wielu innych rzeczy.

— Hubert jest zazdrosny o Sofię, dlatego że ją wybraliśmy na wodza w Dolinie Wiśni — mówił.  
— On uważa siebie za najlepszego ze wszystkich.

Ach, więc to dlatego! Przypomniało mi się, jaki Hubert był wściekły, kiedy zapytał: „Co to właściwie jest z Sofią?” Więc to dlatego, że był zazdrosny, a nie z innego powodu. Przecież można być zazdrosnym i równocześnie porządnym człowiekiem. Ale ja od początku wyobrażałem sobie, że Hubert jest zdrajcą w Dolinie Wiśni, i wszystko, co potem mówił czy robił, dopasowywałem do tego przypuszczenia. Że też tak łatwo można sobie wyobrażać złe rzeczy o ludziach! Biedny Hubert! On, który troszczył się o mnie i uratował mi życie, i dał mi udziec barani, i w ogóle, a ja zamiast podziękować, krzyczałem do niego:

„Nie zabijaj mnie!” Nic dziwnego, że się wściekł! Przebac mi, Hubercie, myślałem, przebac mi! Tak bym z pewnością powiedział, gdybym go jeszcze kiedyś spotkał. Jossi nabrał śmiałości, wydawał się bardzo zadowolony. Piętno Katli musiało go jednak piec od czasu do czasu, bo pojękiwał, a wtedy Kader za każdym razem mówił:

— Poczuj, dobrze poczuj!

Byłbym chętnie zobaczył, jak wygląda piętno Katli. Ale na pewno było okropne, można sobie wyobrazić, więc chyba lepiej, że go nie zobaczyłem.

Jossi dalej chwalił się wszystkim, czego dokonał i czego zamierza dokonać, i nagle powiedział:

— Lwie Serce ma małego brata, którego kocha ponad wszystko.

Wtedy zacząłem cicho płakać i zatęskniłem za Jonatanem.

— Tego nieszczęsnego malca można by użyć jako przynęty, żeby złapać Sofię na haczyk.

— Czemu, osłe jeden, nie wymyśliłeś tego trochę wcześniej! — zdenerwował się Kader. — Gdybyśmy mieli jego brata, szybko byśmy wywabili Lwie Serce z kryjówki. Gdziekolwiek się zaszył, na pewno dowiedziałby się tajemnymi drogami, że złapaliśmy jego brata.

— To by go wyciągnęło na światło dzienne — dodał Weder. — „Puśćcie mojego brata i weźcie mnie zamiast niego” — z pewnością by tak powiedział, o ile rzeczywiście zależy mu na bracie i chce go uchronić od bólu. Tak bardzo się teraz bałem, że nawet nie mogłem płakać.

Jossi napuszył się i zrobił się ważny.

— Załatwię to, jak wrócę do domu — oświadczył. — Mogę wciągnąć małego Karola Lwie Serce w pułapkę, to nic trudnego, wystarczy parę ciastek. A potem wciągnie się też Sofię, namawiając ją, żeby spróbowała go uratować.

— Czy Sofia nie jest zbyt sprytna jak na ciebie? — spytał Kader. — Potrafisz ją oszukać?

— Jasne, że tak — odpowiedział Jossi. — Nawet się nie dowie, kto to zrobił. Ona ma do mnie zaufanie. Był teraz taki zadowolony, że aż w nim bulgotało.

— A jak już będziecie mieli i ją, i małego Lwie Serce, ile mi Tengil da siwych koni, jak wmaszeruje do Doliny Wiśni?

To się dopiero zobaczy, pomyślałem sobie. Ach, więc to tak, Jossi. Chcesz wrócić do domu i wciągnąć Karola Lwie Serce w pułapkę. A jeżeli go już nie będzie w Dolinie Wiśni? Co wtedy zrobisz?

Mimo mojej okropnej sytuacji myśl ta ucieszyła mnie trochę. Jaki Jossi będzie rozczarowany, kiedy się dowie, że mnie nie ma!

Potem Jossi powiedział:

— Mały Karol Lwie Serce jest miły, ale na pewno nie jest lwem. Nie ma bardziej tchórzliwego stworzenia niż on. Lepiej by do niego pasowało nazwisko Zajęcze Serce. Zgoda. Sam dobrze wiedziałem, że nigdy nie stanę się kimś odważnym. Że nie powinienem nazywać się Lwie Serce, tak jak Jonatan. Ale mimo to okropnie było przykro słyszeć to z ust Jossiego. Wstydziłem się i, wciąż schowany w grocie, myślałem, że muszę, muszę zdobyć się na więcej odwagi. Tylko nie teraz akurat, kiedy się tak bardzo boję.

Wreszcie Jossi skończył. Nie miał już innych łotrowskich czynów, żeby się nimi chełpić. Wstał.

— Muszę być w domu przed świtem — oznajmił.

Upomnieli go jeszcze na odchodnym:

— Przypilnuj, żeby się udało z Sofią i z tym małym bratem.

— Możecie na mnie liczyć — odpowiedział Jossi. — Tylko nie zróbcie chłopcu krzywdy, bo trochę go lubię.

Dziękuję, zauważyłem to, pomyślałem sobie.

— I nie zapomnij hasła, jak przyniesiesz wiadomość do Doliny Dzikich Róż — powiedział Kader.

— Jeżeli chcesz tam wejść żywy.

— „Wszelka moc dla Tengila, naszego wybawcy” — wyrecytował Jossi. — Pamiętam i w dzień, i w nocy. A Tengil chyba nie zapomniał tego, co mi obiecał?

Siedział już w siodle, gotowy do odjazdu.

— Jossi, władca Doliny Wiśni — powiedział. — To mi obiecał Tengil. Nie zapomniał chyba?

— Tengil niczego nie zapomina — zapewnił go Kader. Jossi odjechał. Zniknął na tej samej drodze, którą przyjechał. Weder i Kader patrzyli za nim.

— On się będzie akurat nadawał dla Katli — zauważył Weder. — Jak już załatwimy Dolinę Wiśni.

Sposób, w jaki to powiedział, dawał do zrozumienia, co znaczy dostać się w szpony Katli. Bardzo mało o niej wiedziałem, wzdrygnąłem się jednak i prawie mi się żal zrobiło Jossiego, choć był takim łotrem.

Ognisko na polanie wygasło. Zacząłem mieć nadzieję, że Weder i Kader też odjadą. Tak bardzo marzyłem, żeby ich już nie było, że aż mnie brzuch rozbolał. Czułem się jak szczur złapany w pułapkę i marzyłem, żeby się z niej wydostać. Gdybym tylko mógł wyprowadzić ich konie z grotty, zanim któryś po nie przyjdzie, może dałbym sobie potem radę, myślałem. Weder z Kaderem odjechaliby wcale nie wiedząc, jak łatwo mogli złapać młodszego brata Jonatana Lwie Serce.

Nagle usłyszałem głos Kadera:

— Prześpijmy się chwilę w grocie.

No tak, teraz to koniec, pomyślałem. Może i lepiej zresztą, bo już nie mam siły. Niech mnie dopadną, niech się już skończy to wszystko!

Ale Weder odpowiedział:

— Po co spać? Niedługo będzie dzień. Mam dosyć tych gór. Wracajmy lepiej do Doliny Dzikich Róż.

— Jak chcesz — zgodził się Kader. — Wyprowadź w takim razie konie.

Czasem, kiedy dzieje się coś naprawdę niebezpiecznego, człowiek ratuje się, nie myśląc o tym. Cofnąłem się gwałtownie i wpełzłem w najciemniejszy kąt, zupełnie tak, jak by to zrobiło małe zwierzątko. Weder mignął mi w wejściu do grotty i zaraz potem już w niej był, w całkowitej ciemności, absolutnie niewidoczny. Słyszałem go jednak i już to było dostatecznie okropne. On też nie mógł mnie widzieć, ale musiał chyba słyszeć gwałtowne bicie mojego serca, kiedy zastanawiałem się, co będzie, jak zamiast dwóch koni zastanie trzy.

Konie lekko zarżały, kiedy wszedł. Wszystkie trzy, Fialar też. Jego rzenie rozpoznałbym wśród tysiąca innych. Ale Weder, idiota, nie słyszał żadnej różnicy i — pomyślcie tylko — wcale nie zauważył, że są trzy konie w grocie. Wyprowadził te dwa, które stały najbliżej wyjścia, to znaczy ich własne, i sam za nimi wyszedł.

Jak tylko zostałem sam z Fialarem, zerwałem się i położyłem mu dłoń na pysku. Kochany, kochany Fialarze, bądź cicho, prosiłem w głębi duszy, bo wiedziałem, że gdyby teraz zarżał, to oni na zewnątrz usłyszą i domyśla się, że coś nie jest w porządku. Ach, jaki Fialar był mądry! Najwidoczniej wszystko rozumiał. Tamte konie rżały na dworze, bo chciały się z nim pożegnać, ale on stał cichutko i nie odpowiadał.

Widziałem, jak Weder i Kader wskakują na siodła. Brak mi słów, żeby opisać, jakie to było cudowne uczucie. Teraz, na przekór wszystkiemu, będę niedługo wolny, wydostanę się z pułapki. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Nagle Weder powiedział:

— Zapomniałem krzesiwa.

Zeskoczył z konia i zaczął szukać koło ogniska.

Potem stwierdził:

— Nie ma go tu. Może zgubiłem je w grocie. I tak pułapka znowu się zamknęła nade mną, z hukiem i trzaskiem. Znow byłam uwięziony. Weder wszedł do grotty, żeby szukać tego przekłętego krzesiwa, i natknął się od razu na Fialara.

Wiem, że nie powinno się kłamać, ale jeżeli życie od tego zależy, to się musi.

Weder miał twarde łapska, nikt dotąd nie złapał mnie z taką siłą jak on. Poczulem ból i to mnie rozniewało. Byłem, o dziwo, prawie bardziej zły niż wystraszony.

Może dlatego tak dobrze kłamałem.

— Jak długo tu siedzisz i szpiegujesz? — ryknął Weder wyciągając mnie z grotty.

— Od wczoraj wieczór — odpowiedziałem. — Ale ja cały czas spałem — dodałem mrużąc oczy w świetle poranka, tak jakbym się dopiero obudził.

— Spałeś! — krzyczał Weder. — Chcesz powiedzieć, że nie słyszałeś naszych śpiewów przy ognisku? Przestań kłamać!

Wydawało mu się pewnie, że chytrze to wymyślił, bo przecież nie śpiewali ani przez chwilę. Ale ja okazałem się jeszcze chytrzejszy.

— No, może trochę słyszałem, jak śpiewaliście — wybełkotałem tak, jakbym kłamał tylko po to, żeby go zadowolić.

Wtenczas Weder i Kader spojrzeli na siebie, byli już teraz pewni, że ja rzeczywiście spałem i niczego nie słyszałem.

Niewiele mi to jednak pomogło.

— Wiesz, że za przejazd tą drogą grozi kara śmierci? — powiedział Weder.

Starałem się mieć taką minę, jakbym nic o niczym nie wiedział, ani o karze śmierci, ani w ogóle o niczym.

— Ja tylko chciałem popatrzeć wczoraj wieczorem na księżyc — wymamrotałem.

— I dlatego ryzykujesz życie, ty lisie? — powiedział Weder. — Skąd jesteś? Z Doliny Wiśni czy z Doliny Dzikich Róż?

— Z Doliny Dzikich Róż — odpowiedziałem.

Bo Karol Lwie Serce mieszkał w Dolinie Wiśni, a wolałem umrzeć niż zdradzić się przed nimi, kim jestem.

— Kim są twoi rodzice? — pytał dalej Weder.

— Mieszkam u... u dziadka.

— Jak się nazywa?

— Ja go nazywam po prostu dziadkiem — starałem się robić z siebie coraz większego idiotę.

— Gdzie mieszka w Dolinie Dzikich Róż?

— W małej... białej chacie — odpowiedziałem, bo pomyślałem sobie, że chaty w Dolinie Dzikich Róż są pewnie tak samo białe, jak te w Dolinie Wiśni. — Musisz nam pokazać tego dziadka i tę chatę — powiedział Weder. — Wskakuj na konia.

I pojechaliśmy. Właśnie wschodziło słońce nad górami Nangijali. Niebo zapłonęło, jak najczarwiejszy ogień, szczyty górskie zabłyśły. Czegoś piękniejszego, czegoś bardziej ogromnego nie widziałem nigdy w życiu. Gdyby nie to, że miałem Kadera i czarny zad jego konia tuż przed nosem, byłbym krzyczał ze szczęścia. Tylko że nie byłem wtedy szczęśliwy, ani trochę!

Ścieżka wiła się dalej, dokładnie jak przedtem. Później zaczęła schodzić stromo w dół. Zorientowałem się, że jesteśmy blisko Doliny Dzikich Róż. Trudno mi było w to uwierzyć, kiedy ją zobaczyłem tuż przede mną. Ach, jaka była piękna, zupełnie jak Dolina Wiśni! Jaśniała w blasku wschodzącego słońca, widziałem mnóstwo chat i zagród, zielone stoki i kwitnące krzaki dzikich róż. Bardzo to zabawnie wyglądało z góry — jak zaspasy z płatków różanych. A dolina przypominała morze z różową pianą na zielonych falach. Tak, zgadzam się, Dolina Dzikich Róż słusznie ma taką nazwę.

Ale bez Wedera i Kadera nigdy bym się tu nie dostał. Całą dolinę otaczał mur, wysoki mur, który jej mieszkańcy musieli zbudować na rozkaz Tengila. Tengil chciał, żeby byli jego niewolnikami w wiecznym więzieniu. Jonatan opowiadał mi o tym, dlatego wiedziałem.

Weder i Kader widocznie zapomnieli zapytać mnie, w jaki sposób wydostałem się z tej zamkniętej doliny, a ja prosiłem Boga, żeby sobie nie przypomnieli. Bo co bym odpowiedział? Jak mógł ktokolwiek przedostać się przez taki mur, w dodatku z koniem?

Gdzie spojrzeć, ludzie Tengila w czarnych hełmach, z mieczami i oszczepami, trzymali straż na murze. Równie dokładnie pilnowali bramy. Bo w tym murze była brama, dokładnie tam, gdzie kończyła się ścieżka z Doliny Wiśni.

Tędy od niepamiętnych czasów ludzie jeździli sobie swobodnie z jednej doliny do drugiej. Teraz brama była zamknięta i tylko ludzie Tengila mogli przez nią wejść. Weder zastukał w bramę czarnym mieczem. Od razu otworzyło się małe okienko i olbrzymi mężczyzna wytknął głowę.

— Hasło! — wrzasnął.

Weder z Kaderem szepnęli mu do ucha tajemnicze słowa. Pewnie dlatego, żebym ja ich nie usłyszał. Niepotrzebna ostrożność, bo przecież i tak je znam. „Wszelka moc dla Tengila, naszego wybawcy”.

Człowiek w okienku popatrzył na mnie i spytał:

— A to co za jeden?

— Och, taki głupek, znaleźliśmy go w górach — odpowiedział Kader. — Ale całkiem głupi to on nie jest, bo potrafił wysliznąć się wczoraj wieczorem przez tę bramę — i co ty na to, starszy strażniku? Myślę, że powinieneś zapytać twoich ludzi, czy aby dobrze jej pilnują?

Człowiek w okienku rozgniewał się. Otworzył bramę, ale krzyczał, przeklinał i nie chciał mnie wypuścić, tylko Wedera i Kadera.

— A z nim do Groty Katli — powiedział. — Tam jest jego miejsce.

Ale Weder i Kader uparli się. Muszę im towarzyszyć, mówili, bo muszę udowodnić, że ich nie okłamałem, powiedzieli, że ich obowiązkiem wobec Tengila jest wyjaśnić tę sprawę.

Tak więc z Wederem i Kaderem na przodzie wjechałem przez bramę.

Pomyślałem, że jeżeli kiedykolwiek spotkam Jonatana, to mu opowiem, jak Weder i Kader pomogli mi dostać się do Doliny Dzikich Róż. Długo by się z tego śmiał. Ja jednak wcale się nie śmiałem. Dobrze wiedziałem, jaka to dla mnie niebezpieczna sytuacja. Muszę znaleźć białą chatę z jakimś staruszkiem, bo w przeciwnym razie skończę w Grocie Katli.

— Jedź przodem i pokazuj drogę — rozkazał Weder. — Teraz porozmawiamy na serio z twoim dziadkiem! Ścisnąłem piętami Fialara, żeby przyspieszył kroku, i wybrałem uliczkę dość blisko muru.

Białych chat nie brakowało, zupełnie jak w naszej Dolinie Wiśni. Ale nie widziałem żadnej takiej, którą mógłbym wskazać, nie wiedziałem przecież, kto w nich mieszka. Nie miałem też odwagi powiedzieć: „Tam mieszka dziadek”, bo co by to było, gdyby Weder i Kader weszli do chaty i żadnego staruszka nie znaleźli. A w każdym razie żadnego takiego, co by chciał być moim dziadkiem. Naprawdę znajdowałem się w potrzasku i pot mnie oblewał. Tak łatwo było nakłamać o jakimś dziadku, ale teraz przestałem uważać ten pomysł za dobry.

Widziałem ludzi pracujących w zagrodach, ale nigdzie nikogo, kto przypominałby dziadka, czułem się więc coraz gorzej i gorzej. Okropne też było widzieć, jak wyglądają ludzie z Doliny Dzikich Róż, jacy są wszyscy bladzi i wygłodniali, i nieszczęśliwi, ci przynajmniej, których zobaczyłem jadąc, tacy zupełnie inni niż ludzie z Doliny Wiśni. Ale my, w naszej dolinie, nie mieliśmy żadnego Tengila, który by nam kazał pracować jak niewolnikom i zabierał wszystko, co potrzebne do życia. Jechałem i jechałem. Weder i Kader zaczęli się niecierpliwić, a ja nic, tylko jechałem, tak jakbym był w drodze na koniec świata.

— Daleko jeszcze? — spytał Weder.

— Nie, nie tak bardzo — odpowiedziałem. Ale nie wiedziałem tak naprawdę, ani co mówię, ani co robię. Byłem śmiertelnie przerażony i tylko czekałem, że mnie wrzucą do Groty Katli.

I wtedy stał się cud. Możecie mi wierzyć albo nie, ale przed małą, białą chatą, tuż przy murze, siedział na ławce staruszek i karmił gołębie. Może byłbym się nie odważył zrobić tego, co zrobiłem, gdyby nie to, że wśród tych wszystkich szarych gołębi zobaczyłem jednego śnieżno-białego. Jednego, jedyne!

Łzy napłynęły mi do oczu. Takie białe gołębie widziałem tylko u Sofii, no i raz na moim oknie, dawno temu, w innym świecie.

Zrobiłem coś niesłychanego. Zeskoczyłem z Fialara i paroma susami znalazłem się przy staruszku. Rzuciłem mu się w ramiona, objąłem za szyję i szepnąłem z rozpaczą:

— Pomóż mi! Ratuj! Powiedz, że jesteś moim dziadkiem!

Strasznie się bałem i byłem prawie pewny, że mnie odepchnie, jak zobaczy za mną Wedera i Kadera w czarnych hełmach. Dlaczego miałby kłamać dla mojego dobra i być może trafić z tego powodu do Groty Katli? Ale on nie odepchnął mnie. Trzymał mnie mocno w objęciach, czułem, jak jego dobre, poczciwe ramiona chronią mnie przed wszystkim, co złe.

— Chłopaczku — odezwał się głośno, tak żeby Weder i Kader słyszeli — gdzie byłeś tak długo? Co robiłeś, nieszczęsny dzieciaku? Dlaczego żołnierze przyprowadzają cię do domu?

Mój biedny dziadek! Weder i Kader okropnie go wyłajali! Wrzeszczeli i krzyczeli, i mówili, że jeżeli nie będzie lepiej pilnował swoich wnuków, tylko pozwalał im włóczyć się po górach Nangijali, to niedługo ani jeden wnuk mu nie zostanie, już oni mu tak pokażą, że popamięta. Ale w końcu powiedzieli, że tym razem mu darują. I odjechali. Po chwili ich hełmy wyglądały jak małe, czarne punkciki na zboczu poniżej chaty Mateusza. Wtenczas rozplakałem się. Leżąc wciąż w objęciach mojego dziadka płakałem i płakałem. Bo noc była taka długa i ciężka, a teraz nareszcie minęła. Dziadek nie puszczał mnie. Kołysał mnie lekko, a ja marzyłem, ach, jak marzyłem, żeby był moim prawdziwym dziadkiem! Próbowałem mu to powiedzieć przez łzy.

— Dobrze, dobrze, mogę przecież być twoim dziadkiem — zgodził się. — Nazywam się Mateusz. A ty? — Karol Lwie... — zacząłem, ale zaraz zamilkłem. Jak mogłem do tego stopnia stracić głowę, żeby wymówić to nazwisko tu, w Dolinie Dzikich Róż!

— Kochany dziadku, moje nazwisko jest tajemnicą — powiedziałem. — Nazywaj mnie Sucharkiem!

— Aha, Sucharek — uśmiechnął się Mateusz. — Wejdz, Sucharku, do kuchni i zaczekaj na mnie. Ja tylko wprowadzę twojego konia do stajni.

Wszedłem. Kuchnia była uboga i mała, z jednym tylko stołem, jedną drewnianą ławą, kilkoma stołkami i paleniskiem. Pod ścianą stał duży kredens.

Mateusz wrócił po chwili i wtedy powiedziałem:

— My też mamy taki duży kredens w naszej kuchni w Dolinie Wiś... — i zamilkłem.

— W Dolinie Wiśni — powtórzył Mateusz, a ja patrzyłem na niego z niepokojem, bo znowu powiedziałem coś, czego nie powinno się mówić.

Mateusz nie odezwał się więcej. Podeszedł do okna i wyjrzał. Długo tak stał i wypatrywał czegoś, jakby chciał się upewnić, że nikogo nie ma w pobliżu. Potem odwrócił się do mnie i powiedział cichym głosem:

— Ten kredens jest dość szczególny. Poczekaj chwilę, to zobaczysz.

Pchnął go ramieniem i odsunął na bok. Za kredensem było okienko w ścianie. Mateusz otworzył je i za okienkiem zobaczyłem pokoik, bardzo mały. Ktoś leżał w nim na podłodze i spał.

To był Jonatan!



## Rozdział 9

Przypominam sobie, że kilka razy w życiu byłem tak szczęśliwy, że nie wiedziałem, co robić z radości. Raz, kiedy byłem jeszcze mały i dostałem pod choinkę sanki od Jonatana, na które długo składał pieniądze. No i wtedy, kiedy przyszedłem do Nangijali i zastałem Jonatana nad rzeką. A potem przez cały ten pierwszy, nadzwyczajny wieczór w Zagrodzie Jeźdźców, wtedy byłem po prostu nieprzytomny z radości. Ale nic, nic nie dorównywało chwili, kiedy znalazłem Jonatana na podłodze u Mateusza. Moje szczęście przeszło wszelkie wyobrazenie! Było to takie uczucie, jakby na cały głos śmiała się dusza. Nie dotknąłem Jonatana. Nie chciałem go budzić. Nie krzychałem ani nie szalałem z radości. Po prostu położyłem się cichutko koło niego i zasnąłem.

Jak długo spałem? Nie wiem. Chyba cały dzień. A jak się obudziłem, Jonatan siedział na podłodze przy mnie. Siedział i śmiał się, on się śmieje tak miło, jak nikt inny! Myślałem, że może nie będzie zadowolony z tego, że przyszedłem. Może już zapomniał, że wołał o pomoc. Ale teraz stwierdziłem, że jest tak samo zadowolony, jak ja. Więc ja też musiałem się śmiać, i tak siedzieliśmy, i patrzyliśmy na siebie, nic nie mówiąc przez dobrą chwilę.

— Wołałeś o pomoc — powiedziałem wreszcie.

Wtedy Jonatan przestał się śmiać.

— Dlaczego wołałeś? — spytałem.

Było to widocznie coś, o czym nie mogłem myśleć bez przygnębienia. Wydało mi się, że wołałby nie odpowiadać, kiedy cicho wyszeptał:

— Widziałem Katłę. Widziałem, co zrobiła.

Nie chciałem go męczyć pytaniami o Katłę, miałem zresztą tyle do opowiedzenia, przede wszystkim o Jossim. Jonatan ledwo mógł w to uwierzyć. Poblądł i o mało się nie rozplakał.

— Jossi, nie, nie, nie Jossi! — mówił ze łzami w oczach.

A potem zerwał się.

— Sofia musi się o tym natychmiast dowiedzieć!

— Jakim sposobem? — zdziwiłem się.

— Jest tu jedna z jej gołębic — powiedział Jonatan. — Bianka. Może polecieć dziś wieczorem do Doliny Wiśni. Ach, więc tak, gołębica Sofii, tak jak myślałem! Powiedziałem Jonatanowi, że to dzięki niej jestem tu u niego, a nie w Grocie Katli.

— To był chyba cud, że wśród tych wszystkich chat w Dolinie Dzikich Róż natrafiłem akurat na tę, gdzie ty byłeś. Ale gdyby Bianka nie siedziała przed chatą, pojechałbym dalej.

— Bianco, Bianco, dzięki ci, że tam siedziałaś — powiedział Jonatan. Nie miał jednak czasu dłużej słuchać mojego opowiadania, teraz najważniejszy był pośpiech. Poskrobał paznokciem w okienko — mogło się wydawać, że to tylko szczur drapie. Po chwili okienko otworzyło się i zajrzał Mateusz.

— Ach, ten Sucharek, wciąż śpi i śpi... — zaczął Mateusz, ale Jonatan przerwał mu:

— Przynies tu Biankę, proszę cię. Musi wyruszyć w drogę, jak tylko zacznie się ściemniać.

Wytłumaczył mu dlaczego. Opowiedział o Jossim. Mateusz kiwał głową, tak jak to robią starzy ludzie, kiedy są zmartwieni.

— Jossi! No tak, wiedziałem, że to musi być ktoś z Doliny Wiśni. Dlatego Orwar jest teraz w Grocie Katli. Mój Boże, że też istnieją tacy ludzie!

Zamknął okienko i poszedł po Biankę.

Dobra była ta kryjówka, którą Jonatan miał u Mateusza. Małeńki pokoik bez okna i bez drzwi. Wchodziło się do niego tylko przez okienko za kredensem. Nie było tam żadnych mebli, jedynie materac do spania, no i stara latarnia, która ledwo rozświetlała ciemność.

Przy tej latarni Jonatan napisał wiadomość dla Sofii:

Na wieki przekłętę imię zdrajcy: Jossi Złoty Kogut. Zajmij się nim szybko. Mój brat jest teraz tutaj. — Dlatego Bianka tu przyfrunęła wczoraj wieczorem — powiedział Jonatan. — Żeby dać znać, że wyruszyłeś mnie szukać i zaginałeś.

— W takim razie Sofia zrozumiała zagadkę, którą napisałem na ścianie w kuchni — powiedziałem. — Wtedy, jak przyniosła mi zupę.

— Jaką zagadkę? — spytał Jonatan.

— Idę szukać go daleko, daleko za górami.

Opowiedziałem mu o tym, co napisałem.

— Po to, żeby Sofia nie była niespokojna — dodałem.

Jonatan roześmiał się.

- Żeby nie była niespokojna, dobre sobie! A ja to co?

Myślisz, że byłem spokojny, jak się dowiedziałem, że jesteś gdzieś w górach Nangijali?

Musiałem mieć bardzo zawstydzoną minę, bo prędko postarał się mnie pocieszyć.

— Mój mały, odważny Sucharek! Całe szczęście, że tam byłeś, co do tego nie ma wątpliwości! A teraz jeszcze lepiej, że tu jesteś!

Pierwszy raz ktoś nazwał mnie odważnym i pomyślałem sobie, że jeżeli tak dalej będę postępował, to może na złość Jossiemu zasłużyć sobie na nazwisko Lwie Serce. Przypomniało mi się jeszcze coś, co napisałem na ścianie u nas w chacie. O rudej brodzie, która chce mieć siwe konie. Poprosiłem Jonatana, żeby dopisał jedno zdanie do meldunku:

Karol mówi, że z tą rudą brodą to była pomyłka. Opowiedziałem Jonatanowi, jak Hubert uratował mnie przed wilkami, a Jonatan powiedział, że całe życie będzie mu za to wdzięczny.

Zmierzch zapadał nad Doliną Dzikich Róż, kiedy wypuściliśmy Biankę. Na stoku poniżej chaty Mateusza we wszystkich zagrodach zaczęto zapalać światła. Tak się wszędzie wydawało cicho i spokojnie. Można było pomyśleć, że ludzie właśnie zasiadają do smacznej kolacji albo może po prostu rozmawiają z sobą, bawią się z dziećmi i śpiewają piosenki, że jest im dobrze i są zadowoleni. Wiedzieliśmy jednak, że tak nie jest. Wiedzieliśmy, że ledwo mają co jeść i że nie są spokojni i weseli, tylko po prostu nieszczęśliwi. Ludzie Tengila na murze, z mieczami i oszczepami, przypominali, jak jest naprawdę —gdyby ktoś zapomniał.

W oknach u Mateusza nie paliło się. Jego chata była taka ciemna i cicha, że zdawało się, że żywej duszy w niej nie ma. A przecież myśmy byli, choć nie w środku, tylko na dworze. Mateusz stał na straży przy rogu domu, a ja z Jonatanem i Bianką skradaliśmy się przez gęste krzaki różane. Różane chaszczki otaczały całą chatę Mateusza. Bardzo lubię dzikie róże, bo tak ładnie pachną. Nie mocno, ale tak delikatnie. Pomyślałem sobie jednak, że już nigdy nie będę mógł ich wąchać bez bicia serca, bo ten zapach będzie mi przypominał, jakżeśmy się z Jonatanem przedzierał przez krzaki, bardzo blisko muru, na którym ludzie Tengila nasłuchiwali i wypatrywali, i być może przede wszystkim kogoś o nazwisku Lwie Serce. Jonatan przyczernił sobie twarz i naciągnął kaptur nisko na oczy. Wcale nie był do siebie podobny, ani trochę. Ale i tak każde wyjście z kryjówki za kredensem, ze schowka, jak mówił, było bardzo niebezpieczne. Mógł to przypłacić życiem. Stu ludzi szukało go dzień i noc, wiedziałem o tym i mówiłem mu, ale wtedy odpowiadał:

— A niech sobie szukają.

Teraz sam chciał wypuścić Biankę, żeby być pewnym, że nikt jej nie zobaczy, jak będzie odfruwiała.

Każdy ze strażników miał swój odcinek na murze. Najbardziej musieliśmy uważać na takiego jednego grubego, który cały czas chodził tam i z powrotem po murze, tuż za zagrodą Mateusza.

Mateusz stał z latarnią przy rogu chaty i umówiliśmy się, że będzie nam dawał znaki. Powiedział:

— Jak opuszczę latarnię, to musicie wstrzymać oddech, bo Gruby Dodik będzie całkiem blisko. A jak podniosę, to znaczy, że jest za zakrętem muru, gdzie przeważnie gada z innym człowiekiem Tengila. Wtedy możecie wy-puścić Biankę.

I tak zrobiliśmy.

— Fruń, fruń — powiedział Jonatan. — Fruń, moja Bianco, nad górami Nangijali do Doliny Wiśni. I uważaj na strzały Jossiego.

Nie wiem, czy gołębie Sofii rozumieją ludzką mowę, ale wydaje mi się, że Bianka rozumiała. Bo przyłożyła dziobek do policzka Jonatana, jakby go chciała uspokoić, a potem pofrunęła. Jej biała sylwetka bardzo się odznaczała na tle ciemnego już nieba, po prostu niebezpiecznie. Jak łatwo Dodik mógł ją zauważyć, kiedy przelatowała nad murem!

Ale to się na szczęście nie stało. Dodik widocznie tak był zajęty rozmową, że nic nie słyszał ani nie widział. Mateusz, który go pilnował, nie opuścił latarni. Zobaczyliśmy, jak Bianka znika, a ja przynagliłem Jonatana, żeby jak najszybciej wrócił do swojej kryjówki. Ale on nie chciał. Jeszcze nie zaraz. Był przepiękny wieczór, tak się przyjemnie oddychało chłodnym powietrzem. Jonatan nie miał najmniejszej ochoty wpełzać do dusznego pokoiku. Nikt lepiej tego nie rozumiał niż ja, przecież tyle czasu leżałem uwięziony na kanapie w kuchni u nas w domu, w mieście.

Jonatan siedział w trawie obejmując rękami kolana i patrzył na dolinę. Siedział spokojnie i można było pomyśleć, że zamierza zostać w tym miejscu przez cały wieczór, obojętne, ilu ludzi Tengila chodziłoby po murze i szukało go.

— Dlaczego tu siedzisz? — zapytałem.

— Bo mi przyjemnie — odpowiedział. — Lubię widok tej doliny o zmierzchu. Lubię czuć chłodny powiew na twarzy. I lubię różowe róże pachnące latem.

— Ja też lubię — powiedziałem.

— Lubię kwiaty, trawę i drzewa, i łąki, i lasy, i małe śliczne jeziora — mówił dalej Jonatan. — I kiedy słońce wschodzi i zachodzi, i kiedy księżyc świeci i gwiazdy migoczą, i jeszcze inne rzeczy, których sobie w tej chwili nie przypominam.

— Ja też to lubię — powtórzyłem.

— Wszyscy ludzie lubią — powiedział Jonatan. — I jeżeli nie żądają niczego więcej, to mi wytłumacz, dlaczego nie wolno im korzystać z tego w spokoju, tylko musi przyjść jakiś Tengil i wszystko popsuć?

Nie umiałem na to odpowiedzieć. Jonatan wstał.

— Chodź, lepiej, jak już pójdziemy do domu — powiedział.

Nie mogliśmy tak od razu pobiec. Trzeba było najpierw dowiedzieć się, co z Mateuszem i gdzie jest gruby Dodik. Zrobiło się ciemno. Mateusza nie było widać, tylko światło latarni.

— Trzyma ją w górze, nie ma żadnego Dodika — powiedział Jonatan. — Chodź!

Ale w chwili, kiedy zaczęliśmy biec, światło latarni błyskawicznie opadło. Stanęliśmy w miejscu. Usłyszeliśmy zbliżające się galopem konie, które potem zwolniły i ktoś zaczął rozmawiać z Mateuszem.

Jonatan szturchnął mnie w plecy.

— Idź — szepnął. — Idź do Mateusza.

Sam rzucił się w gąszcz krzaków różanych, a ja, w okropnym strachu, poszedłem w stronę światła latarni.

— Chciałem odetchnąć trochę świeżym powietrzem — usłyszałem głos Mateusza. — Ładna dziś wieczór pogoda.

— Ładna pogoda — odezwał się zły głos. — Nie wiesz, że za przebywanie na dworze po zachodzie słońca grozi kara śmierci?

— Jesteś nieposłusznym, starym dziadkiem — dodał inny głos. — A gdzie chłopiec?

— Właśnie idzie — odpowiedział Mateusz, bo zobaczył, że się zbliżam.

Poznałem tych dwóch na koniach. To byli Weder i Kader.

— Nie wybierasz się dziś wieczorem w góry? Popatrzeć na księżyc? — spytał Weder.

— Jak ty się nazywasz, łobuzie, bo nigdy nie usłyszałem?

— Nazywają mnie Sucharkiem — odpowiedziałem. Mogłem to powiedzieć bo tego imienia nikt nie znał, ani Jossi, ani nikt inny, tylko Jonatan, ja i Mateusz.

— Sucharek! — powtórzył Kader. — No, to posłuchaj, Sucharku, jak myślisz, dlaczego przyjechaliśmy tutaj? Czuję, że nogi się pode mną uginają.

Żeby mnie wpakować do Groty Katli, pomyślałem. Pożałowali, że mnie wtedy puścili, to jasne. I teraz przyszli, żeby mnie zabrać. Bo po cóż by innego?

— Widzisz — powiedział Kader — my każdego wieczoru objeżdżamy dolinę, żeby sprawdzić, czy ludzie słuchają rozkazów Tengila. Ale twojemu dziadkowi trudno cokolwiek zrozumieć, więc może ty potrafisz mu wytłumaczyć, że źle się skończy i z nim, i z tobą, jeżeli nie będziecie siedzieć w domu po zachodzie słońca.

— I jednego nie zapomnij — dodał Weder. — Następnym razem już ci nie ujdzie na sucho, jeżeli znajdziemy cię tam, gdzie nie powinieneś być, pamiętaj o tym, Sucharku! Twój dziadek czy będzie żył, czy umrze, to obojętne. Ale ty jesteś jeszcze młody, na pewno chcesz urosnąć i zostać człowiekiem Tengila, co?

Człowiekiem Tengila! Nie, wołałbym umrzeć, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego. Potwornie się bałem o Jonatana i wiedziałem, że nie trzeba ich drażnić, więc odezwałem się grzecznie:

— Tak, chciałbym.

— Dobrze — powiedział Weder. — W takim razie bądź jutro rano przy dużym pomoście, to zobaczysz Tengila, wybawcę Doliny Dzikich Róż. Przybędzie Rzeką Prastarych Rzek na swoim złotym żaglowcu i przybije do dużego pomostu.

I już chcieli odjechać, ale Kader w ostatniej chwili wstrzymał konia.

— Słuchaj, staruchu! — krzyknął do Mateusza, który był w pół drogi do chaty. — Nie widziałeś może takiego ładnego chłopca z jasnymi włosami, co go nazywają Lwie Serce?

Trzymałem Mateusza za rękę i poczułem, jak zadrżał, ale odpowiedział spokojnie:

— Nie znam żadnego Lwie Serce.

— Aha — powiedział Kader. — Ale gdybyś przypadkiem natknął się na niego, to wiesz, co czeka tego, kto go chroni i przechowuje? Kara śmierci. Wiesz chyba, co? Mateusz wszedł ze mną do chaty i zamknął drzwi.

— Kara śmierci tu, kara śmierci tam — mruknął. — Ci ludzie o niczym innym nie myślą.

Ledwo ucichł odgłos kopyt, kiedy Mateusz znów wyszedł z latarnią. Zaraz potem zjawił się Jonatan, twarz i dłonie podrapane miał przez kolce, był jednak zadowolony, że nic bardziej niebezpiecznego się nie zdarzyło i że Bianka frunie teraz nad górami.

Potem zjedliśmy kolację. W kuchni u Mateusza. Okienko było otwarte, żeby Jonatan w razie potrzeby mógł szybko zniknąć w swojej kryjówce.

Jeszcze przed kolacją poszliśmy obaj do stajni nakarmić konie. Cudownie było widzieć je znów razem. Trzymały łby jeden przy drugim, bardzo blisko. Wydawało mi się, że opowiadają sobie o swoich przeżyciach. Dałem im owsa. Jonatan najpierw zaprotestował, ale potem zgodził się:

— Niech raz mają. Tylko że tu, w Dolinie Dzikich Róż, owsa się już koniom nie daje.

Kiedy wróciliśmy do kuchni, na stole stała miska z zupą, którą ugotował Mateusz.

— Nic innego nie mamy, a i to głównie woda — powiedział. — Ale przynajmniej ciepła.

Rozejrzałem się za chlebakiem, bo przypomniało mi się, co w nim jest. A kiedy wypakowałem chleby i udziec barani, Jonatan z Mateuszem westchnęli i oczy im się zaświeciły. Bardzo było przyjemnie móc ich zaprosić prawie na ucztę. Nakroiłem dużych plastrów baraniny i zabraliśmy się do jedzenia wszystkiego naraz. Jedliśmy i jedliśmy! Przez długi czas nikt nic nie mówił. Aż w końcu Jonatan odezwał się:

— Ach, najeść się! Prawie zapomniałem, co to za uczucie być najedzonym!

Coraz bardziej się cieszyłem, że jestem w Dolinie Dzikich Róż, coraz bardziej byłem przekonany, że stało się dobrze. Opowiedziałem im teraz dokładnie o wszystkim, co mi się zdarzyło od wyjazdu z domu aż do chwili, kiedy Weder i Kader pomogli mi się dostać do Doliny Dzikich Róż. Większość moich przygód zdążyłem opowiedzieć już wcześniej, ale Jonatan chciał wszystko usłyszeć jeszcze raz. Zwłaszcza o Wederze i Kaderze. Śmiał się akurat tak, jak przewidywałem. Mateusz też się śmiał.

— Zbyt chytry to oni nie są, ci ludzie Tengila — zauważył. — Ale takie mają o sobie mniemanie. — To prawda. Nawet ja potrafiłem ich oszukać. Gdyby tylko byli wiedzieli, że ten mały braciszek, którego bardzo chcą złapać, to ja! Że jemu właśnie pomogli się dostać do Doliny Dzikich Róż i puścili go wolno. Kiedy to powiedziałem, zacząłem się zastanawiać. Nie myślałem o tym przedtem, teraz jednak zapytałem:

— Jakim cudem ty, Jonatanie, dostałeś się do Doliny Dzikich Róż?

Jonatan zaśmiał się.

— Wskoczyłem — odpowiedział.

— Jak to wskoczyłeś? Chyba nie na Grimie?

— Owszem. Nie mam innego konia.

Widziałem kiedyś, jak Jonatan skakał na Grimie. Wiedziałem, że potrafi. Ale żeby przeskoczyć mur, który otacza Dolinę Dzikich Róż, to nie do wiary!

— Wiesz — powiedział Jonatan — mur nie był wtenczas całkiem gotowy. Nie wszędzie i nie do całej wysokości. Chociaż i tak był dość spory, możesz mi wierzyć!

— No, a strażę? — zapytałem. — Nikt cię nie zobaczył?

Jonatan odgryzł kawałek chleba i znów się zaśmiał.

— Owszem, miałem ich całe mrowie za sobą i Grim dostał strzałę w zad. Ale uratowałem się i jeden miły wieśniak schował nas w swojej stodole. Potem przeprowadził mnie nocą tu, do Mateusza. Teraz wiesz już wszystko.

— Nie, wcale nie wszystko — wtrącił Mateusz. — Nie wiesz, że ludzie w dolinie śpiewają pieśni o tym skoku i o Jonatanie. Jego przyjazd tutaj to jedyna wesoła rzecz, jaka się zdarzyła w

Dolinie Dzikich Róż od czasu, kiedy Tengil się do niej wdarł i zrobił z nas niewolników. Jonatan, nasz wybawiciel” — śpiewają, bo wierzą, że uwolni Dolinę Dzikich Róż. Ja też w to wierzę. Teraz dopiero wiesz wszystko.

— Wcale jeszcze nie wiesz wszystkiego — powiedział Jonatan. — Nie wiesz, że od czasu kiedy Orwar siedzi w Grocie Katli, Mateusz stoi na czele podziemnej walki w Dolinie Dzikich Róż. Mateusza powinni nazywać wybawicielem, nie mnie.

— Ech, ja jestem za stary — zachnął się Mateusz. — Ten Weder miał rację. Obojętne, czy żyję, czy nie.

— Nie wolno ci tak mówić — odezwałem się. — Jesteś teraz moim dziadkiem.

— No, dobrze, dobrze. Może i warto, żebym z tego powodu został przy życiu. Ale nie nadaję się już do prowadzenia walki. Na to trzeba być młodym.

Westchnął.

— Żeby tylko Orwar tu był! Ale on siedzi w Grocie Katli. I Katla go w końcu dostanie.

Zauważyłem, że Jonatan zbladł.

— Zobaczymy — mruknął — kogo Katla w końcu dostanie.

A potem dodał:

— Teraz musimy zabrać się do pracy. Tego też nie wiesz, Sucharku, że w tej chacie śpimy w dzień, a pracujemy w nocy. Chodź, to zobaczysz.

Wpełznął pierwszy przez okienko do kryjówki i coś mi pokazał. Odrzucił materac, na którym spaliśmy, i wyjął spod niego kilka luźnych, szerokich desek podłogowych. Zobaczyłem czarną, głęboką dziurę w ziemi.

— Tu się zaczyna moje podziemne przejście — powiedział Jonatan.

— A gdzie się kończy? — spytałem, choć prawie mogłem zgadnąć, co odpowie.

— W lesie, po drugiej stronie muru. Tam się skończy, kiedy będzie gotowe. Jeszcze tylko kilka nocy, potem będzie chyba wystarczająco długie.

Opuścił się do dziury.

— Muszę jeszcze kawałek wygrzebać — powiedział. — Bo, jak sam rozumiesz, nie chcę wyjść z ziemi tuż przed nosem Grubego Dodika.

Potem zniknął, a ja długo siedziałem i czekałem. Po jakimś czasie ukazał się, popychając przed sobą nieckę pełną ziemi. Podał mi ją, a ja przesunąłem ją przez okienko do rąk Mateusza.

— Przybywa ziemi na moim polu – cieszył się Mateusz. — Gdybym jeszcze mógł posiać trochę grochu i fasoli, to byłby koniec z głodem.

— Tak ci się wydaje — powiedział Jonatan. — Z dziesięciu fasoli na twoim polu Tengil zabierze dziewięć. Zapomniałeś o tym?

— Masz rację — odpowiedział Mateusz. — Dopóki istnieje Tengil, będzie bieda i głód w Dolinie Dzikich Róż. Mateusz musiał teraz wyjść ukradkiem i wysypać ziemię z niecki na swoim polu. Mnie kazał stać na straży w drzwiach. Jonatan powiedział, żebym gwizdał, jeżeli zauważę cokolwiek, co mogłoby być niebezpieczne. Miałem gwizdać taką specjalną melodię, której nauczył mnie dawno temu, kiedy żyliśmy na ziemi. W tamtych czasach często gwizdaliśmy razem. Przeważnie wieczorem, po położeniu się. Więc pewnie zawsze będę umiał gwizdać.

Jonatan wrócił do dziury, żeby dalej kopać, Mateusz zamknął okienko i zasunął kredens.

— Wbij sobie jedną rzecz do głowy, Sucharku — powiedział. — Żebyś nigdy a nigdy nie zostawił Jonatana tam w środku, nie zamykając okienka i nie zasuwając kredensu. Wbij sobie do głowy, że jesteś w kraju, gdzie rządzi Tengil.

— Nie zapomnę — odpowiedziałem.

W kuchni było dość ciemno. Na stole stała tylko jedna świeca, ale Mateusz zgasił ją.

— Noc w Dolinie Dzikich Róż ma być ciemna — powiedział. — Jest tu bardzo dużo oczu, które chciałyby zobaczyć to, czego nie powinny.

Wziął nieckę i wyszedł, a ja stanąłem na straży w otwartych drzwiach. Było rzeczywiście ciemno, tak jak chciał Mateusz. I w chatach, i na niebie. Nie świeciły ani gwiazdy, ani księżyc, wszystko było tak czarne, że w ogóle nic nie widziałem. Pomyślałem sobie, że te różne oczy, o których mówił Mateusz, też nic nie widzą, i to mnie pocieszyło.

Ogarnęło mnie niesamowite, przynębiające uczucie, kiedy tak stałem samotnie i czekałem. Mateusz długo nie wracał. Zacząłem się niepokoić, z każdą chwilą coraz bardziej. Dlaczego nie wraca? Wpatrywałem się w ciemność. Jakoś już chyba nie było tak ciemno, jak przedtem? Nagle wydało mi się, że jest znacznie jaśniej. A może tylko oczy się przyzwyczyły? Wtedy zauważyłem dlaczego. To księżyc przedarł się przez chmury. Nic gorszego nie mogło się stać, więc tylko prosiłem Boga, żeby Mateusz zdążył z powrotem, póki jest jeszcze trochę ciemno i można się schować. Ale już było za późno. Księżyc wytoczył się w pełni blasku, strumień jego światła padł na dolinę.

W tym świetle zobaczyłem Mateusza. Zobaczyłem go z daleka, jak szedł z niecką między krzakami dzikich róż. Rozejrzałem się w panice, miałem przecież trzymać straż. I wtenczas dostrzegłem jeszcze coś. Dodika! Grubego Dodika, który plecami do mnie spuszczał się z muru po drabinie sznurowej.

Trudno gwizdać, jak się jest w strachu, więc nie wyszło to najlepiej. Ale jakoś udało mi się wydobyć z siebie umówioną melodię i Mateusz szybko jak jaszczurka zniknął za najbliższym krzakiem.

Tymczasem Dodik już był przy mnie.

— Dlaczego gwizdziesz? — wrzasnął.

— Bo... bo się dziś nauczyłem — wymamrotałem. — Nie umiałem gwizdać, a dziś, wyobraź sobie, okazało się nagle, że umiem. Chcesz posłuchać?

Zacząłem gwizdać, ale Dodik przerwał.

— Przezań — powiedział. — Nie wiem, co prawda, czy gwizdanie jest zabronione, ale chyba. Nie wydaje mi się, żeby Tengil to lubił. A poza tym drzwi powinny być zamknięte, rozumiesz?

— Tengil nie lubi, jak są otwarte? — zapytałem.

— Nie twoja sprawa — odpowiedział Dodik. — Rób, co ci mówię. Tylko najpierw daj mi kubek wody. Okropnie mi się chce pić od tego chodzenia po murze. Od razu zrozumiałem, co się stanie, jeżeli Dodik wejdzie do kuchni i nie zastanie w niej Mateusza. Biedny Mateusz! Kara śmierci dla każdego, kto wychodzi na dwór w nocy. Niemało o tym słyszałem.

— Zaraz ci dam — powiedziałem szybko. — Zaczekaj tu, przyniosę ci wody.

Wpadłem do kuchni i po ciemku wymacałem drogę do beczki z wodą. Wiedziałem, w którym jest rogu. Znalazłem też kubek i napełniłem go. W tym momencie poczułem, że ktoś stoi za mną, tak, to on stał w ciemności, tuż za moimi plecami. Bardziej niesamowitego uczucia chyba nigdy nie przeżyłem.

— Zapal świecę — rozkazał Dodik. — Chcę zobaczyć, jak wygląda taka szcurza nora.

Ręce mi się trzęsły, trząłem się cały, ale jakoś udało mi się zapalić świecę.

Dodik wziął kubek. Pił i pił, jakby nie było w nim dna. Potem rzucił go na ziemię i rozejrzał się podejrzliwie małymi paskudnymi oczkami. No i oczywiście zadał mi to pytanie, którego się spodziewałem.

— A ten staruch, Mateusz, co tu mieszka, gdzie jest?

Milczałem. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— Nie słyszałeś, o co pytam? — krzyknął Dodik. — Gdzie jest Mateusz?

— Śpi — wybełkotałem. Coś trzeba było wymyślić.

— Gdzie? — spytał Dodik.

Za kuchnią była mała izdebka, w której Mateusz miał swoje łóżko. Ale wiedziałem, że teraz tam nie śpi. Mimo to pokazałem na drzwi do izby i powiedziałem:

— Tam.

Właściwie pisałem tylko, bardzo, bardzo cicho. Zabrzmiało to żałośnie i Dodik wyśmiał mnie.

— Źle kłamiesz — szydził. — Czekaj, zobaczymy.

Był bardzo zadowolony. Wiedział, że kłamię, i pewnie miał ochotę doprowadzić do kary śmierci dla Mateusza i otrzymać pochwałę od Tengila.

— Daj świecę — rozkazał, więc posłuchałem.

Najchętniej byłbym uciekł stamtąd, po prostu rzuciłbym się w drzwi, odnalazł Mateusza i powiedział mu, żeby uciekał, póki czas. Ale nie mogłem się ruszyć z miejsca. Stałem jak wryty i było mi niedobrze ze strachu.

Dodik zauważył to z przyjemnością. Nie spieszyło mu się wcale, o, nie! Uśmiechał się z prawdziwym zadowoleniem i przeciągał tę sytuację, żebym ja jeszcze bardziej się bał. Wreszcie przestał się uśmiechać i powiedział:

--- Chodź, smarkaczu, pokaż mi, gdzie Mateusz śpi.

Kopniakiem otworzył drzwi do izby i pchnął mnie. Potknąłem się o wysoki próg i upadłem. Wtedy podniósł mnie szarpnięciem i stanął przede mną ze świecą w rękę.

--- Ty kłamczuchu, no, pokaż! - Podniósł świecę, żeby oświetlić ciemną izbę.

Nie miałem odwagi ani się ruszyć, ani popatrzeć. Najchętniej w ogóle bym przestał istnieć, taki byłem zrozpaczony.

Nagle, w chwili kiedy w ogóle nie wiedziałem, co zrobić doszedł do mnie gniewny głos Mateusza:

- Co tu się dzieje? Nawet w nocy nie można spać spokojnie?

Podniosłem wzrok i - zobaczyłem Mateusza! Siedział na łóżku, w najdalszym i najciemniejszym kącie, i mrużył oczy w stronę światła. Na sobie miał tylko koszulę, włosy mu się zmierzwiły, tak jakby długo spał. Przy otwartym oknie, oparta o ścianę, stała niecka. Ten mój przybrany dziadek był naprawdę szybki jak jaszczurka!

Aż prawie żal było patrzeć na Dodika. Nigdy nie widziałem nikogo, kto by wyglądał tak bezdennie głupio jak on, kiedy wytrzeszczył oczy na Mateusza

--- Przyszedłem napić się wody — powiedział zagniewanym głosem.

— Wody, ach, tak — odpowiedział Mateusz. — Nie wiesz, że Tengil zabronił wam pić wodę u nas? Boi się żebyśmy was nie otruli. A ja to zrobię, jeżeli jeszcze raz przyjdiesz i obudzisz mnie.

Nie rozumiem, skąd miał odwagę odezwać się w ten sposób do Dodika. A może tak właśnie trzeba rozmawiać z ludźmi Tengila? Bo Dodik tylko chrząknął ponuro i poszedł sobie.



## Rozdział 10

Nigdy przedtem nie widziałem naprawdę okrutnego człowieka, dopóki nie zobaczyłem Tengila z Karmaniaki.

Przypłynął Rzeką Prastarych Rzek na złotej szalupie, a ja stałem przy moście razem z Mateuszem.

Posłał mnie tam Jonatan. Chciał, żebym zobaczył Tengila.

„Łatwiej ci będzie zrozumieć — powiedział — dlaczego ludzie tu w dolinie pracują jak niewolnicy, głodują i umierają z jedną tylko myślą i marzeniem — żeby zobaczyć swoją dolinę znów wolną”.

Tengil miał twierdzę wysoko w Prastarych Górach. Tam mieszkał. Tylko od czasu do czasu przypływał rzeką do Doliny Dzikich Róż, a przypływał po to, żeby zasiać wśród ludzi strach, żeby nikt nie zapomniał, kim on jest, i nie zaczął zanadto marzyć o wolności — tak mówił Jonatan. Z początku mało co widziałem. Stało przede mną strasznie dużo żołnierzy. Całe długie szeregi, które miały chronić Tengila podczas jego pobytu w Dolinie Dzikich Róż. Boi się widocznie, myślałem sobie, żeby jakaś strzała nie przyleciała ze świstem z jakiejś zasadzki. Tyrani zawsze się boją, mówił Jonatan. A Tengil był najgorszym ze wszystkich tyranów.

Tak więc z początku nie widzieliśmy prawie nic, ani Mateusz, ani ja, ale potem wpadłem na pomysł. Żołnierze stali na zuchwale rozkraczonych nogach. Gdybym się położył płasko na brzuchu za tym, który najszerzej rozstawił nogi, mógłbym coś dojrzeć.

Ale Mateusza nie udało mi się na to namówić.

— Najważniejsze, żebyś ty widział — powiedział. — I żebyś nigdy nie zapomniał tego, co tu dziś zobaczysz.

I zobaczyłem! Duża, wspaniała, złocona szalupa płynęła rzeką, z czarno ubranymi ludźmi przy wiosłach. Dużo było tych wiosł, więcej, niż mogłem zliczyć, ich pióra błyszczały w słońcu przy każdym wynurzeniu się z wody. Wioślarze ciężko pracowali, bo silny prąd groził porwaniem statku. Może był to nurt rwący w kierunku jakiegoś wodospadu, gdzieś w dole rzeki, bo z daleka dochodził jakby huk spadającej, ogromnej wody.

— Słysząc wodospad Karma — powiedział Mateusz, kiedy go zapytałem. — Jego pieśń to nasza kołysanka tu w dolinie, dzieci słuchają jej przed snem.

Pomyślałem o dzieciach w Dolinie Dzikich Róż. Kiedyś na pewno biegały nad rzeką, bawiły się, pluskały w wodzie i było im wesoło. Teraz nie mogą tego robić. Z powodu muru, tego beznadziejnego muru, który wszystko zamyka. Są w nim tylko dwie bramy: ta, przez którą ja wszedłem, nazywana wielką bramą, i druga przy rzece, z pomostem na zewnątrz, przy którym została przycumowana szalupa Tengila. Tę właśnie bramę dopiero co otworzono z okazji jego przyjazdu. Pod jej łukiem, między nogami żołnierzy, zobaczyłem pomost i czarnego ogiera Tengila, który tam na niego czekał, bardzo wspaniałego. Siodło, uzda i wodze błyszczały od złota. Zobaczyłem, jak Tengil podchodzi, wskakuje na siodło i wjeżdża przez bramę. Nagle znalazł się tak blisko mnie, że zobaczyłem jego okrutną twarz i oczy. Okrutny jak wąż, mówił Jonatan, i tak rzeczywiście wyglądał, zionął okrucieństwem i żądzą krwi. Strój, który nosił, był czerwony jak krew, pióra na hełmie też czerwone, jakby umoczone we krwi. Oczy patrzyły prosto przed siebie, ale nie widział ludzi, wydawało się, że nie ma dla niego nikogo innego na świecie, nikogo prócz niego — Tengila z Karmaniaki. Och tak, był potworny!

Wszystkim z Doliny Dzikich Róż kazano przyjść na rynek, gdzie Tengil miał przemawiać. Oczywiście obaj z Mateuszem też tam poszliśmy.

Był to bardzo ładny, mały rynek, otoczony pięknymi, starymi domami. Tengil miał tam teraz wszystkich, wszystkich ludzi z Doliny Dzikich Róż, dokładnie tak, jak rozkazał. Stali w milczeniu i

czekali, ale mimo to dobrze się wyczuwało ich rozgoryczenie i smutek. Tu właśnie, na rynku, na pewno spędzali dawniej miłe chwile. Pewnie tańczyli, grali i śpiewali podczas letnich wieczorów albo może po prostu siedzieli na ławce pod gospodą i rozmawiali w cieniu lip.

Rosły tam dwie stare lipy i Tengil zajął miejsce między nimi. Siedział wciąż na koniu i patrzył ponad rynkiem i ludźmi. Nie widział nikogo, jestem tego pewny. Obok siebie miał swego doradcę, takiego pyszałka imieniem Piuke, jak mi powiedział Mateusz. Piuke siedział na siwym koniu, niemal równie pięknym jak kary Tengila, i tak siedzieli jak dwaj władcy i nic, tylko patrzyli przed siebie. Długo to trwało. Dookoła nich trzymali straż żołnierze, ludzie Tengila w czarnych hełmach i czarnych płaszczach, z wydobytymi mieczami. Widać było, że zlewa ich pot, bo słońce stało już wysoko na niebie i dzień był ciepły.

— Co powie Tengil, jak myślisz? — spytałem Mateusza.

— Że jest z nas niezadowolony — odpowiedział Mateusz. — Nigdy nie mówi nic innego.

Sam Tengil zresztą nie odzywał się. Nie mógł mówić do niewolników. Mówił tylko do Piuka, a ten obwieszczał, jaki Tengil jest niezadowolony z ludzi w Dolinie Dzikich Róż. Za mało pracują, a na dodatek pomagają jego wrogom.

— Lwie Serce jeszcze nie został znaleziony — powiedział Piuke. — Nasz łaskawy książę gniewa się z tego powodu.

— No tak, rozumiem, rozumiem — mruknął ktoś tuż koło mnie. Był to jakiś nieszczęśnik, cały w łachmanach. Taki mały staruszek ze zwichrzoną czupryną i siwą, zwichrzoną brodą.

— Cierpliwość naszego łaskawego księcia niedługo się wyczerpie — mówił Piuke — i będzie karał Dolinę Dzikich Róż surowo i bezwzględnie.

— Tak, tak, słusznie robi, słusznie — zaskomlał staruszek koło mnie, a ja uznałem, że to chyba jakiś pomylenie, ktoś, kto nie ma dobrze w głowie.

— Jednakże — mówił dalej Piuke — nasz łaskawy książę w swojej ogromnej dobroci wstrzyma się jeszcze trochę z zastosowaniem krwawej kary, a nawet obiecuje nagrodę. Dwadzieścia siwych koni dla tego, kto schwyta Lwie Serce.

— No, to ja tego małego lisa przyłapię — powiedział staruszek i szturchnął mnie w bok. — Dostanę dwadzieścia siwych koni od naszego łaskawego księcia, to dobra zapłata za takiego małego lisa.

Tak mnie to rozzłościło, że najchętniej byłbym go uderzył. Nawet jeżeli był idiotą, nie wolno mu było mówić tak głupio.

— Nie masz wstydu — szepnąłem, a on się zaśmiał.

— Nie, niewiele — odpowiedział i spojrzał mi prosto w twarz. Zobaczyłem jego oczy. Takie śliczne, błyszczące oczy miał tylko Jonatan.

To była prawda, rzeczywiście nie miał żadnego wstydu! Jak mógł być tak zuchwały, żeby przyjść tutaj, pod sam nos Tengila! Choć naturalnie nikt by go nie rozpoznał. Nawet Mateusz nie zauważył, że to on, dopóki Jonatan nie poklepał go po plecach i nie powiedział:

— Stary człowieku, czyśmy się już kiedyś nie widzieli?

Jonatan lubił się przebierać. Nieraz wieczorami odgrywał przede mną teatr w kuchni. To znaczy, kiedyśmy żyli na ziemi. Umiał świetnie się przebierać i zabawnie wyglądać. Śmiałem się czasem tak, że aż mnie brzuch bolał.

Ale teraz, tu, przed Tengilem, to było zbyt zuchwałe!

— Ja też muszę zobaczyć, co się będzie działo — szepnął, tym razem już bez śmiechu. Bo i nie było z czego się śmiać.

Tengil kazał wszystkim mężczyznom z Doliny Dzikich Róż ustawić się w rzędzie przed nim i pokazywał swoim okrutnym wskazującym palcem tych, którzy mieli być zawiezieni na drugą stronę rzeki, do Karmaniaki. Wiedziałem, co to znaczy, Jonatan opowiadał mi. Nikt z tych, których wybrał, nie wróci żywy. Będą ciężko pracować w Karmaniace, jak niewolnicy, będą nosić kamienie na fortecę, którą Tengil kazał budować w najwyższym miejscu Prastarych Gór. Miała to być forteca, której żaden wróg nigdy nie potrafiłby zdobyć, i tam Tengil będzie siedział przez długie lata, pogrążony w swoim okrucieństwie, i wreszcie będzie się czuł bezpieczny. Do zbudowania takiej fortecy trzeba było dużo niewolników i musieli ciężko pracować, do upadłego. „Potem dostaje ich Katla” — powiedział Jonatan. Kiedy to sobie przypomniałem, dreszcz po mnie przebiegł mimo ciepłego słońca. A przecież Katla była dla mnie tylko paskudnym imieniem, niczym więcej.

Podczas gdy Tengil wybierał ofiary, na rynku panowała cisza. Tylko mały ptaszek siedział na czubku lipy i śpiewał prześlicznie. Na pewno nie wiedział, co Tengil robi w dole, pod drzewem.

Potem wybuchł płacz. Okropne było słyszeć, jak płakały kobiety, które miały stracić mężów, i dzieci, które już nigdy nie zobaczą swoich ojców. Wszyscy zresztą płakali. Ja też.

Tengil nie słyszał tego. Siedział na koniu i wybierał, a diament na jego wskazującym palcu błyskał za każdym razem, kiedy skazywał kogoś na śmierć. To było straszne, wystarczał mu palec, żeby skazywać ludzi na śmierć! Tymczasem jeden z tych, których wybrał, najwidoczniej zwariował słysząc płacz swoich dzieci. Nagle wyrwał się z szeregu i zanim żołnierze zdążyli go zatrzymać, rzucił się w stronę Tengila.

— Tyranie! — krzyczał. — Ty też kiedyś umrzesz, nie pomyślałeś o tym?

I splunął na niego.

Tengil nie zrobił najmniejszego grymasu. Dał tylko znak ręką, a żołnierz, który stał najbliżej, podniósł miecz.

Zobaczyłem błysk w świetle słońca, ale w tym momencie Jonatan złapał mnie za szyję i przycisnął do piersi, chowając moją twarz, tak że nic więcej nie widziałem. Czułem jednak, a może słyszałem, jak coś łkało w piersi Jonatana. W drodze do domu Jonatan płakał. A przecież nigdy mu się to na ogół nie zdarzało.

Tego dnia w Dolinie Dzikich Róż panował powszechny lament. Wszyscy lamentowali. Wszyscy oprócz żołnierzy Tengila. Ci, wręcz przeciwnie, byli zadowoleni z każdej jego wizyty w dolinie, bo urządzał wtedy ucztę dla swoich ludzi. Ledwo krew zdążyła wyschnąć po tym biedaku zabitym na rynku, a już ustawiono tam duże kadzie pełne piwa i pieczono na roznach całe świny. Śwąd rozchodził się po całej dolinie, a wszyscy ludzie Tengila jedli i pili, i wychwalali swojego pana, który dał im tyle dobrych rzeczy.

— Zjadają świny z Doliny Dzikich Róż, ci bandyci — powiedział Mateusz — i piją nasze piwo.

Tengil nigdy nie zostawał na uczcie. Po wybraniu ofiar przepłynął z powrotem na drugą stronę rzeki.

— A teraz na pewno siedzi bardzo zadowolony w swojej twierdzy i myśli, że posiał strach w Dolinie Dzikich Róż — powiedział Jonatan, kiedy wracaliśmy do domu. — Myśli pewnie, że tu są teraz wyłącznie przerażeni niewolnicy i nic więcej.

— Myli się co do tego — wtrącił Mateusz. — On nie rozumie, ten Tengil, że nigdy mu się nie uda złamać ludzi, którzy walczą o swoją wolność i trzymają się razem, tak jak my.

Przechodziliśmy koło małej chaty otoczonej jabłoniami i Mateusz powiedział:

— Tu mieszkał ten, co go właśnie zabili.

Na kamiennym progu przed wejściem siedziała kobieta, poznałem ją, była na rynku, pamiętałem, jak krzyknęła, kiedy Tengil wskazał na jej męża. Siedziała teraz z nożycami w ręku i obcinała swoje długie, jasne włosy.

— Co robisz, Antonio? — spytał Mateusz. — Dlaczego obcinasz włosy?

— Będą z nich cięciwy — odpowiedziała Antonia. Nie odezwała się więcej. Ale nigdy nie zapomnę wyrazu jej oczu, jak to mówiła.

W Dolinie Dzikich Róż kara śmierci grozi za różne rzeczy, mówił Jonatan. Najbardziej niebezpieczne i najbardziej zakazane jest posiadanie broni. Żołnierze Tengila często chodzą po domach i podwórzach i szukają schowanych łuków, mieczy i oszczepów. Ale nigdy nic nie znajdują. A jednak nie ma ani jednej chaty, ani jednej zagrody, gdzie by nie ukrywano czy nie wykuwano broni potrzebnej do walki, która w końcu musi przecież nastąpić. Tak mówił Jonatan.

Tengil obiecał siwe konie w nagrodę także dla tych, którzy potrafią wskazać schowki na broń.

— Co za głupota — powiedział Mateusz. — Czy on naprawdę myśli, że w Dolinie Dzikich Róż jest choć jeden zdrajca?

— Nie. Ale w Dolinie Wiśni mamy jednego — powiedział Jonatan smutnym głosem. Wiedziałem naturalnie, że ten starzec z brodą i w łachmanach, który idzie koło mnie, to Jonatan, ale trudno było o tym pamiętać z powodu jego wyglądu.

— Jossi nie widział aż takiego okrucieństwa i ucisku, jaki myśmy widzieli — zauważył Mateusz. — Inaczej nigdy by nie mógł robić tego, co robi.

— Jestem ciekaw, co Sofia sobie myśli — powiedział Jonatan. — I bardzo bym chciał wiedzieć, czy Bianka dofrunęła żywa.

— Miejmy nadzieję, że tak — westchnął Mateusz — i że Sofia uniemożliwiła Jossiemu dalsze działanie. Gdyśmy przyszli do zagrody Mateusza, okazało się, że Gruby Dodik leży w trawie i gra w kości z innymi ludźmi Tengila. Mieli widocznie wolny dzień, bo leżeli w gąszczu krzaków różanych całe popołudnie, widzieliśmy ich z okna kuchennego. Grali w kości, jedli wieprzowinę i pili piwo, które przynieśli z rynku w wiadrach pełnych po brzegi. Po jakimś czasie nie mieli już siły grać w kości. Jedli mięso i popijali piwem. Potem już tylko pili piwo. A potem nic nie robili, tylko pełzali w krzakach jak chrząszcze. W końcu wszyscy czterej zasnęli.

Ich hełmy i płaszcze leżały w trawie. Nikt w taki ciepły dzień nie mógł, rzecz jasna, pić piwa w grubym płaszczu wełnianym.

— Gdyby Tengil o tym wiedział, kazałby ich wychłostać — powiedział Jonatan.

Potem szybko wyszedł na dwór i zanim zdążyłem się wystraszyć, już był z powrotem z jednym płaszczem i jednym hełmem.

— Po co ci ten ohydny kawał sukna? — zdziwił się Mateusz.

— Jeszcze nie wiem. Ale może nadejść chwila, kiedy mi się przyda.

— Może też nadejść chwila, kiedy cię z tego powodu złapią i oskarżą — powiedział Mateusz.

Jonatan zerwał z siebie łachmany i brodę, włożył hełm i płaszcz i od razu zrobił się podobny do człowieka Tengila. To było wstrętne. Mateusz wzdrygnął się i poprosił go, żeby, na litość boską, schował ten ohydny strój do kryjówki za kredensem. Jonatan posłuchał go.

Potem położyliśmy się i spaliśmy przez resztę dnia i dlatego nie wiem, co się działo, kiedy Gruby Dodik i jego towarzysze obudzili się i zaczęli się zastanawiać, czyjego hełmu i czyjego płaszcza brak.

Mateusz też spał, ale powiedział nam potem, że jak się na chwilę obudził, z gąszczy różanego dochodziły krzyki i przekleństwa.

W nocy pracowaliśmy dalej nad podziemnym przejściem.

— Jeszcze trzy noce, nie więcej — powiedział Jonatan.

— A potem co się stanie? — zapytałem.

— Potem stanie się to, po co tu przyszedłem. Może się nie uda, ale muszę w każdym razie spróbować. Będę się starał uwolnić Orwara.

— Ale ze mną — oświadczyłem. — Drugi raz mnie nie zostawisz. Gdzie pójdiesz, pójdę z tobą.

Jonatan patrzył na mnie przez długą chwilę, a potem uśmiechnął się.

— Dobrze, jeżeli naprawdę chcesz, to ja też chcę — powiedział.

## Rozdział 11

Wszyscy żołnierze Tengila bardzo się ożywili po takich ilościach mięsa i piwa i wszystkim widocznie zachciało się dostać dwadzieścia siwych koni, bo zabrali się niesłychanie energicznie do szukania Jonatana. Przez kilka najbliższych dni od rana do wieczora przetrząsali i przeszukiwali każdy dom w dolinie, każdy kąt. Jonatan musiał siedzieć w swoim pokoiku, aż w końcu prawie się już dusił.

Weder i Kader jeździli wszędzie dokoła i czytali obwieszczenia o moim bracie. Któregoś razu usłyszałem na własne uszy o „Jonatanie Lwie Serce, wrogu Tengila, który bez pozwolenia przedostał się przez mur i nadal znajduje się w nieznanym miejscu w Dolinie Dzikich Róż”. Opisywali, jak wygląda. Że jest „wybitnie pięknym młodzieńcem, szczupłej budowy, o jasnych włosach i ciemnoniebieskich oczach”. Tak mówili i tak widocznie określił go Jossi. I znowu w kółko słyszało się o karze śmierci dla tego, kto ukrywa Lwie Serce, i o nagrodzie dla tego, kto go wyda.

Podczas gdy Weder i Kader wszędzie o tym trąbili, ludzie przychodzili do chaty Mateusza, żeby pożegnać się z Jonatanem i podziękować mu za wszystko, co dla nich zrobił. Okazuje się, że zrobił znacznie więcej, niż wiedziałem.

— Nigdy cię nie zapomnimy — mówili ze łzami w oczach i przynosili mu chleb, chociaż sami prawie nic nie mieli do jedzenia.

— Przyda ci się — mówili — bo wybierasz się w ciężką i niebezpieczną drogę. A potem szybko wychodzili, żeby zdążyć usłyszeć jeszcze raz Wedera i Kadera, po prostu dla zabawy.

Do zagrody Mateusza też przyszli żołnierze. Kiedy weszli, siedziałem na stołku w kuchni i znieruchomiałem ze strachu. Ale Mateusz był pewny siebie.

— Czego szukacie? — zapytał. — Ten Lwie Serce to według mnie w ogóle nie istnieje. Sami go wymyśliliście, żeby móc się wszędzie kręcić i robić bałagan u ludzi.

To prawda, że robili bałagan. U nas zaczęli od głównej izby. Wyrzucili całą pościel na podłogę. Potem przeszukali szafę, która tam stoi, i też wszystko z niej wyrzucili. To nie miało żadnego sensu, bo nie myśleli chyba, że Jonatan siedzi w szafie.

— Może zajrzycie też do szafki nocnej? — spytał Mateusz. To ich rozzłościło.

Potem poszli do kuchni i rzucili się na kredens, a ja dalej siedziałem na stołku, nieprzytomny ze strachu, ale czułem, jak wzbiera we mnie nienawiść. Właśnie tego wieczoru mieliśmy z Jonatanem opuścić dolinę i pomyślałem, że jeżeli teraz go znajdują, to nie wiem, co zrobić. Los nie może być tak okrutny, by znaleźli Jonatana w ciągu ostatnich jego godzin w Dolinie Dzikich Róż.

Mateusz wypchał kredens starymi ubraniami, owczą wełną i różnymi śmieciami, żeby zagłuszyć wszelkie odgłosy z wnętrza kryjówki. A oni wyrzucili cały ten kram na podłogę w kuchni.

A potem! Potem miałem ochotę krzyknąć tak, żeby dom się zawalił. Bo jeden z nich przyparł ramię do kredensu, by go przesunąć. Ale nie wydobyłem z siebie ani piśnięcia. Siedziałem zeszywniały na stołku i tylko nienawidziłem go, nienawidziłem wszystkiego w nim, jego grubych dłoni i tłustego karku, i tej jego brodawki na czole! Nienawidziłem go, bo wiedziałem, że za chwilę odkryje okienko do kryjówki, co oznaczałoby koniec dla Jonatana.

Wtem jednak rozległ się krzyk. To Mateusz krzyknął.

— Ratunku! Pali się! — wołał. — Czy Tengil wam kazał podpalić chałupę?

Nie wiem, jak to się stało, ale było tak, jak mówił. Na podłodze, głośno trzaskając, paliła się owcza wełna. Żołnierze rzucili się, żeby gasić. Skakali, deptali, klęli, wrzeszczeli, aż w końcu przewrócili na to wszystko beczkę z wodą. Pożar przygasł, prawie zanim się zaczął. Ale Mateusz mimo to wymyślał im i był wściekły.

— Oszaleliście? Jak można wyrzucać wszystko na podłogę tuż przy palenisku, gdzie się ostro pali! Tego z brodawką ogarnęła furia.

— Milcz, staruchu! — krzyknął. — Bo znajdę niejeden sposób, żeby ci zatkać gębę!

Ale Mateusz nie dał się wystraszyć.

— Macie sprzątnąć po sobie — rozkazał. — Patrzcie, jak tu wygląda! Jak w chlewie!

Był to właściwy sposób, żeby się ich pozbyć.

— Sprzątnij sam swój chlew, staruchu — odpowiedział ten z brodawką i pierwszy wyszedł. Tamci poszli za nim. Zostawili za sobą szeroko otwarte drzwi.

— A to dumnie! — powiedział Mateusz.

— Szczęście w każdym razie, że zaczęło się palić — odezwałem się. — Pomyśl, co za szczęście dla Jonatana.

Mateusz dmuchał na czubki palców.

— Owszem, małe pożary czasem się przydają — powiedział. — Tylko że się człowiek nieźle poparzy, jak wyjmuje żar palcami.

Nie był to jednak koniec zmartwień, jeżeli mi się nawet tak przez chwilę wydawało.

Szukali Jonatana też w stajni, a potem ten z brodawką wrócił do Mateusza i powiedział:

— Masz dwa konie, staruchu! Nikomu w Dolinie Dzikich Róż nie wolno mieć więcej niż jednego, wiesz przecież! Przyślemy tu dziś wieczorem człowieka z drugiej strony rzeki. Zabierze tego z białą strzałką na czole, oddasz go Tengilowi.

— To koń mojego wnuka — powiedział Mateusz.

— Naprawdę? Ale teraz należy już do Tengila

Tak ten żołnierz powiedział. Zacząłem płakać. Dziś wieczorem Jonatan i ja mieliśmy opuścić Dolinę Dzikich Róż. Nasz długi, podziemny korytarz był gotowy. Dopiero teraz przyszła mi na myśl jedna rzecz — w jaki sposób mieliśmy zabrać z sobą Grima i Fialara? Przecież konie nie mogą pełznąć podziemnym przejściem. Co za głupiec ze mnie, że wcześniej o tym nie pomyślałem! Że musimy zostawić je u Mateusza. Już samo to było wystarczająco smutne, dlaczego więc musi być jeszcze okropniej? Tengil ma dostać Fialara! Dziwię się, że mi serce nie pękło, jak to usłyszałem.

Ten z brodawką wyciągnął z kieszeni małą drewnianą tabliczkę i podsunął ją pod nos Mateuszowi.

— Tutaj — powiedział. — Tu masz się podpisać.

— Po co? — spytał Mateusz.

— To będzie znaczyło, że z radością oddajesz konia Tengilowi.

— Wcale nie czuję radości.

Wtedy żołnierz przystąpił do niego z wyciągniętym mieczem.

— Naturalnie, że czujesz! Czujesz wielką radość i tu się podpiszesz! Zwrócisz potem tabliczkę temu, kto przyjedzie z Karmaniaki po konia. Tengil chce mieć dowód, że oddajesz go

dobrowolnie. Rozumiesz, staruchu? — i tak mocno szturchnął Mateusza, że o mało go nie przewrócił.

Co Mateusz miał zrobić? Podpisał się, a żołnierze wyszli z jego zagrody, żeby gdzie indziej szukać Jonatana.

To był nasz ostatni wieczór u Mateusza. Ostatni raz siedzieliśmy razem przy stole i ostatni raz poczęstował nas zupą. Wszyscy trzej byliśmy smutni. Ja najbardziej. Płakałem. Z powodu Fialarą. I z powodu Mateusza. On się przecież stał prawie moim dziadkiem, a teraz miałem go opuścić. Płakałem też dlatego, że byłem taki mały i tak się bałem, i w ogóle nic nie mogłem zrobić, kiedy żołnierz szturchnął mojego dziadka.

Jonatan nie odzywał się, tylko myślał. Nagle wymruczał:

— Żebym znał hasło!

— Jakie hasło? — spytałem.

— Trzeba podać hasło, jak się chce wejść albo wyjść przez dużą bramę, nie wiesz tego?

— Wiem — odpowiedziałem. — I nawet znam to hasło: *Wszelka moc dla Tengila, naszego wybawcy*. Słyszałem je od Jossiego, nie mówiłem ci?

Jonatan wytrzeszczył na mnie oczy. Patrzył tak przez długą chwilę, a potem zaczął się śmiać.

— Sucharku, ja cię naprawdę lubię! Wiesz o tym? Nie rozumiałem, dlaczego tak się cieszy z powodu hasła, bo przecież wcale nie miał zamiaru przechodzić przez dużą bramę. Ale i ja ucieszyłem się trochę, że w całym naszym zmartwieniu mogę go rozweselić takim drobiazgiem.

Mateusz poszedł do izby, żeby sprzątnąć, Jonatan pobiegł za nim. Długo tam rozmawiali. Mało co słyszałem, tylko te słowa Jonatana:

— Gdyby mi się noga powinęła, zajmiesz się moim bratem, dobrze?

Potem Jonatan wrócił do mnie.

— Słuchaj, Sucharku — powiedział. — Wezmę plecak i wyruszę pierwszy. Ty będziesz tu czekał u Mateusza, aż dam znać. To potrwa dobrą chwilę, bo muszę najpierw załatwić różne sprawy.

Ojej! Jak mi się to nic podobało! Nigdy nie wytrzymałem czekania na Jonatana. Zwłaszcza wtedy, kiedy musiałem się bać przez ten czas. A teraz bałem się. Kto wie, co się może przydarzyć Jonatanowi po drugiej stronie muru? I co on zamierza takiego zrobić, co może się nie udać?

— Nie bój się, Sucharku — powiedział Jonatan. — Jesteś teraz Karolem Lwie Serce, pamiętaj! Potem szybko się pożegnał z Mateuszem i ze mną i wpełzł do kryjówki. Patrzyliśmy, jak znika w podziemnym korytarzu. Pomachał do nas, widzieliśmy, jak na końcu zniknęła jego machająca dłoń.

135

Zostaliśmy sami, Mateusz i ja.

— Gruby Dodik nie ma pojęcia, co to za kret przeciska się teraz pod jego murem — powiedział Mateusz.

— Nie, nie ma. Ale jeżeli zobaczy tego kreta wysuwającego głowę z ziemi? — zaniepokoiłem się.

— I rzuci w niego oszczepem?

Było mi strasznie smutno, więc wymknąłem się do stajni, do Fialara. Po raz ostatni szukałem u niego pociechy. Jednak nawet on nie mógł mnie pocieszyć. Wiedziałem przecież, że po tym wieczorze już go nigdy więcej nie zobaczę.

W stajni panował mrok, okno było małe i nie wpuszczało zbyt wiele światła. Mimo to zobaczyłem, jak ochoczo Fialar odwrócił głowę, kiedy stanąłem w drzwiach. Wszedłem do jego boksu i



zarzuciłem mu ręce na szyję. Chciałem, żeby zrozumiał, że to, co musi się stać, nie stanie się z mojej winy.

— Chociaż to może jest moja wina? — powiedziałem i rozplakałem się. — Gdybym został w Dolinie Wiśni, Tengil nigdy by cię nie dostał. Przebacz mi, Fialarze, przebacz! Ale ja nie mogłem zrobić inaczej. Zdaje mi się, że zrozumiał, że jest mi smutno. Dotknął mojego ucha miękkim pyskiem. Tak jakby nie chciał, żebym płakał.

A ja płakałem. Stałem przy nim i płakałem, i płakałem, aż mi zabrakło łez. Wtedy zabrałem się do wyczyszczenia go zgrzeblem, potem dałem mu resztę owsa, jaka jeszcze była, zostawiając oczywiście połowę dla Grima. Okropne myśli przychodziły mi do głowy, podczas gdy go czyściłem.

Niech padnie trupem ten, kto przyjdzie zabrać mojego konia — tak sobie myślałem. Niech umrze, zanim zdąży przepłynąć rzekę! To było ohydne, tak komuś życzyć, przyznaję. A poza tym nic nie pomagało.

Na pewno jest on już na pokładzie promu, myślałem, tego promu, którym wywożą wszystkie skradzione rzeczy. Może zresztą zszedł już na ląd? Może wchodzi właśnie przez dużą bramę i będziemy go tu mieli lada chwila? Ach, Fialarze, gdybyśmy mogli gdzieś uciec, ty i ja!

Kiedy tak rozmyślałem, ktoś otworzył drzwi stajni. Krzyknąłem ze strachu. Szczęściem był to tylko Mateusz. Widocznie zaniepokoiło go, gdzie się tak długo podziewam. Byłem zadowolony, że w stajni jest ciemno — nie musi widzieć, że znowu płaczę. Ale on i tak to zauważył, bo powiedział:

— Chłopcze, gdybym mógł coś zaradzić. Tylko że, niestety, żaden dziadek nic tu nie pomoże. Więc sobie popłacz.

W tym momencie zobaczyłem przez okno, że ktoś zbliża się do zagrody. Człowiek Tengila! Ten, który ma zabrać Fialara.

— Idzie! — krzyknąłem. — Mateuszu, on już idzie!

Fialar zarżał. Nie podobało mu się, że krzyczę z taką rozpaczą. W chwilę potem drzwi do stajni zostały otwarte szarpnięciem i tamten stanął w nich, w czarnym hełmie i czarnym płaszczu.

— Nie! — krzyknąłem. — Nie, nie!

Ale człowiek Tengila już był przy mnie i chwycił mnie za ramiona.

To był Jonatan!

— Nie poznajesz własnego brata? — powiedział, kiedy mu się opierałem. Przyciągnął mnie do okna, żebym go dobrze zobaczył. Mimo to trudno mi było uwierzyć, że to on. Nie sposób było go poznać. Taki był brzydki! Jeszcze nawet brzydszy ode mnie, na pewno nie żaden „wyjątkowo piękny młodzieniec”. Włosy zwisały mu w mokrych kosmykach, wcale nie błyszczące jak złoto, pod górną wargę wepchał sobie coś, jakby szczyptę tabaki. Nie wiedziałem, że można się tak oszpecić byle czym. Wyglądał w ogóle jak głupi. Śmiałybym się z niego, gdyby był na to czas. Ale Jonatan naprawdę nie miał czasu na nic.

— Szybko, szybko! — powiedział. — Muszę natychmiast ruszać w drogę! Ten z Karmaniaki może tu być w każdej chwili.

Wyciągnął rękę do Mateusza.

— Daj tę tabliczkę. Nie wątpię, że z radością oddasz oba twoje konie Tengilowi.

— Naturalnie, a co myślałeś? — odpowiedział Mateusz i wcisnął mu tabliczkę do ręki.

Jonatan wsadził ją do kieszeni.

— Pokażę ją w bramie. Strażnik będzie mógł stwierdzić, że nie kłamię.

Wszystko poszło bardzo szybko. Osiodłaliśmy konie prędzej niż kiedykolwiek dotąd. Przez ten czas Jonatan opowiedział, w jaki sposób przedostał się tu przez dużą bramę, bo Mateusz chciał wiedzieć, jak to się odbyło.

— Po prostu — powiedział Jonatan. — Podałem hasło dokładnie tak, jak mnie nauczył Sucharek: *Wszelka moc dla Tengila, naszego wybawcy* — i wtedy starszy strażnik zapytał: „Skąd przybywasz, dokąd się udajesz, jaką masz sprawę do załatwienia?” „Z Karmaniaki, do zagrody Ma-teusza, żeby wziąć dwa konie dla Tengila” — odpowiedziałem. „Przechodź” — rozkazał strażnik. „Dziękuję” — odpowiedziałem. No i jestem. Ale muszę wyjechać przez bramę, zanim przyjdzie prawdziwy człowiek Tengila i będzie chciał wejść, bo inaczej może być źle. Wyprowadziliśmy konie ze stajni prędzej, niż to by się wydawało możliwe, i Jonatan wskoczył na Grima. Fialara trzymał za wodze.

— Uważaj na siebie, Mateuszu — powiedział. — Dopóki się znów nie spotkamy!

I ruszył z obydwojema końmi. Po prostu.

— No, a ja? — krzyknąłem. — Co ja mam robić?

Jonatan pomachał do mnie.

— Dowiesz się do Mateusza! — zawołał.

Stałem bez ruchu patrząc za nim i czułem się jak głupi. Mateusz wytłumaczył mi, o co chodzi.

— Rozumiesz chyba, że ciebie nigdy by nie wypuścili przez dużą bramę. Jak tylko zrobi się ciemno, musisz przedostać się podziemnym przejściem. Jonatan będzie już czekał na ciebie po drugiej stronie.

— Na pewno? — spytałem. — A jeżeli mu się coś stanie w ostatniej chwili?

Mateusz westchnął.

— Nie ma nic pewnego na świecie, w którym rządzi Tengil. Gdyby źle poszło, możesz wrócić i zostać u mnie. Spróbowałem wyobrazić sobie, jak to ma być. Najpierw przepełznąć korytarzem — całkiem samotnie. Już to było wystarczająco okropne. I wyjść w lesie po drugiej stronie muru, i siedzieć tam w ciemności, i czekać, i czekać, i w końcu zdać sobie sprawę, że wszystko się nie udało. I potem przepełznąć z powrotem. I żyć bez Jonatana! Staliśmy przed pustą już teraz stajnią. Nagle przyszło mi do głowy coś innego.

— Co się stanie z tobą, Mateuszu, jak on przyjdzie, ten z Karmaniaki, a w stajni nie będzie żadnego konia?

— Koń się znajdzie — odpowiedział Mateusz. — Zaraz pójde po mojego własnego, którego trzymałem w zagrodzie u sąsiada, jak Grim tu stał.

— Dobrze, ale wtedy on weźmie twojego konia!

— Niechby tylko spróbował! — odpowiedział Mateusz.

Przyprowadził swojego konia w ostatniej chwili. Bo zaraz potem przyszedł, zgodnie z zapowiedzią, ten, który miał zabrać Fialara. Najpierw krzyczał, wyzywał i przeklinał, jak wszyscy ludzie Tengila. Dlatego, że w stajni był tylko jeden koń i że Mateusz nie chciał go oddać.

— Nie próbuj nawet! — powiedział Mateusz. — Jednego konia wolno mieć, wiesz o tym. A tego drugiego, toście już, u diabła, zabrali i dostaliście mój podpis. Co ja na to poradzę, że wam się wszystko płacze, że jeden kretyn nie wie, co robi drugi.

Niektórzy ludzie Tengila złościli się, jak Mateusz był taki zuchwały, ale inni robili się potulni. Ten, co przyszedł po Fialara, był zupełnie zbity z tropu.

— Widocznie zaszła jakaś pomyłka — powiedział i po-szedł zawstydzony, jak pies z podwiniętym ogonem.

— Mateuszu, ty się nigdy nie boisz? — spytałem, kiedy już nam zniknął z oczu.

— Boję się, oczywiście — odpowiedział Mateusz. — Zobacz, jak mi serce bije — przyłożył swoją dłoń do swojej piersi. — Wszyscy się boimy — dodał. — Ale czasem nie trzeba tego pokazywać.

Potem zapadł wieczór i zrobiło się ciemno. Była pora, żebym opuścił Dolinę Dzikich Róż i Mateusza. — Żegnaj, chłopcze! — powiedział Mateusz. — Nie zapomnij swojego dziadka!

— Nie, nigdy cię nie zapomnę! — odpowiedziałem.

I znalazłem się sam pod ziemią. Czołgałem się długim, ciemnym korytarzem, cały czas rozmawiając z sobą, żeby zachować spokój i nie zanadto się bać.

— Nie, to nic nie szkodzi, że jest tak strasznie ciemno... nie, na pewno się nie udusisz... tak, spadło ci trochę ziemi na kark, ale to nie znaczy, że całe przejście się zawali, ty głuptasie! Nie, nie, Dodik nie może cię zobaczyć, jak wypełniesz, nie jest przecież kotem, który widzi w ciemności. Naturalnie, że tak, Jonatan na pewno tam jest i czeka na ciebie, jasne, że jest, słyszysz przecież, co mówię. Jest tam, jest!

I był. Siedział w ciemności na kamieniu, a kawałek dalej pod drzewem stały nasze konie.

— Ach, Karolu Lwie Serce — powiedział — przyszedłeś nareszcie!

## Rozdział 12

Tej nocy spaliśmy pod jodłą i obudziliśmy się wczesnym świtem. Było nam bardzo zimno. W każdym razie mnie. Mgła stała między drzewami, ledwo widzieliśmy Grima i Fialara. Ich niewyraźne sylwetki wyglądały jak szare duchy w tej ogromnej szarości i ciszy wokół nas. Było zupełnie cicho. I jakoś smutno. Nie wiem dlaczego, ale tego ranka wszystko tchnęło smutkiem, opuszczeniem i trwogą. Wiem tylko, że tęskniłem do ciepłej kuchni u Mateusza i bałem się tego, co nas czeka. Tego wszystkiego, o czym nic nie wiedziałem.

Starałem się nie pokazać Jonatanowi, jak się czuję. Bo kto wie, może wpadłby na pomysł, żeby mnie odesłać z powrotem, a ja chciałem towarzyszyć mu we wszystkich niebezpieczeństwach, jakkolwiek niebezpieczne by były. Jonatan popatrzył na mnie i leciutko się uśmiechnął.

— Nie miej takiej miny, Sucharku — powiedział. — Na razie to jeszcze nic nie jest. Będzie gorzej, możesz być pewny.

Ładna mi pociecha! Tymczasem nagle zabłysło słońce i mgły się rozproszyły. W lesie zaczęły śpiewać ptaki, wszystko, co smutne i ponure, w jednej chwili się rozwiało, a to, co niebezpieczne, zrobiło się mniej niebezpieczne. Poczułem, że mi ciepło. Słońce już grzało. Wszystko wydawało się lepsze, prawie całkiem dobre.

Koniom też chyba było dobrze. Wypuszczone z ciemnej stajni mogły się znów paść na soczystej, zielonej trawie, podobało im się to bardzo, takie miałem wrażenie. Jonatan gwizdnął na nie, krótko i cichutko, ale usłyszały i przyszły.

Jonatan chciał już jechać. Daleko! Natychmiast!

— Mur jest tuż za tym gąszczem leszczynowym — powiedział. — Nie mam najmniejszej ochoty spotkać się nagle oko w oko z Dodikiem.

Nasze podziemne przejście wychodziło na powierzchnię między kilkoma krzakami leszczyny, bardzo blisko nas. Ale otworu nie było widać, bo Jonatan zakrył go gałęziami i chrustem. Zaznaczył miejsce kilkoma patykami, żebyśmy mogli je odnaleźć.

— Zapamiętaj, jak tu wygląda — powiedział. — Zapamiętaj ten duży kamień, jodłę, pod którą spaliśmy, i chaszce leszczynowe. Bo może kiedyś jeszcze tu przyjdziemy. Chyba żeby...

Potem zamilkł i nic już więcej nie powiedział. Wsiedliśmy na konie i ruszyliśmy.

Wtem nad wierzchołkami drzew pokazała się gołębicą. Jedna z białych gołębic Sofii.

— To Paloma — powiedział Jonatan. Zdziwiłem się, że ją rozpoznaje z tak daleka.

Od dawna czekaliśmy na wiadomości od Sofii. Teraz nareszcie przyleciała jej gołębicą, teraz, kiedy byliśmy już poza murem. Frunęła prosto w stronę zagrody Mateusza. Niedługo usiadła przy gołębniku przed stajnią, a Mateusz przeczyta przyniesioną przez nią wiadomość.

Rozgniewało to Jonatana.

— Nie mogła przylecieć wczoraj! Byłbym się dowiedział tego, co chcę wiedzieć.

Teraz jednak musieliśmy stąd uciekać, byle jak najdalej od Doliny Dzikich Róż, muru i wszystkich ludzi Tengila, którzy polowali na Jonatana.

Jonatan powiedział, że musimy się dostać do rzeki okrężną drogą przez las, a potem kierować się wzdłuż jej brzegów w stronę Wodospadu Karma.

— Zobaczysz tam, Karolku, taki wodospad, o jakim ci się nigdy nie śniło.

— Nie, nie mogło mi się śnić — odpowiedziałem — bo nigdy nie widziałem dużego wodospadu.

Niewiele zresztą widziałem, zanim przybyłem do Nangijali. Ani nawet takiego lasu jak ten, przez który jechaliśmy. Był to taki prawdziwy las z bajki, ciemny i gęsty, bez żadnych przetartych ścieżek. Jechało się prosto między drzewami, wilgotne gałęzie były po twarzy. Ale mnie się to podobało. Wszystko mi się zresztą podobało — słońce prześwitujące między pniami, śpiew ptaków i za-pach mokrych drzew, mokrej trawy i koni. A najbardziej mi się podobało, że jadę razem z Jonatanem.

Powietrze w lesie było rześkie i chłodne, ale w miarę jak jechaliśmy, robiło się coraz cieplej. Dzień zapowiadał się gorący to się już czuło.

Po niedługim czasie mieliśmy Dolinę Dzikich Róż daleko za sobą i znaleźliśmy się głęboko w lesie. Na polance otoczonej wysokimi drzewami natrafiliśmy na małą, szarą chatkę. Jak mógł ktoś mieszkać tak samotnie w środku ciemnego lasu? Ktoś tam jednak mieszkał. Dymiło się z komina, a przed chatką pasły się kozy.

— Tu mieszka Elfrida — powiedział Jonatan. — Po prosimy ją, żeby nam dała trochę koziego mleka.

Elfrida poczęstowała nas mlekiem, mogliśmy się go napić do woli. Przydało się bardzo, bo jechaliśmy długo w ogóle bez jedzenia. Usiedliśmy na progu jej chatki piliśmy kozie mleko, jedliśmy chleb z naszych zapasów kozi ser Elfridy i do tego po garści poziomek, których nabierałem w lesie. Wszystko to razem wybornie smakowało i najedliśmy się do syta.

Elfrida była małą, grubą i sympatyczną staruszką, mieszkała sama w towarzystwie tylko kóz i szarego kota.

— Bogu dzięki, nie mieszkam w żadnych murach - powiedziała. Znała wielu ludzi w Dolinie Dzikich Róż i chciała wiedzieć, czy jeszcze żyją. Jonatan opowiada Smutno mu było mówić, bo przeważnie były to bolesne sprawy, przykre do słuchania dla Elfridy.

— Że też Dolina Dzikich Róż musiała się znaleźć w tak żałosnej sytuacji — westchnęła. — Przeklęty niech będzie Tengil! I przekłeta Katla! Wszystko by było dobrze, gdyby nie miał Katli.

Zakryła oczy fartuchem i chyba się rozplakała.

Nie chciałem na to patrzeć, poszedłem więc nabierać jeszcze trochę poziomek. Ale Jonatan długo rozmawiał z Elfrida. Zbierając poziomki zastanawiałem się, kim je Katla i gdzie mieszka. Kiedy się tego dowiem?

Po jakimś czasie dotarliśmy do rzeki. Było samo południe, najgorszy upał. Słońce stało wysoko na niebie jak ognista kula, w wodzie lśniły i migotały jakby tysiące małych słońc. Zatrzymaliśmy się wysoko na urwistym brzegu, rzeka płynęła głęboko pod nami. Co to był za widok! Rzeka Prastarych Rzek gnała w stronę Wodospadu Karma tak, że aż piana wirowała. Toczyła ku niemu swe potężne wody, a myśmy słyszeli z daleka jego huk.

Przyszła nam ochota zejść do rzeki i ochłodzić się. Puściliśmy luzem konie, żeby sobie znalazły w lesie strumyk i z niego się napiły. My chcieliśmy się wykąpać w rzece. Zbiegliśmy pędem po stromym zboczu i prawie jeszcze w biegu zrzuciliśmy z siebie ubranie. Nad samą wodą rosły wierzyby. Jedna z nich wychyliła swój pień daleko poza brzeg i opuściła gałęzie do wody. Wdrapaliśmy się po pniu i Jonatan pokazał mi, jak mam się ucześcić gałęzi i zanurzyć w nurt.

— Tylko trzymaj się mocno — powiedział — bo jak nie, to się tak szybko dostaniesz do Wodospadu Karma, że nie wyjdzie ci to na zdrowie.

Trzymałem się z całej siły, aż mi palce zbieleły. Huśtałem się na gałęzi, a woda mnie opływała. Chyba nigdy nie kapałem się w równie przyjemny, ale i jednocześnie niebezpieczny sposób. Czułem w całym ciele prąd, który rwał w stronę Wodospadu Karma.

Potem, z pomocą Jonatana, wciągnąłem się z powrotem na pień i usadowiliśmy się w koronie wierzby, jakby w zielonym domku rozbujanym nad wodą. Rzeka falowała i migotała tuż pod nami. Chciała widocznie skusić nas znowu do kąpieli i przekonać podstępnie, że wcale nie jest niebezpieczna. Wystarczyło jednak zanurzyć czubek stopy i już czuło się w dużym palcu wartki prąd.

Tak sobie siedząc w gałęziach spojrzałem w górę — i przestraszyłem się. Po wysokim brzegu jechali jeźdźcy, żołnierze Tengila z długimi oszczepami. Jechali galopem, ale szum wody zagłuszał tętent kopyt.

Jonatan też ich zobaczył, nie zauważyłem jednak strachu na jego twarzy. Siedzieliśmy cicho i czekaliśmy, aż przejadą. Ale oni nie przejechali. Zatrzymali się i zeskoczyli z koni, jak gdyby chcieli wypocząć czy coś w tym rodzaju.

Spytałem Jonatana:

— Może ciebie szukają?

— Nie — odpowiedział. — Jadą z Karmaniaki do Doliny Dzikich Róż. Koło Wodospadu Karma jest wiszący most i Tengil przeważnie tamtędy posyła swoich żołnierzy.

— Mogliby się nie zatrzymywać akurat tu — zauważyłem.

Jonatan był tego samego zdania.

— Naprawdę bym nie chciał, żeby mnie zobaczyli — powiedział — i żeby im przyszły do głowy jakieś pomysły na temat Lwiego Serca.

Naliczyłem ich sześciu na wysokim brzegu. Gadali i krzyczeli, i z jakiegoś powodu pokazywali na rzekę, ale nie było słyhać, co mówią. Nagle jeden z nich zaczął zjeżdżać konno po zboczach w stronę wody. Podjechał prawie pod nas, całe szczęście, że byliśmy tak dobrze schowani na wierzbie.

Tamci krzyczeli za nim:

— Nie rób tego, Park! Utopisz siebie i konia!

Ale ten, którego nazywali Parkiem, zaśmiał się tylko i odkrzyknął:

— Zobaczcie! Jeżeli nie dołynę żywy do tej skały i nie wrócę, to zapraszam całe towarzystwo na piwo. Przysięgam!

Zrozumieliśmy, co chce zrobić.

Trochę dalej na rzece wystawała z wody skała. Prąd załamywał się przy niej i widoczny był tylko mały jej kawałek. Park musiał ją jednak zauważyć, jak przejeżdżali, i teraz chciał się popisać czymś nadzwyczajnym.

— Idiota — powiedział Jonatan. — Czy on myśli, że koń potrafi dołynąć pod prąd aż tam?

Park zrzucił hełm, płaszcz i wysokie buty, siedział teraz na grzbiecie konia w samych spodniach i koszuli i starał się zmusić go, żeby wszedł do rzeki. Była to mała, śliczna kara klacz. Park krzyczał, wrzeszczał, szarpał, ale klacz nie chciała. Bała się. Wtedy zaczął ją bić. Nie miał szpicruty, więc bił ją pięściami po łbie. Usłyszałem, że Jonatan załkał, zupełnie tak, jak wtedy na rynku.

W końcu Park dopiął swego. Klacz zarżała, nieprzytomna ze strachu, ale rzuciła się do wody. Tylko dlatego, że ten wariat tak chciał. Okropne było patrzeć na to wszystko. A potem widzieć, jak ona walczy z prądem i jak prąd ją porywa.

— Woda ją przyniesie tuż pod nas — powiedział Jonatan. — Park może robić, co chce, ale klaczy do skały nie doprowadzi!

A ona próbowała płynąć, naprawdę próbowała! Ach, jak się męczyła biedaczka, w jakim musiała być śmiertelnym strachu, czując, że rzeka jest silniejsza od niej!

Nawet Park zrozumiał w końcu, że teraz chodzi już o jego życie. Chciał zawrócić ją do brzegu, ale szybko przekonał się, że nie da rady. Nie da rady, bo prąd nie chce tego, co on! Chce go porwać do Wodospadu Karma —i słusznie! Ale klaczy było mi żal. Widziałem, jaka jest teraz bezradna. Nurt niośł ich ku nam, dokładnie tak, jak przewidział Jonatan, wkrótce miną nas i znikną. W oczach Parka malowało się przerażenie, wiedział, dokąd płyną.

Odwrociłem głowę, żeby zobaczyć, gdzie jest Jonatan —i krzyknąłem! Bujał się nad wodą prawie na końcu gałęzi, wisiał głową w dół zaczepiony kolanami o konar. W chwili, kiedy Park podpłynął pod niego, Jonatan złapał go za włosy i wciągnął na gałąź.

Potem zawołał do klaczy:

— Chodź tu, koniku! Chodź!

Klacz minęła już nas, ale zrobiła rozpaczliwy wysiłek, żeby dopłynąć z powrotem do Jonatana. Ten wstrętny typ, Park, nie obciążał już jej grzbietu, ale mimo to prawie tonęła. Jonatanowi udało się schwycić ją jakoś za wodze. Zaczął ciągnąć ją i holować. Walczyli z żywiołem na śmierć i życie, bo rzeka nie chciała ustąpić, chciała mieć i konia, i Jonatana.

Ogarnięty wściekłością wrzasnąłem do Parka:

— Pomóż im, ofermo! Pomóż im!

Park zdążył przez ten czas wdrapać się na wierzbę i siedział sobie na niej wygodnie i bezpiecznie, tuż obok Jonatana, ale nic a nic, osioł jeden, nie robił, żeby mu pomóc, pochyłał się tylko do przodu i krzyczał:

— Puść konia! Tam są jeszcze dwa w lesie na górze, wezmę któregoś! Puść go!

Ktoś, kto jest zły, robi się silny, tak zawsze słyszałem. I w tym sensie można uznać, że Park pomógł przyholować klacz.

Kiedy się to Jonatanowi wreszcie udało, krzyknął do Parka:

— Ty idioto! Myślisz, że po to ci uratowałem życie, żebyś miał mi ukraść konia? Nie wstyd ci?

Może Parkowi było wstyd, nie wiem. Nie odzywał się, nie pytał, kim jesteśmy ani w ogóle o nic. Wdrapał się po stromym brzegu ze swoją biedną klaczą i zaraz potem cała grupa odjechała.

Tego wieczoru rozpaliliśmy ognisko nad Wodospadem Karma. Jestem przekonany, że żadne ognisko w żadnych czasach i w żadnym świecie nie paliło się w takim miejscu, jak to nasze.

Było to okropne miejsce, straszniejsze i piękniejsze niż jakiekolwiek inne w niebie czy na ziemi, tak przynajmniej myślę. Góry, rzeka i wodospad — wszystko razem było za wielkie, za potężne, wszystko wydawało się snem. Powiedziałem do Jonatana:

— Nie myśl, że to, co widzimy, jest prawdziwe! To na pewno kawałek jakiegoś pradawnego snu.

Staliśmy na moście. Na wiszącym moście zbudowanym na rozkaz Tengila nad przepaścią, która rozdziela oba kraje: Karmaniakę po jednej stronie Rzeki Prastarych Rzek od Nangijali po drugiej.

Rzeka gnała na dnie przepaści, głęboko pod mostem, potem rzucała się z rykiem w dół wodospadu, w jeszcze straszliwszą otchłań.

Spytałem Jonatana:

— Jak się buduje most nad taką okropną głębią?

— Sam chciałbym to wiedzieć — odparł. — I ilu ludzi straciło życie podczas tej budowy, ilu spadło z krzykiem i utonęło w wodospadzie, to też bym chętnie wiedział.

Wzdrygnąłem się. Miałem wrażenie, że wśród górskich stromizn rozlega się echo tych krzyków.

Byliśmy teraz bardzo blisko kraju Tengila. Widziałem po drugiej stronie mostu krętą ścieżkę wspinającą się między górami. Między Prastarymi Górami w Karmaniacie.

— Tą ścieżką dochodzi się do twierdzy Tengila — powiedział Jonatan.

Wzdrygnąłem się jeszcze bardziej. Pomyślałem jednak, że w każdym razie tego wieczoru po raz pierwszy w życiu będę siedział przy ognisku z Jonatanem. A jutro niech się dzieje, co chce.

Rozpaliliśmy je na półce skalnej wysoko nad wodospadem. Blisko mostu. Usiadłem, odwrócony plecami do wszystkiego. Nie chciałem patrzeć na drogę do kraju Tengila ani na nic innego. Widziałem tylko blask ognia błakający się między skalnymi ścianami. Piękne to było i równocześnie trochę straszne.

Widziałem też w świetle płomieni śliczną, miłą twarz Jonatana, a także konie, które odpoczywały trochę dalej.

— Tu jest znacznie lepiej niż przy tamtym moim ognisku — powiedziałem. — Bo teraz siedzę z tobą, Jonatanie! Gdziekolwiek byłem, zawsze, jeżeli Jonatan był ze mną, czułem się bezpieczny. To prawdziwe szczęście, że nareszcie mogę rozpaść ognisko razem z nim, tyleśmy przecież o tym mówili żyjąc jeszcze na ziemi.

— Czasy ognisk i bajek, pamiętasz, jak to mówiłeś? — spytałem Jonatana.

— Pamiętam. Ale wtedy nie wiedziałem, że w Nangijali będą takie niedobre bajki.

— Myślisz, że ciągle musi tak być? — spytałem.

Jonatan milczał przez chwilę, wpatrzony w ogień, a potem powiedział:

— Nie. Jak stoczmy kiedyś ostateczną walkę, to Nangijala chyba znów stanie się krajem, gdzie bajki są piękne i życie łatwe i przyjemne, tak jak dawniej.

Ogień rozblęsnął i zobaczyłem w jego świetle, jaki Jonatan jest zmęczony i smutny.

— Ale ostatni bój, rozumiesz, Sucharku — mówił dalej — nie może być niczym innym, jak złą bajką o śmierci i o śmierci, i o śmierci. Dlatego ten bój musi prowadzić Orwar, nie ja. Bo ja się nie nadaję do zabijania.

Wiem, że się nie nadajesz, pomyślałem. A potem zapytałem:

— Dlaczego uratowałeś życie Parkowi? Czy to miało sens?

— Nie wiem, czy miało sens — odpowiedział Jonatan. — Ale są rzeczy, które się musi zrobić, bo inaczej nie jest się człowiekiem, tylko nędznym śmieciem, już ci to kiedyś mówiłem.

— No, a gdyby on cię rozpoznał? I złapaliby cię?

— To by złapali Lwie Serce, a nie jakiegoś nędznego śmiecia — powiedział Jonatan.

Ogień dogasał, w górach robiło się coraz ciemniej. Najpierw zapadł zmierzch i z początku wszystko wydawało się łagodne, miękkie i przyjazne. Ale potem przyszła czarna, hucząca ciemność, słyszało się w niej tylko Wodospad Karma i nie widać było nigdzie najmniejszego nawet światełka. Prysunąłem się jak najbliżej do Jonatana. Siedzieliśmy oparci o skalną ścianę i rozmawialiśmy po ciemku. Nie bałem się, ale czułem dziwny niepokój. Powinniśmy się przespać, powiedział Jonatan. Ja jednak wiedziałem, że nie zasnę. Nawet mówić było mi trudno z powodu tego niepokoj. I wcale nie ciemność go wywoływała, tylko coś innego, ale nie wiedziałem co. A przecież miałem koło siebie Jonatana.



Wtem mignęła błyskawica i huknął taki grzmot, że aż skały zatrzeszczały. No i rozpętała się nad nami burza, przechodząca wszelkie wyobrażenie. Nad górami rozlegały się grzmoty tak potężne, że nie słyszeliśmy już Wodospadu Karma. Pioruny biły raz po raz, co chwila wszystko rozjaśniało się wybuchem światła, by zaraz utonąć w jeszcze głębszej ciemności. Tak jakby nas ogarniała odwieczna noc. Wreszcie uderzył grom straszniejszy niż wszystkie poprzednie. Błyskawica na okamgnienie oświetliła wszystko dookoła.

I wtedy, w tym świetle, zobaczyłem Katlę. Z o b a c z y ł e m K a t l ę!

## Rozdział 13

Tak, zobaczyłem Katlę, a potem nie wiem, co się działo dalej. Po prostu zapadłem się jakby w czarną głębię i ocknąłem się dopiero, jak burza się przewaliła i nad szczytami gór zaczynało dzień. Leżałem z głową na kolanach Jonatana. I gdy tylko przypomniałem sobie, że tam daleko, po drugiej stronie rzeki, wysoko nad Wodospadem Karma, stała na skale Katla, ogarnęło mnie przerażenie. Jęknąłem. Jonatan próbował mnie pocieszyć.

— Już jej nie ma. Poszła sobie.

Ale ja płakałem i pytałem go:

— Jak może istnieć coś takiego jak Katla? Czy... czy to jest potwór, czy co?

— Tak, Katla jest potworem. To smok rodzaju żeńskiego, który wydobył się z zamierzchłych czasów. I jest równie okrutna, jak Tengil.

— Gdzie on ją znalazł? — zapytałem.

— Przyszła z Groty Katli, tak się uważa — odpowiedział Jonatan. — Zasnęła w niej kiedyś, dawno temu, podczas odwiecznej nocy, przespała milion lat i nikt nie wiedział, że istnieje. Ale któregoś dnia obudziła się i tegoż okropnego dnia przypęzła do zamku Tengila i dmuchnęła śmiercionośnym ogniem na wszystkich i na każdego z osobna. Gdzie szła, tam ludzie padali na prawo i lewo.

— Dlaczego nie zabiła Tengila? — zapytałem.

— Bo Tengil rzucił się do ucieczki przez rozliczne sale swojego zamku. A kiedy zbliżyła się, wyciągnął wojenny róg, żeby zwołać żołnierzy na pomoc. I zadął w róg...

— Co się wtedy stało? — spytałem.

— Wtedy Katla przyczołgała się do niego jak pies i od tego dnia słucha Tengila. I tylko Tengila. Boi się jego wojennego rogu. Jak tylko Tengil zadmie w róg, słucha go ślepo.

Rozjaśniało się coraz bardziej. Szczyty gór daleko w Karmaniacie błyszczą jak ogień Katli. Mieliśmy teraz jechać właśnie do Karmaniaki. Bałem się. Ojej, jak się bałem! Kto mógł wiedzieć, gdzie się czai Katla? Gdzie jest, gdzie mieszka, czy w Grocie Katli? Jak w takim razie mógł tam być Orwar? Zapytałem o to wszystko Jonatana. Katla nie mieszka w Grocie Katli, powiedział Jonatan. Nigdy tam nie wróciła. Tengil trzyma ją uwięzioną w pieczarze niedaleko Wodospadu Karma. W tej pieczarze przywiązana jest łańcuchem ze złota — i musi tam siedzieć. Wychodzi tylko wtedy, kiedy Tengil zabiera ją z sobą, żeby straszyć ludzi, których chce nastraszyć. — Widziałem ją raz w Dolinie Dzikich Róż — mówił Jonatan.

— Krzyczałeś? — spytałem.

— Tak, krzyczałem.

Moje przerażenie rosło.

— Bardzo się boję, Jonatanie. Katla nas zabije.

Znowu spróbował mnie uspokoić.

— Ona jest przywiązana. Nie może ruszyć się dalej, niż na to pozwala łańcuch. Może dojść tylko do tej skały, na której ją zobaczyłeś. Stoi tam prawie zawsze i patrzy na Wodospad Karma.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Nie wiem — odparł Jonatan. — Może szuka Karma.

— Kto to jest Karm? — pytałem dalej.

— Ech, to tylko takie gadanie Elfiridy — odpowiedział Jonatan. — Nikt nigdy Karma nie widział. On nie istnieje. Ale Elfrida twierdzi, że mieszkał kiedyś, w zamierzchłych czasach, w wodospadzie i że Katla nienawidziła go wtedy i nie może tego zapomnieć. Dlatego wpatruje się w wodospad.

— Kim on był, jeżeli mógł mieszkać w takim piekielnym miejscu? — pytałem.

— Też był potworem — powiedział Jonatan. — Taki wąż-olbrzym. Elfrida mówi, że był równie długi, jak szeroka jest rzeka. Ale to tylko stara bajka.

— A jeżeli nie bajka? Jeżeli jest tak, jak z Katlą?

Jonatan nie odpowiedział na to, ale dodał:

— Wiesz, co Elfrida jeszcze mówiła, kiedy zbierałeś poziomki? Powiedziała, że jak była mała, dorośli nieraz straszliwi dzieci Karmem i Katlą. Jako dziecko często słyszała bajkę o smoku w Grocie Katli i o wężu-olbrzymie w Wodospadzie Karma i bardzo jej się ta bajka podobała. Właśnie dlatego, że była taka okropna. Taka prastara bajka, którą od zawsze straszliwie się dzieci, powiedziała Elfrida.

— Czy Katla nie mogła zostać w takim razie w swojej grocie i dalej być tylko bajką?

— Owszem. Elfrida uważa akurat tak samo — odpowiedział Jonatan.

Dreszcz mnie przeszedł, bo zdałem sobie sprawę, że Karmaniaka jest krajem pełnym potworów. Nie chciałem tam iść. Ale musiałem, nie było rady.

Najpierw jednak posililiśmy się zapasami z chlebaka. Naturalnie zostawiliśmy część dla Orwara. Bo, jak powiedział Jonatan, w Grocie Katli stale panuje głód. Nasze konie piły deszczówkę, która zebrała się w szczelinach skalnych. Nie miały się gdzie paść w tak wysokich górach. Ale koło mostu rosło trochę trawy i myślę, że były dość najedzone, kiedyśmy wyruszyli.

Wjechaliśmy na most do Karmaniaki, do kraju Tengila i różnych potworów. Trząśłem się ze strachu. Nie myślałem na serio, że istnieje wąż-olbrzym, a jednak — gdyby tak nagle wyskoczył z głębin i zrzucił nas z mostu, żeby utopić w Wodospadzie Karma? No, a Katla? Jej bałem się najbardziej. Może czeka teraz na nas na skraju ziemi Tengila i szczyry okrutne zęby, i zięje śmiertelnym ogniem? Ojej, jak się bałem!

Przejechaliśmy jednak przez most, a Katli nie było widać. Nie stała na skale, więc powiedziałem do Jonatana:

— Nie ma jej!

A jednak była! Nie na skale, ale przy ścieżce do twierdzy Tengila. Jej straszliwy łeb wystawał zza dużego bloku skalnego. Tam ją zobaczyliśmy. I ona nas. Wtedy wydała z siebie ryk, który mógł zwalić góry, z jej nozdrzy buchnęły jęzory ognia i kłęby dymu, dyszała z wściekłości i szarpała łańcuchem, szarpała i szarpała, a potem znowu ryknęła.

Konie odchodziły od zmysłów ze strachu, ledwo mogliśmy je utrzymać. Moje przerażenie nie było wcale mniejsze. Prosiłem i błagałem Jonatana, żebyśmy wrócili do Nangijali, ale on powiedział:

— Nie możemy zawieść Orwara! Nie bój się, Katla nie może nas osiągnąć, choćby nie wiem jak szarpała łańcuchem.

Musimy się jednak spieszyć, powiedział, bo ryk Katli jest sygnałem, który słychać w fortecy Tengila, i niedługo całe mrowie żołnierzy może ruszyć naszym tropem, o ile nie zdążymy uciec i ukryć się w górach.

Pojechaliśmy. Galopowaliśmy groźnymi, wąskimi i stromymi ścieżkami, aż iskry szły ze skalnych półek, skręcaliśmy raz tu, raz tam, żeby zmylić wszelkich prześladowców. Spodziewałam się, że w każdej chwili usłyszę pędzące za nami konie i wołania żołnierzy Tengila, którzy będą chcieli

dosięgnąć nas oszczepami, strzałami, mieczami. Ale nikt się nie pokazywał. Widocznie trudno było gonić za kimś wśród tyłu skał i gór. Ktoś ścigany mógł tutaj łatwo umknąć.

Po długiej jeździe spytałem Jonatana:

— Dokąd zmierzamy?

— Do Groty Katli, oczywiście. Już tam prawie jesteśmy. Masz przed samym nosem Górę Katli.

Tak, rzeczywiście. Przed nami była płaska, dość niska góra o stromych zboczach, opadających pionowo w dół. Tylko od naszej strony nie opadały tak stromo. Tędy, gdybyśmy chcieli, łatwo mogliśmy się wspiąć na wierzch góry. A nam o to właśnie chodziło, jak powiedział Jonatan, bo musimy przedostać się przez jej grzbiet.

— Wejście jest na drugim końcu, od strony rzeki — powiedział. — Muszę zobaczyć, co się tam dzieje.

— Jonatanie — spytałem — czy myślisz, że potrafimy kiedykolwiek dotrzeć do Groty Katli?

Opowiadał mi przecież o ogromnej mosiężnej bramie w wejściu do groty i o ludziach Tengila, którzy dzień i noc stoją przed nią na straży. Więc jakim sposobem mielibyśmy się dostać do środka?

Jonatan przemilczał moje pytanie, powiedział tylko, że musimy teraz schować konie, bo one nie umieją wspinąć się na skały.

Wprowadziliśmy je do osłoniętego jaru skalnego pod Górą Katli i zostawiliśmy tam razem z bagażem i wszystkim. Jonatan poklepał Grima i powiedział:

— Czekaj tutaj — my idziemy tylko na zwiady. Nie podobały mi się te zwiady. Bo nie chciałem się rozstawać z Fialarem. Ale nic nie można było na to poradzić.

Wejście na płaski szczyt góry zajęło nam dobrą chwilę i kiedyśmy się tam wreszcie wdrapali, poczułem zmęczenie. Jonatan powiedział, że możemy trochę odpocząć, więc natychmiast rzuciłem się jak długi na ziemię. On zrobił to samo i leżeliśmy tak na szczycie Góry Katli. Nad sobą mieliśmy szerokie niebo, pod sobą Grotę Katli. Dziwne to było uczucie, gdy się pomyślało, że we wnętrzu góry, gdzie pod nami, znajduje się ta straszliwa grota z tyloma korytarzami i jaskiniami, gdzie siedziało i umarło tylu więźniów. A tu na zewnątrz fruwały motyle w słonecznym blasku, niebo, jest niebieskie z małymi, białymi chmurkami, wokoło rosną kwiaty i trawa!

Przyszło mi na myśl, że jeżeli tylu ludzi zginęło w Grocie Katli, to może i Orwar nie żyje, i spytałem Jonatana, co sądzi. Ale on nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko i spojrział prosto w niebo, widziałem, że o czymś rozmyśla.

Wreszcie powiedział:

— O ile to prawda, że Katla przespała w tej grocie kilka wieków, to jak w takim razie wyszła z niej po przebudzeniu? Wtedy była tam już mosiężna brama. Tengil od zawsze używał Groty Katli jako więzienia.

— Podczas gdy Katla w niej spała?

— Tak, podczas gdy Katla w niej spała. Tylko że nikt o tym nie wiedział.

Przeszedł mnie dreszcz. Nie mogłem sobie wyobrazić niczego gorszego. Bo pomyślcie tylko, że siedzi się uwięzionym w Grocie Katli i nagle widzi się pełzającego smoka, który jest coraz bliżej.

Ale Jonatanowi inne myśli krążyły po głowie.

— Ona musiała wyjść jakąś inną drogą — powiedział. — I tę drogę muszę odnaleźć, nawet gdybym miał jej szukać przez rok.

Nie mogliśmy już dłużej odpoczywać, bo Jonatan był niespokojny. Ruszyliśmy ku Grocie Katli. Pozostawało już tylko przejść krótki odcinek na drugą stronę góry. Widzieliśmy rzekę daleko pod nami i Nangijalę na drugim brzegu. Ach, jak ja do niej tęskniłem!

— Patrz, Jonatanie — powiedziałem. — Widzę wierzbę, gdzie kapaliśmy się. Tam, po tamtej stronie! Było to jakby pozdrowienie otrzymane z za wody, małe, zielone pozdrowienie z jaśniejszego brzegu. Jonatan dał mi znak, żebym przestał mówić. Bał się, że ktoś może nas usłyszeć. Byliśmy już teraz bardzo blisko. Góra Katli kończyła się tu pionowym stokiem, skalną ścianą, w której, pod nami, była mosiężna brama do grotu. Tak powiedział Jonatan. Chociaż stąd, z góry, nie mogliśmy jej zobaczyć.

Ale widzieliśmy żołnierzy Tengila na straży. Było ich trzech. Serce zaczęło mi się tłuc, jak tylko zobaczyłem ich czarne hełmy.

Doczołgaliśmy się na brzuchu aż do skraju urwiska żeby na nich popatrzeć. Gdyby spojrzeli w górę, zobaczyliby nas. Ale trudno było o gorszych strażników. Ni patrzyli w żadną w ogóle stronę. Grali w kości i nic ich nie obchodziło. Żaden nieprzyjaciel nie mógł się przecie przedostać przez mosiężną bramę, więc po co właściwi mieliby trzymać straż?

Wtem zobaczyliśmy, że brama otwiera się i ktoś wy chodzi z grotu — jeszcze jeden żołnierz Tengila. Niósł pustą miskę, którą rzucił na ziemię. Brama zatrzasnęła się, usłyszeliśmy, jak ją zamyka.

— No tak, nakarmiło się tę świnię ostatni raz — powie dział żołnierz.

Tamci zaśmiali się, a jeden zapytał:

— Dowiedział się chociaż, co to dziś za nadzwyczajny dzień? Że ostatni w jego życiu? Powiedziałeś mu chybi że Katla czeka na niego dziś wieczorem po zapadnięci ciemności?

— Tak. I wiecie, co wtedy powiedział? „Ach, nareszcie!” I poprosił, że chce przesłać pozdrowienie do Dolin Dzikich Róż. Niech no sobie przypomnę, jak ono brzmiało. Aha. „Orwar może umrzeć, ale wolność nigdy.”

— Niech go diabli! — rozżościł się drugi żołnierz. - Może powtórzyć to Katli dziś wieczorem, zobaczy, co on mu odpowie.

Spojrzałem na Jonatana. Zbladł.

— Chodź — powiedział. — Musimy się stąd wynieść. Pełzając oddaliliśmy się od urwiska jak najciszej i jak najszybciej, a gdyśmy już byli poza zasięgiem oczu żołnierzy, zaczęliśmy biec. Biegliśmy całą drogę powrotną i zatrzymaliśmy się dopiero przy Grimie i Fialarze. Usiedliśmy przy nich w jarze, nie wiedząc, co dalej robić. Jonatan był bardzo przygnębiony, a ja nie mogłem go niczym pocieszyć i sam też się martwiłem. Zdawałem sobie sprawę, jak Jonatan trapi się losem Orwara. Myślał, że będzie mógł mu pomóc, ale teraz stracił tę nadzieję.

— Orwarze, mój nieznany przyjacielu — powiedział. — Dziś wieczorem umrzesz i co się wtedy stanie z zielonymi dolinami Nangijali?

Zjedliśmy trochę chleba, Grim i Fialar też dostali po kawałku. Miałem ochotę wypić parę łyków koziego mleka, któreśmy sobie zostawili.

— Jeszcze nie teraz, Sucharku — powiedział Jonatan. — Dziś wieczorem, jak zapadnie noc, dam ci wszystko, do ostatniej kropli. Ale nie teraz.

Siedział dłuższą chwilę, bardzo przybity, i nie odzywał się. W końcu powiedział:

— To tak, jakby szukać igły w stogu siana, wiem. Ale musimy spróbować.

— Co spróbować? — zapytałem.

— Zbadać, którądy Katla wyszła.

Widziałem, że sam nie bardzo wierzy, by to było w ogóle możliwe.

— Gdybyśmy mieli parę lat czasu — westchnął. — Wtedy może. Ale mamy tylko jeden dzień. Dokładnie w chwili gdy to mówił, coś się zdarzyło. W ciasnym końcu jaru, gdzie siedzieliśmy, przy skalnej ścianie rośło kilka gęstych krzaków i z tych krzaków nagle wyskoczył przerażony lis. Przemknął koło nas i zniknął, zanim zdążyliśmy go dobrze zobaczyć.

— Skąd, u licha, wyszedł ten lis? — zdziwił się Jonatan. — Muszę to zbadać.

Wszedł w krzaki. Siedziałem bez ruchu i czekałem. Długo go nie było i nie odzywał się, aż w końcu zacząłem się niepokoić.

— Gdzie jesteś, Jonatanie? — krzyknąłem.

Jonatan odpowiedział bardzo podnieconym głosem:

— Wiesz, skąd się tu wziął ten lis? Z wnętrza góry. Rozumiesz, Sucharku? Ze środka Góry Katli! Z dużej groty!

Być może wszystko już było postanowione w zamierzonych czasach bajek. Być może Jonatan już wtedy został wyznaczony na wybawcę Orwara dla ratowania Doliny Dzikich Róż. I być może istniały jakieś tajemnicze bajkowe istoty, które kierowały naszymi krokami bez naszej wiedzy. Bo jak wytłumaczyć to, że Jonatan znalazł drogę do środka Groty Katli właśnie tam, gdzie przypadkowo postawiliśmy nasze konie? Równie dziwnym sposobem ja trafiłem wtedy, mimo tylu chat w Dolinie Dzikich Róż, właśnie do chaty Mateusza, a nie gdzie indziej.

Jonatan najwyraźniej znalazł wyjście, przez które Katla opuściła swoją grootę, nie mogło być co do tego wątpliwości. Był to otwór w ścianie skalnej. Wcale nie duży. Ale dostatecznie duży, żeby wygłodniały smok płci żeńskiej mógł się przez niego precyzyjnie przeczisnąć, twierdził Jonatan. Zwłaszcza że Katla, obudziwszy się po tysiącletnich, zastała swoją zwykłą drogę zamkniętą przez mosiężną bramę.

Otwór był, rzecz jasna, dostatecznie szeroki także dla nas. Zajrzałem do ciemnego wnętrza. Ile się tam mogło znajdować śpiących smoków, które obudzą się, jak wejdziemy i przypadkiem na nie nadejniemy? Zastanawiałem się nad tym.

Wtem poczułem, że Jonatan obejmuje mnie za ramiona

— Sucharku — powiedział. — Nie wiem, co tam w środku czai się w ciemnościach, ale ja w każdym razie wchodzę.

— Ja też — odpowiedziałem, choć głos trząśł mi się trochę.

Jonatan pogłaskał mnie po policzku wskazującym palcem, tak jak to czasem robił.

— Jesteś pewny, że nie wolisz raczej poczekać tu przy koniach?

— Mówiłem ci przecież, że gdzie ty pójdziesz, pójdę i ja.

— Owszem, mówiłeś — głos Jonatana zabrzmiał prawie wesoło.

— Chcę być z tobą — powiedziałem — nawet jeżeli to będzie w podziemnej otchłani.

Grota Katli była taką podziemną otchłanią. Wpełznąć przez tę czarną dziurę to było tak, jak wpełznąć w czarny zły sen, z którego nie można się przebudzić, to było jak przejście ze światła słonecznego w wieczną noc. Cała Grota Katli to nic innego, myślałem sobie, jak stare, wymarłe smocze gniazdo, przesycone złością od niepamiętnych czasów. Z pewnością wylegały się tu ze smoczych jaj tysiące okrutnych smoków i wypełzały stąd ogromnymi stadami, by zabijać wszystko, co się znalazło na ich drodze.

Tengil uważał, że właśnie takie stare gniazdo smocze świetnie nadaje się na więzienie. Wzdrygnąłem się, gdy pomyślałem o wszystkim, co on tu w środku zgotował ludziom. Wydawało

mi się, że powietrze jest gęste od prastarej, zaschłej złości, że w okropnej ciszy, która nas otaczała, słyszę dziwne szepty. Dochodziły z wnętrza dalekiej, głębokiej groty, a ja wyobrażałem sobie, że szepczą o wszystkich mękach i śmierciach, i łzach, których Grota Katli była świadkiem za panowania Tengila. Chciałem spytać Jonatana, czy on też słyszy te szepty, ale dałem spokój. Bo pewnie było to coś, co istniało tylko w mojej wyobraźni.

— Teraz, Sucharku, wybierzemy się na wędrówkę, której nigdy nie zapomnisz — powiedział Jonatan.

Miał rację. Żeby się dostać do jaskini więziennej, gdzie siedział Orwar, tuż przy mosiężnej bramie, musieliśmy przejść na wylot przez całe wnętrze góry. Tę właśnie jaskinię ludzie mieli na myśli, kiedy mówili o Grocie Katli, powiedział Jonatan, bo o żadnej innej nie wiedzieli. Myśmy też nie wiedzieli, czy na pewno można tam dotrzeć przez podziemie. Wiedzieliśmy tylko, że droga jest długa. Przebyliśmy ją przedtem po grzbiecie góry. Będzie znacznie, znacznie trudniej przepychać się pod ziemią ciemnymi, zwodniczymi przejściami tylko przy świetle naszych pochodni.

Och, jak okropnie wygląda światło pochodni błakające się po ścianach podziemnych korytarzy! Oświetlało jedynie malutki kawałek ogromnej ciemności, która nas otaczała, i wszystko, co było w cieniu, zdawało się jeszcze bardziej niebezpieczne. Kto wie, myślałem, może leży tam pełno smoków i węży, i potworów i czają się na nas w swoich mrocznych pieczarach. Bałem się też bardzo, że się zgubimy w zawiłych przejściach, ale Jonatan, w miarę jak posuwaliśmy się, robił dymiącymi pochodniami czarne znaki na ścianach, żeby móc odnaleźć drogę powrotną. Jonatan mówił o wędrówce, ale tego wędrowania nie było wiele. Głównie było pełzanie i czołganie się, wdrapywanie i pływanie, i skakanie, i czepianie się, i tylko wielka męka przez cały czas, nic innego. Co to za wędrówka? I gdzie te groty? Czasem wchodziliśmy do tak olbrzymich sal, że nie było widać ich końca i tylko po echu mogliśmy się zorientować w ich rozmiarach. Czasami musieliśmy się przeciskać przez miejsca, gdzie nie można było iść wyprostowanym, trzeba było pełznąć na brzuchu jak smok, czasem drogę zagradzały nam podziemne strumienie, które musieliśmy przepływać, żeby się dostać na drugą stronę.

A najgorsze ze wszystkiego było to, że co jakiś czas przed naszymi stopami otwierały się szerokie przepaście. O mało nie wpadłem do jednej takiej. Niosłem właśnie pochodnię i potknąłem się. Jonatan złapał mnie w momencie, kiedy już prawie spadałem w otchłań. I wtedy upuściłem pochodnię. Zobaczyliśmy, jak leci w dół, niby ognista smuga, coraz głębiej i głębiej, aż w końcu zgasła. Zostaliśmy w ciemnościach — największych i najstraszniejszych na świecie. Nie miałem odwagi ani się ruszyć, ani mówić, ani myśleć, starałem się zapomnieć, że w ogóle istnieję i że stoję w czarnej nocy, tuż nad brzegiem przepaści. Ale słyszałem koło siebie głos Jonatana. Udało mu się w końcu zapalić drugą pochodnię. Zapalając ją przez cały czas mówił do mnie, mówił i mówił, całkiem spokojnie. Chyba dlatego, żebym nie umarł ze strachu.

Potem ruszyliśmy dalej. Nie wiem, jak długo trwała ta nasza męka. W czeluściach Góry Katli traciło się poczucie czasu. Wydawało nam się, że błądzimy tam od wieków, i zacząłem się bać, że nie dojdziemy w porę. Może był już wieczór, może noc zapadła na dworze? A Orwar... może go już miała Katla!

Spytałem Jonatana, co o tym sądzi.

— Nie wiem — odpowiedział. — Nie myśl o tym teraz, jeżeli nie chcesz zwariować.

Wchodziliśmy właśnie w wąskie, kręte przejście, które jakby nie miało końca i było coraz węższe. Kurczyło się i od góry, i z boków, tak że z największym trudem przeciskaliśmy się do przodu, aż wreszcie przeszło w tunel, którym trzeba było pełznąć.

Na końcu tego tunelu zobaczyliśmy nagle dużą grootę. Nie wiedzieliśmy, jak była duża, bo blask pochodni nie sięgał daleko.

Jonatan wypróbował echo.

— Ho-ho-ho! — zawołał.

Usłyszeliśmy, jak echo odpowiedziało „Ho-ho-ho” wiele razy i z wielu stron.

Ale potem usłyszeliśmy jeszcze coś innego. Jakiś inny głos daleko w ciemnościach.

— Ho-ho-ho! — powtórzył głos. — Czego chcesz, ty, który przychodzisz takimi dziwnymi drogami, z pochodnią i światłem?

— Szukam Orwara — powiedział Jonatan.

— Masz go tu — odpowiedział głos. — A kim ty jesteś?

— Jestem Jonatan Lwie Serce. Ze mną jest mój brat, Karol Lwie Serce. Przyszliśmy cię uratować, Orwarze.

— Za późno — odpowiedział głos. — Za późno, ale dziękuję w każdym razie.

Ledwo to powiedział, kiedy usłyszeliśmy, że mosięzna brama otwiera się ze zgrzytem. Jonatan rzucił pochodnię na ziemię i przydeptał ją, żeby zgasła. Staliśmy bez ruchu i czekaliśmy.

Przez bramę wszedł człowiek Tengila z latarnią w rękę. Zacząłem cicho płakać, nie dlatego, że się bałem, tylko z powodu Orwara. Jak mogło się stać coś tak okrutnego, że właśnie teraz przychodzą go zabrać!

— Orwarze z Doliny Dzikich Róż, przygotuj się — powiedział człowiek Tengila. — Za chwilę zostaniesz zaprowadzony do Katli. Czarni strażnicy już idą. W świetle jego latarni zobaczyliśmy dużą drewnianą klatkę o grubych prętach i zrozumieliśmy, że Orwar był w niej uwięziony jak zwierzę.

Człowiek Tengila postawił latarnię na ziemi, obok klatki.

— Możesz podczas twojej ostatniej godziny mieć przy sobie latarnię, tak postanowił Tengil w swojej łaskawości. Żebyś się znów przyzwyczaił do światła i mógł widzieć Katlę, jak się z nią spotkasz. A chcesz zapewne, co? Roześmiał się głośno i wyszedł z powrotem przez bramę.

Zatrzasnęła się za nim z hukiem.

W jednej sekundzie byliśmy przy klatce Orwara. Zobaczyliśmy go w świetle latarni. Żałosny to był widok. Ledwo się mógł ruszać, ale mimo to doczołgał się do krat i wyciągnął do nas ręce między prętami.

— Jonatan Lwie Serce — powiedział. — Dużo o tobie słyszałem u nas, w Dolinie Dzikich Róż. I teraz tu przyszedłeś !

— Tak, przyszedłem — powiedział Jonatan.

Zauważyłem, że i on trochę płacze z powodu tragedii Orwara. Szybko jednak wyciągnął zza pasa nóż i doskoczył do klatki.

— Pomagaj, Sucharku! Tnij! — powiedział.

Zacząłem więc i ja ciąć moim nożem. Ale cóż mogliśmy zrobić dwoma nożami? Tu potrzebna była siekiera i piła. Cięliśmy jednak, aż nam dłonie krwawiły. Cięliśmy i płakaliśmy, bo wiedzieliśmy, że jest już za późno. Orwar też to wiedział, ale może mimo wszystko chciał wierzyć, że tak nie jest, bo z podniecenia dyszał w środku klatki i co jakiś czas mamrotał:

— Prędzaj! Prędzaj!

A myśmy się spieszyli, aż krew ciekła. Cięliśmy jak szaleni, czekając, że w każdej chwili brama się otworzy i przyjdą czarni żołnierze, i wtedy będzie koniec z Orwarem, z nami i z całą Doliną Dzikich Róż.



Zabiorą nie tylko jednego, myślałem sobie. Katla dostanie dziś wieczorem trzech.

Czułem, że już dłużej nie dam rady, ręce mi się trzęsły, ledwo mogłem utrzymać nóż, a Jonatan krzyczał ze złości, był wściekły na pretę, które nie chciały się poddać pod jego ciosami. Kopał je, krzyczał, kopał i znów ciął, i znów kopał, aż wreszcie — coś trzasnęło, wreszcie jeden pret złamał się. A potem jeszcze jeden. To wystarczyło.

— Chodź, Orwarze, chodź! — powiedział Jonatan.

Ale w odpowiedzi usłyszał tylko sapnięcie. Wobec tego wśliznął się do klatki i wyciągnął Orwara, który nie mógł ani stać, ani iść o własnych siłach. Ja też ledwo się już ruszałem, ale na chwiejnych nogach poszedłem naprzód z latarnią, a Jonatan zaczął ciągnąć Orwara w stronę naszego zbawczego tunelu. Był zmęczony i też sapał, sapaliśmy wszyscy trzej jak ścigane zwierzęta i tak właśnie czuliśmy się, w każdym razie ja.

Trudno powiedzieć, jakim cudem, ale Jonatanowi udało się przetaszczyć Orwara przez całą grootę, wcisnąć się do otworu i wciągnąć go za sobą w jakiś przedziwny sposób, mimo że Orwar był wtedy bardziej umarły niż żywy. Ja też czułem się prawie tak, jak on, a teraz była moja kolej, by przecisnąć się przez dziurę. Ale nie zdążyłem. Usłyszeliśmy zgrzytanie bramy i wtedy wszystkie siły mnie opuściły. Nie mogłem się w ogóle ruszyć.

— Szybko, szybko, latarnię! — dyszał Jonatan. Podałem mu ją drżącymi rękami. Trzeba ją było schować, najmniejsza smuga światła by nas zdradziła. Czarni strażnicy weszli do groty. I żołnierze Tengila też, z latarniami w ręku. Zrobiło się strasznie jasno. Ale w naszym kącie było ciemno. Jonatan wychylił się, chwycił mnie pod pachy i wciągnął przez otwór do ciemnego tunelu. Wszyscy trzej padliśmy na ziemię dysząc. Doszedł nas krzyk:

— Uciek! Uciek!

## Rozdział 14

Tej nocy przeprowadziliśmy Orwara przez podziemie. Jonatan tego dokonał. Przeciągnął Orwara przez piekło, nie można inaczej tego nazwać. Ja ledwo potrafiłem sam siebie przeciągnąć, i to z trudem.

— Uciek! Uciek! — krzyczeli prześladowcy, a kiedy ucichli, myśleliśmy, że ruszą za nami. Ale nie, to się nie stało. A przecież nawet ludzie Tengila potrafili chyba wywnioskować, że w Grocie Katli musi istnieć jakaś dziura, przez którą uciekliśmy. Nie tak trudno było ją znaleźć. Oni jednak byli widocznie tchórzliwi, nie bali się napaść na nieprzyjaciela gromadą, ale żaden z nich nie miał odwagi wpełznąć pierwszy do ciasnego tunelu, gdzie czekał nieznaną wróg. Byli po prostu zbyt tchórzliwi, inaczej nie pozwoliliby nam tak łatwo umknąć. Nikt nigdy nie uciekł dotąd z Groty Katli i zastanawiałem się właśnie, jak wytłumaczą Tengilowi ucieczkę Orwara. To ich kłopot, powiedział Jonatan, my mamy aż nadto swoich.

Dopiero po przecięnięciu się przez długi, ciasny tunel odważyliśmy się przystanąć i nabrać trochę tchu. Było to konieczne ze względu na Orwara. Jonatan dał mu koziego mleka, już skwaśniałego, i chleba, który zamókł, a mimo to Orwar powiedział, że lepszego posiłku nie pamięta.

Jonatan nacierał długo i mocno jego nogi, żeby im przywrócić sprawność, i Orwar trochę oprzytomniał, iść jednak nie mógł, tylko pełznąć.

Jonatan powiedział mi, jaką drogą musimy iść, i zapytał, czy mimo to chce jeszcze tej nocy ruszyć dalej.

— Tak, tak, tak — odpowiedział Orwar. — Chcę iść do domu, do Doliny Dzikich Róż, choćby na kolanach, skoro tak trzeba. Nie chcę tu leżeć i czekać, aż gończe psy Tengila zaczną z wyciem szukać nas w tych skalnych korytarzach.

Już było widać, kim jest. Nie żadnym pokonanym więźniem, ale powstańcem, bojownikiem o wolność. Orwar z Doliny Dzikich Róż. Kiedy w świetle latarni zobaczyłem jego oczy, zrozumiałem, dlaczego Tengil się go boi. Bo chociaż był słaby, płonął jakimś wewnętrznym ogniem i chyba tylko dzięki temu wyszedł żywy z tej nocy piekła. Na pewno z wszystkich nocy całego świata żadna nie mogła być gorsza.

Ta noc, przepojona grozą, ciągnęła się w nieskończoność. Ale kiedy ktoś jest bardzo zmęczony, to nie ma siły na przejmowanie się czymkolwiek. Obojętne mu nawet, czy przylecą psy gończe. Owszem, słyszałem, że się zbliżają, wyjąc i ujadając, ale nie miałem siły się bać. Zresztą po krótkim czasie ucichły. Nawet one bały się wejść zbyt głęboko w czeluście, w których myśmy pełzli. Czołgaliśmy się bardzo, bardzo długo i kiedy wreszcie wydostaliśmy się na światło dzienne koło Grima i Fialara, okropnie podrapani, zakrwawieni, przemoczeni i prawie nieżywi ze zmęczenia, był już ranek. Orwar otworzył ramiona, chciał objąć ziemię i niebo, i wszystko, co widział, ale ramiona mu opadły, bo natychmiast zasnął. Zapadliśmy się wszyscy trzej w stan półprzytomności i o niczym nie wiedzieliśmy prawie aż do wieczora. Obudziłem się, jak Fialar trącił mnie pyskiem. Uznał widocznie, że już wystarczająco długo śpię.

Jonatan też się obudził.

— Musimy wyjechać z Karmaniaki, zanim zrobi się ciemno — powiedział. — Potem nie znaleźlibyśmy drogi. Obudził Orwara. A jemu, kiedy oprzytomniał, usiadł, rozejrzał się i uświadomił sobie, że już nie jest w Grocie Katli, łzy napłynęły do oczu.

— Wolny! — wymamrotał. — Wolny!

Wziął dłoń Jonatana i długo je trzymał w swoich.

— Przywróciłeś mi życie i wolność — powiedział. Mnie też podziękował, choć nic przecież nie zrobiłem i raczej tylko przeszkadzałem.

Orwar musiał się teraz czuć tak jak ja, kiedy uwolniłem się od wszystkich moich zmartwień i przyszedłem do Doliny Wiśni. Życzyłem mu z całego serca, żeby i on dotarł do swojej doliny żywy i wolny. Ale jeszcze nie byliśmy tam. Byliśmy wciąż w górach Karmaniaki, gdzie na pewno roilo się teraz od żołnierzy Tengila, którzy szukali Orwara. Mieliśmy prawdziwe szczęście, że nie znaleźli nas w jarze, kiedyśmy spali.

Siedzieliśmy w tym jarze jedząc ostatnie resztki chleba.

Od czasu do czasu Orwar mówił:

— I wyobrazić sobie, że ja żyję! Że jestem wolny i żyję!

Z wszystkich więźniów Groty Katli tylko on jeden przeżył. Tamci zostali jeden po drugim oddani Katli na pożarcie.

— Ale na Tengila można liczyć — powiedział Orwar. — Wierście mi, już on przypilnuje, żeby Grota Katli nie stała zbyt długo pusta.

Co chwila łzy napływały mu do oczu.

— Ach, moja Dolino Dzikich Róż — mówił — jak długo będziesz dogorywać pod Tengilem?!

Chciał się dowiedzieć o wszystkim, co zdarzyło się w dolinach Nangijali od czasu, kiedy go uwięziono. O Sofii i o Mateuszu, i o wszystkim, co robił Jonatan. Jonatan opowiadał. O Jossim też. Kiedy Orwar to usłyszał, myślałem, że chyba umrze na naszych oczach. Dowiedział się, że to przez Jossiego musiał tak długo męczyć się w Grocie Katli. Jakiś czas trwało, zanim przyszedł do siebie i mógł znowu mówić.

— Moje życie nic nie znaczy — powiedział. — Ale to, co Jossi zrobił Dolinie Dzikich Róż, nigdy nie może być ani odpokutowane, ani przebaczone.

— Przebaczone czy nie, dość że otrzymał już na pewno należną mu karę — powiedział Jonatan. — Myślę, że Jossiego nigdy więcej nie zobaczysz.

Nagle Orwara jakby ogarnął jakiś szal. Chciał natychmiast ruszać, wyglądało na to, że chce już tego wieczoru zacząć walkę o wolność. Przeklinał swoje nogi, które tak źle go niosły. W końcu, po długich próbach, udało mu się dźwignąć i stanąć. Pokazał nam to z niemałą dumą.

A był to nie lada widok, kiedy tak stał, chwiejąc się w przód i w tył, jakby go wiatr miał przewrócić. Trudno było powstrzymać się od śmiechu.

— Orwarze — powiedział Jonatan. — Z daleka widać, że jesteś więźniem z Groty Katli.

To była prawda. Wszyscy trzej byliśmy brudni i zakrwawieni, ale Orwar najbardziej. Ubranie miał podarte w strzępy, twarz ledwo widoczną pod zmierzwionymi włosami i brodą. Widać było tylko jego oczy. Jego niesamowite, płonące oczy.

Przez nasz jar przepływał strumyk i w nim oplukaliśmy się z brudu i krwi. Raz po raz zanurzałem twarz w zimnej wodzie. To było cudowne! Miałem uczucie, że splukujemy z siebie całą okropną Grotę Katli.

Potem Orwar pożyczył ode mnie nóż i obciął sobie sporo włosów na głowie i brodzie, żeby mniej wyglądać na zbiegłego więźnia. Jonatan wyciągnął z plecaka hełm i płaszcz, które umożliwiły mu opuszczenie Doliny Dzikich Róż.

— Patrz, Orwarze, włóż to na siebie — powiedział. — Wtedy oni może pomyślą, że jesteś człowiekiem Tengila, że złapałeś dwóch więźniów i gdzieś z nimi jedziesz.

Orwar włożył hełm i płaszcz, ale nie był zadowolony.

— Pierwszy i ostatni raz widzisz mnie w takim stroju — powiedział. — Śmierdzi przemocą i okrucieństwem.

— Niech śmierdzi, czym chce — odpowiedział Jonatan — jeżeli tylko pomoże ci wejść do Doliny Dzikie Róż.

Czas już był ruszać w drogę. Za kilka godzin słońce zajdzie, a jak w górach jest ciemno, to nie można jechać po niebezpiecznych ścieżkach.

Jonatan miał bardzo poważny wyraz twarzy. Wiedział co nas czeka. Usłyszałem, jak zwrócił się do Orwara:

— Myślę, że dwie najbliższe godziny zdecydują o losie Doliny Dzikich Róż. Dasz radę siedzieć tak długo na koniu?

— Tak, tak, tak — zapewnił go Orwar. — Nawet dziesięć godzin, jeżeli chcesz.

Orwar miał jechać na Fialarze. Jonatan pomógł mu go dosiąść. Od razu całkiem się zmienił. Jakby urósł w siodle i nabrał siły. Orwar należał do odważnych, silnych ludzi, tak samo jak Jonatan. Tylko ja wcale nie byłem odważny. Kiedy jednak wsiedliśmy na konie i znalazłem się za Jonatanem, obejmując go w pasie, z czołem opartym o jego plecy, poczułem, jakby trochę siły przeszło z niego na mnie, i już mniej się bałem. Mimo to jednak nie mogłem przestać myśleć, jak by to było cudownie, gdybyśmy nie musieli być cały czas tacy odważni i silni. Ach, gdybyśmy mogli znaleźć się kiedyś znów razem w Dolinie Wiśni jak za pierwszych dni! Ach, jakie to się wydawało odlegli

Zaczęliśmy więc naszą wyprawę. Jechaliśmy w kierunku zachodzącego słońca, na most. Ścieżki w górach Karminiaki są liczne i mylące. W tym ich labiryncie nikt poza Jonatanem nie umiałby znaleźć właściwej. On jedną dziwnym sposobem, potrafił, na szczęście, nie zgubić się. Wypatrywałem ludzi Tengila tak, że aż mnie oczy bolały. Ale nikogo nie było widać prócz Orwara, który jechał za nami w ohydnych hełmie i czarnym płaszczu. Strach dławił mnie, ile razy odwracałem głowę i widziałem go, bo po ostatnich przeżyciach bałem się tego hełmu i wszystkich, co go nosili.

Jechaliśmy i jechaliśmy, i nic się nie działo. Wszędzie, którą przejeżdżaliśmy, było bardzo spokojnie i ładnie. Pomyślałem sobie, że można by to nazwać cichym wieczorem w górach. Tylko że to by w niczym nie odpowiadało rzeczywistości. W takiej ciszy wszystko mogło się zdarzyć, więc jedynym uczuciem było bardzo przykre zdenerwowanie. Nawet Jonatan był niespokojny i cały czas miał się na baczności.

— Jak tylko przejedziemy przez most — powiedział — najgorsze będzie za nami.

— Jak prędko tam będziemy? — zapytałem.

— Za pół godziny, o ile wszystko dobrze pójdzie — odpowiedział.

I wtedy właśnie zobaczyliśmy ich. Cały oddział ludzi Tengila, sześciu oszczepników na czarnych koniach. Ukazali się na zakręcie, tam gdzie ścieżka wychylała się z za skalnej ściany, i jechali truchtem prosto na nas.

— Teraz to sprawa życia i śmierci! — powiedział Jonatan. — Do mnie, Orwarze!

Orwar szybko podjechał i Jonatan rzucił mu swoje wodze, żebyśmy bardziej wyglądali na jeńców.

Oni jeszcze nas nie zauważyli. Było jednak za późno, żeby uciekać. I nie mieliśmy dokąd. Pozostawało jedynie jechać prosto przed siebie i mieć nadzieję, że hełm i płaszcz Orwara zmylą ich.

— Nigdy mnie nie wezmą żywego — powiedział Orwar. — Chcę, żebyś to wiedział, Lwie Serce.

Jechaliśmy więc możliwie najspokojniej w stronę naszych wrogów. Byliśmy coraz bliżej. Poczułem ziąb w plecach i zdążyłem pomyśleć, że jeżeli nas teraz złapią, może i szkoda, że nie zrobili tego w Grocie Katli, uniknęlibyśmy wtedy niepotrzebnej męki przez całą długą noc.

No i spotkaliśmy się. Oni zwolnili kroku, żeby nas w minąć na wąskiej ścieżce. Ten, który jechał na przód okazał się starym znajomym. Był to Park.

Ale Park nie patrzył na nas. Patrzył tylko na Orwara. I w chwili, kiedy mijali się, zapytał:

— Nie słyszałeś, czy go już może złapali?

— Nie, nie słyszałem — odpowiedział Orwar.

— Dokąd jedziesz? — pytał dalej Park.

— Mam dwóch jeńców — powiedział Orwar.

Żadnej innej informacji Park nie otrzymał. Odjechaliśmy tak szybko, na ile pozwalał nam rozsądek.

— Odwróć się ostrożnie, Sucharku, i zobacz, co c robią — poprosił Jonatan.

Zrobiłem, jak chciał.

— Odjeżdżają — powiedziałem.

— Całe szczęście! — ucieszył się Jonatan.

Radość okazała się jednak przedwczesna. Bo zaraz z baczyłem, że stanęli i patrzą za nami.

— Zaczęli myśleć — powiedział Jonatan.

Najwyraźniej tak było.

— Stój! — krzyknął nagle Park. — Chcę się bliżej przyjrzeć tobie i twoim jeńcom!

Orwar zagryzł wargi.

— Jedź, Jonatanie — powiedział. — Inaczej umrzemy!

I pojechaliśmy.

Wtedy Park z całym oddziałem zawrócił i rzucili się w pogoń za nami.

— Teraz, Grimie, pokaż kim jesteś! — powiedział Jonatan.

I ty też, Fialarze, pomyślałem żałując, że sam na nim nie jadę.

Na pewno nikt nie miał lepszych wyścigowców niż nasze konie. Jakby frunęły po ścieżce, dobrze wiedziały, że to sprawa życia albo śmierci. Nasi prześladowcy gonili nas. Słyszeliśmy tętent kopyt, czasem bliżej, czasem dalej, ale bez przerwy. Wciąż go było słychać. Park wiedział teraz, kogo ściga, a takiego łupu żaden człowiek Tengila nie mógł wypuścić z rąk, to było coś, z czym naprawdę warto pokazać się u Tengila w jego twierdzy.

Już nam prawie siedzieli na karku, kiedy galopem przejeżdżaliśmy przez most, i nawet kilka oszczepów pofrunęło za nami. Ale nie dosięgły nas.

Znaleźliśmy się teraz po stronie Nangijali i wtedy najgorsze miało być za nami, tak mówił Jonatan. Wcale tego jednak nie zauważyłem, wręcz przeciwnie.

Szaleńcza pogoń wzdłuż rzeki trwała nadal. Wysoko na stromym brzegu, wiła się ścieżka wiodąca do Doliny Dzikich Róż i właśnie ku niej pędziliśmy. Tą ścieżką jechaliśmy kiedyś, też w letni wieczór, już chyba tysiąc upłynęło od tej pory, jechaliśmy o zmroku, Jonatan i ja, zbliżając się pomału do miejsca, gdzie roznieciliśmy nasze pierwsze ognisko. Właśnie tak powinno się jeździć wzdłuż rzek, a nie tak jak teraz, co koń wyskoczy.

Najszybciej pędził Orwar. Bo był w drodze do domu, do Doliny Dzikich Róż. Jonatan nie mógł za nim nadążyć i Park doganiał nas. Nie mogłem rozumieć dlaczego, aż w końcu zrozumiałem, że to z

mojego powodu. Nie było szybszego jeźdźca od Jonatana, nikt nie mógłby się z nim zrównać, gdyby siedział na koniu sam. Ale teraz musiał cały czas myśleć o mnie i to mu przeszkadzało.

Jonatan powiedział, że ta jazda przesądzi o losie Doliny Dzikich Róż. A jak ona miała się skończyć, zależało ode mnie — to po prostu straszne! Zdawałem sobie coraz bardziej sprawę, że skończy się źle. Ile razy odwracałem głowę, czarne hełmy były troszkę bliżej nas. Czasem chowały się za pagórkami czy za kilkoma drzewami, ale potem znów były, nieubłagane, coraz bliżej i bliżej. Jonatan wiedział równie dobrze jak ja, że nie możemy się uratować. Nie obaj. Konieczne jednak było, żeby on uszedł cało. Nie mogłem dopuścić, żeby go złapano z mojej winy. Dlatego powiedziałem:

— Jonatanie, zrób to, co ci powiem. Zrzuć mnie za zakrętem, tak żeby oni nie zauważyli. I dogoń Orwara.

Zdziwił się w pierwszej chwili, zauważyłem. Ale nie tak bardzo. Bardziej zdziwiony byłem ja sam.

— Masz odwagę to zrobić? — spytał.

— Nie, ale chcę.

— Mały, odważny Sucharek! Wróć po ciebie. Wróć, jak tylko Orwar znajdzie się bezpieczny u Mateusza.

— Przyrzekasz? — spytałem.

— Oczywiście. A co myślałeś? — odpowiedział Jonatan. Byliśmy już obok tej wierzby, gdzieśmy się wtedy kąpali, więc powiedziałem:

— Schowam się w naszym drzewie. Tam po mnie przyjdź.

Więcej nie zdążyłem powiedzieć, bo właśnie zasłonił nas pagórek i Jonatan wstrzymał konia, żebym mógł się ześliznąć. I zaraz ruszył galopem. Szybko stoczyłem na bok do dołka przy ścieżce. Leżałem słysząc, jak prześladowcy przelatują koło mnie z głuchym dudnieniem. Zobaczyłem na mgnienie oka głupią twarz Parka. Kłapał szczękami, jakby chciał gryźć — i takiemu Jonatan i uratował życie!

Zobaczyłem, że Jonatan dogonił Orwara i razem zniknęli. Ogromnie się ucieszyłem. Jedź sobie, jedź, Parku pomyślałem, jeżeli sądzisz, że to cokolwiek pomoże! Orwara i Jonatana już więcej nie zobaczysz.

Leżałem dalej w dołku czekając, żeby Park i jego ludzie się oddalili. Wtedy dopiero podszedłem do rzeki i naszego drzewa. Przyjemnie było wsunąć się w zielony gąszcz korony i usiąść wygodnie w rozwidleniu gałęzi. Poczułem zmęczenie.

Tuż przy drzewie leżała na wodzie mała łódka i uderzała lekko o brzeg. Widocznie urwała się gdzieś wyżej na rzece. Nie była przywiązana. Ten, kto ją stracił, i siał się pewnie martwić, pomyślałem. O różnych rzeczach myślałem, tak sobie siedząc, i rozglądałem się na wszystkie strony. Patrzyłem na szumiącą wodę i na skałę Parka tam było jego miejsce, tego bydlaka, myślałem sobie. Po drugiej stronie rzeki widziałem Górę Katli. Zastanawiało mnie, jak mógł ktokolwiek posunąć się do tego, żeby więzić ludzi w jej okropnych jaskiniach. Myślałem też o Orwarze i Jonatanie i życzyłem im z całej siły, aż mnie w środku bolało, żeby zdążyli ukryć się w naszym podziemnym przejściu, zanim Park ich dopadnie. Zastanawiałem się, co powie Mateusz, kiedy znajdzie Orwara w kryjówce za kredensem, jak się będzie cieszył!

Tak sobie o tym wszystkim rozmyślałem i dopiero jak zaczęło się ściemniać, zdałem sobie sprawę, że może przyjdzie mi spędzić tu całą noc. Jonatan w żaden sposób nie zdąży wrócić przed zapadnięciem ciemności. Zrobiło się trochę niesamowicie, ogarnął mnie strach, przypętlł razem ze zmrokiem. Poczułem się osamotniony.

Nagle dostrzegłem wysoko w górze kobietę jadącą konno skrajem urwistego brzegu. Był to nie kto inny, tylko Sofia! Naprawdę, była to Sofia! Nigdy się bardziej nie ucieszyłem z jej widoku niż teraz.

— Sofio! — wrzasnąłem. — Sofio! Ja tu jestem! Zsunąłem się z drzewa i machałem rękami. Trwało jakiś czas, nim zrozumiała, że to rzeczywiście jestem ja.

— Ach, Karolu — zawołała — jak się tu dostałeś? Gdzie Jonatan? Czekaj, zjedziemy do ciebie, bo i tak musimy napić konie.

Dopiero wtedy zobaczyłem za nią dwóch mężczyzn, też konno. Najpierw poznałem jednego z nich, to był Hubert. Drugi był niewidoczny, ale potem podjechał do przodu.

I zobaczyłem go. To był Jossi.

Ależ to nie mógł być Jossi! Przyszło mi na myśl, że może zwariowałem i mam przywidzenia. Sofia nie mogła przecież przyjechać tu z Jossim! Stało się coś złego, ale co? Czy Sofia także zwariowała, czy też mnie się tylko śniło, że Jossi jest zdrajcą? Nie, nie, nie śniło mi się, on był zdrajcą! I wcale nie miałem przywidzeń, on tu rzeczywiście jechał, i co się teraz stanie? Ratunku, co się teraz stanie?

Jechał ku rzece, w mroku, i wykrzykiwał z daleka:

— Patrzcie no, to Karolek Lwie Serce! Że też znowu się spotykamy!

Zbliżali się wszyscy troje. Stałem spokojnie na dole przy wodzie i czekałem na nich z jedną tylko myślą w głowie: Ratunku, co się teraz stanie?

Zeskoczyli z koni, Sofia podbiegła i objęła mnie. Ocz jej błyszczały z radości.

— Znów się wybrałaś polować na wilki? — spytał Hubert ze śmiechem.

Stałem nie odzywając się i tylko wytrzeszczałem oczy.

— Dokąd jedziecie? — spytałem wreszcie.

— Jossi nam pokaże, gdzie najlepiej przedostać się przez mur — powiedziała Sofia. — Musimy to wiedzieć jak nadejdzie czas walki.

— Tak, właśnie — przytaknął Jossi. — Musimy mieć gotowy plan, zanim uderzymy.

Zawrzało we mnie. Ty w każdym razie na pewno masz gotowy swój plan, pomyślałem. Wiedział, dlaczego tu przyjechał. Chciał zwabić podstępnie Sofię i Hubert w pułapkę. Wciągnie ich prosto w nieszczęście, myślałem, jeżeli nikt mu nie przeszkodzi. Ale ktoś musi m przeszkodzić, myślałem dalej. I wtedy zrozumiałem. Ratunku, to muszę zrobić ja! I natychmiast! Musi się to stać właśnie teraz. Obojętne, jak przykra jest ta myśl muszę to zrobić zaraz. Ale jak mam zacząć?

— Sofio, jak się ma Bianka? — zapytałem.

Sofia zmartwiła się.

— Bianka nigdy nie wróciła z Doliny Dzikich Róż. Cz wiesz coś o Jonatanie?

Nie chciała mówić o Biance. Ale ja dowiedziałem się tego, czego chciałem. Bianka nie żyła. Dlatego Sofi przyjechała tu z Jossim. Nasza wiadomość nigdy do nie dotarła.

Jossi też chciał wiedzieć, czy nie słyszałem czegoś o Jonatanie.

— On chyba nie został złapany? — powiedział.

— Nie, nie został — odpowiedziałem patrząc Jossiemu mocno w oczy. — Właśnie wyratował Orwara z Groty Katli.

Czerwona twarz Jossiego zbladła i zamilkł. A Sofia i Hubert strasznie się ucieszyli, ach, tak się ucieszyli, że Sofia znów mnie objęła, a Hubert powiedział:

— To najlepsza nowina, jaką mogłeś nam przynieść. Chcieli wiedzieć, jak się to wszystko odbyło. Ale Jossi nie chciał. Bo jemu nagle zaczęło się spieszyć.

— Później o tym posłuchamy — powiedział. — Jedźmy tam, gdzie mamy jechać, zanim zrobi się ciemno.

No tak, pomyślałem, bo żołnierze Tengila już się czają!

— Chodź, Karolu — powiedziała Sofia — pojedziemy razem na moim koniu, ty i ja.

— Nie — odparłem. — Nigdzie nie pojedziesz z tym zdrajcą!

Pokazałem na Jossiego. Myślałem, że chyba mnie zabije. Złapał mnie za gardło swymi wielkimi łapskami i syknął:

— Coś ty powiedział? Jeszcze słowo, a zgniotę cię!

Sofia kazała mu, żeby mnie puścił. Ale sama też była zła.

— Karolu, to podłość nazywać kogoś zdrajcą, kiedy to nie jest prawda.

Hubert zaśmiał się.

— Myślałem, że to ja jestem zdrajcą — powiedział. — Ja, który wiem za dużo i lubię siwe konie czy jak tam napisałeś na ścianie u was w kuchni.

— Naprawdę, Karolu, obwiniasz ludzi na prawo i lewo — głos Sofii zabrzmiał surowo. — Musisz z tym skończyć.

— Przepraszam cię, Hubercie — powiedziałem.

— No, a Jossi? — spytała Sofia.

— Jego nie proszę o przebaczenie, bo zdrajcą nazywam zdrajcę — powiedziałem.

Nie chcieli mi wierzyć. Zrozumiałem to z przerażeniem. Chcieli jechać dalej z Jossim. Chcieli własnego nieszczęścia, jakkolwiek starałem się temu przeciwdziałać.

— On was zwabi w zasadzkę! — krzyknąłem. — Wiem o tym! Wiem o tym! Spytajcie go o Wedera i Kad z którymi spotyka się w górach! Spytajcie go, jak zdradził Orwara!

Jossi znowu chciał doskoczyć do mnie, ale opanował się.

— Czy ruszymy wreszcie — zapytał — czy też wszystko zaprzepaścimy przez kłamstwa tego chłopa? Rzucił mi spojrzenie pełne nienawiści.

— A ja cię kiedyś lubiłem — powiedział.

— Ja też — odparłem.

Widziałem, jak bardzo się boi mimo wściekłości. Ja że mu się teraz śpieszyło, musiał przecież doprowadzić do ujęcia i uwięzienia Sofii, zanim ona dowie się prawdy. W przeciwnym razie jego własne życie byłoby narażone. Jaka to musiała być dla niego ulga, że Sofia nie chce znać prawdy. Liczyła na Jossiego, jak zawsze. A ja by tym, który oskarżał najpierw jednego, a potem drugie więc dlaczego miałyby mi wierzyć?

— Chodź już, Karolu — rozkazała. — Później wyjaśnię z tobą tę sprawę.

— Nie będzie żadnego „później”, jeżeli pojedziesz z Jossim — powiedziałem.

I rozpląkałem się. Nangijalę nie stać na utratę Sofii a ja nie mogę jej uratować. Bo ona nie chce być uratowana.

— Chodź, Karolu — powtórzyła z uporem.

W tym momencie coś sobie przypomniałem.

— Jossi! — powiedziałem. — Rozepnij koszulę i pokaż, co masz na piersi.



Twarz Jossiego stała się biała jak kreda, nawet Sofia i Hubert musieli to zauważyć. Położył dłoń na piersi, jakby chcąc coś osłonić.

Przez chwilę panowała cisza. Potem Hubert powiedział ostrym głosem:

— Jossi, zrób to, co mówi chłopiec.

Sofia nie odzywała się, tylko długo patrzyła na Jossiego.

Jossi odwrócił oczy.

— Śpieszy nam się — powiedział i chciał podejść do swojego konia.

Wzrok Sofii zrobił się twardy.

— Tak bardzo nam się nie spieszy — powiedziała. — Jestem twoim dowódcą, Jossi. Pokaż pierś.

Widok Jossiego w tym momencie był okropny. Dyszał, jakby sparaliżowany ze strachu, nie wiedział, czy ma uciekać, czy nie. Sofia podeszła do niego, ale on odepchnął ją łokciem. Nie powinien był tego robić. Sofia mocno go schwyła i rozdarła mu koszulę.

Na jego piersi widniało piętno Katli. Głowa smoka, błyszcząca jak krew.

Sofia zbladła jeszcze bardziej niż Jossi.

— Zdrajca — powiedziała. — Bądź przeklęty, ty i wszystko, co uczyniłeś złego dolinom Nangijali!

Wtedy wreszcie Jossi ożywił się. Zaklął i skoczył do swojego konia. Ale Hubert już tam był i zastąpił mu drogę. Jossi zawrócił szukając w popłochu innego sposobu, żeby umknąć. Zobaczył łódkę. Jednym susem znalazł się w niej i zanim Sofia i Hubert zdążyli dobiec do brzegu, łódka niesiona prądem oddaliła się.

Wtedy Jossi wybuchnął śmiechem, bardzo paskudnym.

— Ukarzę cię, Sofio! — krzyknął. — Kiedy przyjadę jako wódz do Doliny Wiśni, wtedy surowo cię ukarzę!

Ty biedny głupcze, pomyślałem, nigdy więcej nie wrócisz do Doliny Wiśni. Znajdziesz się w Wodospadzie Karma, a nie gdzie indziej.

Próbował wiosłować, ale wściekle wiry uderzały w łódkę, rzucały nią, chcąc ją rozbić, wyrwały mu wiosła. A potem sycząca fala wrzuciła jego samego do wody. Wtedy rozplakałem się i chciałem go ratować, mimo że był zdrajcą. Ale dla Jossiego nie było już ratunku, wiedziałem o tym. Okropne było i strasznie smutne stać w zmroku i widzieć to. I wiedzieć, że Jossi jest całkiem bezbronny i sam wśród fal i wirów. Zobaczyłem go, jak raz jeden wypłynął na grzbiecie fali. Potem woda przykryła go i więcej się nie pokazał.

Było już prawie całkiem ciemno, kiedy Rzeka Prastarych Rzek zabrała Jossiego i zaniósła go do Wodospadu Karma.

## Rozdział 15

Nadszedł wreszcie dzień walki, przez wszystkich wyczekiwany. Tego dnia nad Doliną Dzikich Róż była taka burza, że drzewa się gięły i łamały. Ale Orwar o innej burzy myślał, kiedy mówił:

— Nadejdzie burza wolności, złamie ciemnych, padną jak potrzaskane drzewa. Przewali się z hukiem i zmiecie naszą niewolę czyniąc nas znów wolnymi. Mówił tak w kuchni u Mateusza. Do tej kuchni ludzie przychodzili potajemnie, żeby go usłyszeć i zobaczyć. Chcieli widzieć jego i Jonatana.

— Wy dwaj jesteście naszą pociechą i nadzieją, jesteście wszystkim, co mamy, mówili. Przemykali się do zagrody Mateusza wieczorami, mimo że wiedzieli, jakie to niebezpieczne.

— Oni chcą słuchać o burzy wolności zupełnie tak, jak dzieci chcą słuchać bajek — powiedział Mateusz. Dzień walki — tylko o tym teraz myśleli i za tym tęsknili. Nic zresztą dziwnego. Po ucieczce Orwara Tengil stał się bardziej okrutny niż kiedykolwiek. Codziennie wymyślał nowe sposoby, żeby dręczyć i karać Dolinę Dzikich Róż. Dlatego nienawidzono go jeszcze gwałtowniej niż przedtem. I wykuwano w dolinie coraz więcej i więcej broni.

196A z Doliny Wiśni coraz liczniej przybywali na pomoc bojownicy o wolność. Sofia i Hubert siedzieli w tajnej leśnej kryjówce u Elfridy. Czasem Sofia przychodziła w nocy podziemnym korytarzem i w kuchni u Mateusza z Orwarem i Jonatanem przygotowywali plan walki. Przysłuchiwałem im się, bo spałem teraz na ławie w kuchni, odkąd dla Orwara potrzebne było miejsce w pokoiku za kredensem. Sofia, ile razy przychodziła, zawsze mówiła:

— Oto mój wybawca. Nie zapomniałam chyba podziękować ci, Karolu?

I wtedy za każdym razem Orwar dodawał, że jestem bohaterem Doliny Dzikich Róż. Ale ja przypominałem sobie Jossiego w ciemnej kipieli i było mi tylko smutno. Sofia zarządzała też dostawami chleba dla Doliny Dzikich Róż. Przywożono go z Doliny Wiśni i przemycano przez podziemne przejście. Mateusz chodził z plecakiem i ukradkiem rozdzielał go po zagrodach. Nie wiedziałem przedtem, że ludzie mogą być tak szczęśliwi z powodu odrobiny chleba. Teraz widziałem to, bo towarzyszyłem Mateuszowi w jego wędrówkach. Widziałem, jak ludzie w dolinie cierpią, i słyszałem, jak rozmawiają o upragnionym dniu walki.

Ja sam okropnie się bałem tego dnia, ale w końcu zacząłem prawie za nim tęsknić. Nieznośne było takie bezczynne czekanie, a nawet niebezpieczne, jak mówił Jonatan. — Nie da się tylu rzeczy utrzymać tak długo w tajemnicy — mówił do Orwara. — Nasz sen o wolności może być bardzo łatwo przekreślony.

Na pewno miał rację. Wystarczyło, żeby jakiś człowiek Tengila odkrył podziemny korytarz albo żeby znów zaczęło się przeszukiwanie domów, a znaleziono by Orwara i Jonatana w pokoiku za kredensem. Drżałem na samą myśl o tym.

Jednak ludzie Tengila musieli widocznie być ślepi i głusi, bo inaczej coś by przecież zauważyli. Gdyby choć trochę nadśluchiwali, usłyszeliby, że zaczyna huczeć burza wolności, która wkrótce wstrząśnie całą Doliną Dzikich Róż. Ale oni nic nie słyszeli.

W przeddzień bitwy leżałem wieczorem na ławie i nie mogłem zasnąć. Z powodu szalejącej na dworze burzy i z powodu niepokoju. Powstanie wybuchnie następnego ranka o świcie, tak zostało postanowione. Orwar, Jonatan i Mateusz siedzieli przy stole i rozmawiali o tym, a ja leżałem i przysłuchiwałem się. Najczęściej było słyszeć Orwara. Mówił i mówił, i oczy mu świeciły. Jeszcze bardziej niż inni nie mógł się doczekać rana. Z ich rozmów wywnioskowałem, że ma się to odbyć w następujący sposób. Najpierw zostaną unieszkodliwieni strażnicy przy dużej bramie i przy

bramie od strony rzeki, tak żeby można było je otworzyć i wpuścić przez nie Sofię i Huberta. Mają oni wjechać ze swoimi oddziałami, Sofia przez dużą bramę, Hubert przez bramę rzeczną.

— A potem razem zwyciężymy albo zginiemy — powiedział Orwar.

Powiedział też, że to się musi rozegrać szybko. Dolina musi być uwolniona od wszystkich ludzi Tengila i bramy ponownie zamknięte, zanim Tengil zdąży przejść z Katlą. Bo przeciwko Katli nie ma broni. Jej nie można pokonać inaczej, jak głodem, powiedział Orwar.

— Nie imają się jej oszczepy, strzały ani miecze — powiedział. — A jeden mały płomyk z jej ognia wystarczy, żeby kogoś okaleczyć albo zabić.

— Jeżeli Tengil trzyma w swoich górach Katlę, to co pomoże oswobodzenie Doliny Dzikich Róż?  
— zapytałem. — Z jej pomocą może jeszcze raz nami zawładnąć równie dobrze jak za pierwszym razem.

— Nie zapominaj, że dał nam mur do obrony — powiedział Orwar. — I bramy, które można zamknąć przeciw potworom. Taki jest miły.

Zresztą, jak powiedział Orwar, nie muszę się już wiece bać Tengila. Tegoż wieczoru on, Jonatan, Sofia i jeszcze kilku innych wędrują do jego twierdzy, obezwładnią jego straż przyboczną i zrobią z nim koniec, zanim się w ogóle dowie, że w dolinie wybuchło powstanie. Potem Katla będzie siedziała przywiązana w swojej grocie, aż tak osłabnie i wygłodnieje, że będą mogli ją zabić. — Nie ma innego sposobu pozbycia się potwora — powiedział Orwar.

Potem znów mówił o tym, jak szybko trzeba uwolnić dolinę od wszystkich ludzi Tengila, na co Jonatan zapytał

— Uwolnić? Chcesz powiedzieć: zabić?

— Tak. Cóż innego mógłbym mieć na myśli?

— Ja nie mogę nikogo zabić — powiedział Jonatan. — Wiesz o tym, Orwarze.

— Nawet jeżeli będzie szło o twoje życie?

— Nie, nawet wtedy nie.

Orwar nie mógł tego zrozumieć, Mateusz też nie bardzo

— Gdyby wszyscy byli tacy jak ty — powiedział Orwar — zło panowałoby po wieczne czasy!  
Ale wtedy ja się odezwałem, że gdyby wszyscy byli tacy jak Jonatan, to nie byłoby żadnego zła.

Potem już nic nie mówiłem przez resztę wieczoru. Raz tylko szepnąłem do Mateusza, jak przyszedł okryć mnie kołdrą:

— Boję się, Mateuszu.

Mateusz pogłaskał mnie i powiedział:

— Ja też.

Jonatan musiał w każdym razie obiecać Orwarowi, że będzie jeździł na koniu wśród walczących, żeby dodawać im odwagi do tego, czego sam nie mógł czy nie chciał robić.

— Ludzie w Dolinie Dzikich Róż muszą cię widzieć — mówił Orwar. — Muszą widzieć nas obu.

Wtedy Jonatan odpowiedział:

— Dobrze. Jeżeli muszę, to muszę.

W świetle jedynej małej świeczki palącej się w kuchni zobaczyłem, jaki jest blady.

Po powrocie z Groty Katli musieliśmy zostawić Grima i Fialara w lesie u Elfridy. Zapadło jednak postanowienie że Sofia weźmie je z sobą, kiedy w dzień powstania będzie wjeżdżać przez dużą bramę.

Postanowiono też, co ja będę robił. Miałem nic nie robić, tylko czekać, aż wszystko się skończy. Tak powiedział Jonatan. Mam siedzieć całkiem sam w kuchni i czekać.

Tej nocy niewieleśmy spali.

No i nastał ranek.

Nastał ranek, a z nim dzień walki. Ach, jak mnie sen bolało tego dnia! Widziałem za dużo krwi, słyszałem za dużo krzyków. Bój wrzał na stoku poniżej zagrody Mateusza. Widziałem Jonatana, jak z rozwianym włosom jeździł po polu bitwy, wkoło niego kłębili się walcząc cięży miecze, świstały oszczepy, mknęły strzały, ludzie krzyczeli, bardzo krzyczeli. Powiedziałem do Fialara że jeżeli Jonatan umrze, to ja też chcę umrzeć. Bo Fialar był u mnie w kuchni. Nie chciałem, żeby się ktokolwiek o tym dowiedział, ale musiałem go tam mieć. Nie mogłem być sam, to było niemożliwe. Fialar też widział przez okno, co się dzieje na stoku. W pewnej chwili zarżał. Nie wiem, czy dlatego, że chciał wyjść do Grima, czy dlatego, że się bał, tak jak i ja.

Bałem się... bałem, bałem.

Zobaczyłem, jak Weder padł od strzały Sofii, jak Kad poległ pod mieczem Orwara, także Dodik i kilku jeszcze padali na prawo i lewo. A Jonatan jeździł wśród nic wicher szarpał mu włosy, jego twarz była coraz bledsza moje serce było coraz bardziej chore.

Potem nastąpił koniec.

Dużo krzyków rozbrzmiewało tego dnia w Dolinie Dzikich Róż, ale jeden całkiem się różnił od reszty.

Nagle, w wirze najgorszej walki, w huku szalejącej burzy, zadźwięczał wojenny róg i rozległo się wołanie:

— Katla idzie!

A potem usłyszeliśmy ten inny krzyk. Wygłodniały krzyk Katli, tak dobrze wszystkim znany. Wówczas opadły miecze, oszczepy i strzały, a ci, co walczyli, przestali walczyć. Wiedzieli, że nie ma już ratunku. W dolinie było teraz słyhać tylko huk burzy, wojenny róg Tengila i ryk Katli, która ziała ogniem, zabijając wszystkich wskazanych przez Tengila. A on wskazywał i wskazywał, jego okrutna twarz była ciemna z wściekłości. Zrozumiałem, że teraz to już koniec Doliny Dzikich Róż.

Ale nie chciałem tego oglądać, nie chciałem... nic widzieć. Tylko Jonatana, musiałem go odnaleźć. Zobaczyłem go tuż przed zagrodą Mateusza. Siedział na Grimie, błydy i całkiem spokojny, huragan szarpał mu włosy.

— Jonatanie! — krzyknąłem. — Jonatanie, słyszysz mnie?

Ale on nie słyszał. Spiął konia i popędził stokiem w dół, leciał jak strzała, jestem pewien, że nikt szybciej nie mógł jechać ani w niebie, ani na ziemi. Leciał w stronę Ten-gila... i przeleciał obok niego...

Potem znów zabrzmiał róg. Ale tym razem grał na nim Jonatan. Pędząc wyrwał go Tengilowi z ręki i teraz dął w niego, ile sił w płucach. Żeby Katla wiedziała, że ma nowego pana.

Potem zrobiło się bardzo cicho. Nawet burza ustała. Wszyscy zamilkli i tylko czekali. Tengil, nieprzytomny z przerażenia, siedział na koniu i czekał. Katla też czekała.

Jonatan jeszcze raz zadzwonił w róg.

Wtedy Katla ryknęła i obróciła się z furią przeciwko temu, któremu była dotąd tak ślepo posłuszna. Nadejdzie kiedyś ostatnia godzina Tengila, mówił swego czasu Jonatan, dobrze to pamiętam.

Nadeszła teraz.

Tak więc skończył się dzień walki w Dolinie Dzikich Róż. Wielu oddało życie za wolność. Teraz dolina była wolna. Ale ci, co polegli, nie wiedzieli o tym. Mateusz nie żył, nie miałem już dziadka.

Hubert nie żył, on poległ pierwszy. Nie zdążył nawet wjechać przez bramę rzeczną, bo spotkał się w niej z Tengilem i jego żołnierzami. A przede wszystkim spotkał Katłę. Tego właśnie dnia Tengil wziął ją z sobą, żeby bardzo ciężko ukarać Dolinę Dzikich Róż za ucieczkę Orwara. Nie wiedział, że to będzie dzień powstania. Kiedy się spostrzegł, pewnie bardzo się ucieszył, że ma Katłę. Ale teraz Tengil nie żył, tak jak i inni.

— Nie ma już naszego ciemniźcyela — powiedział Orwar. — Nasze dzieci będą mogły żyć w wolności i szczęściu. Niedługo Dolina Dzikich Róż stanie się taka sama jak dawniej.

Ja jednak pomyślałem, że taka jak dawniej nie będzie nigdy. W każdym razie nie dla mnie. Bo już nie było Mateusza.

Orwar dostał mieczem przez plecy, ale wydawało się, tego nie czuje albo nie przejmuje się tym. Kiedy mówił do ludzi w dolinie, oczy mu płonęły tak samo jak zawsze

— Jeszcze będziemy szczęśliwi — powtarzał raz po raz.

Tego dnia wiele osób płakało w Dolinie Dzikich Róż. Tylko nie Orwar.

Sofia żyła, nie była nawet ranna. Zamierzała też wrócić do domu, do Doliny Wiśni, razem z tymi towarzyszami walki, którzy uniknęli śmierci.

Przyszła do zagrody Mateusza, żeby się pożegnać.

— Tu mieszkał Mateusz! — powiedziała i zapłaka. Potem objęła Jonatana. — Wróc niedługo do Zagrody Jeźdźców — powiedziała. — Będę ciągle o tobie myśla dopóki cię znów nie zobaczę.

Potem popatrzyła na mnie.

— A ty, Karolu, pojedziesz chyba ze mną?

— Nie — odpowiedziałem. — Zostanę z Jonatanem. Bardzo się bałem, że Jonatan odeśle mnie z Sofią, a nie zrobił tego.

— Chętnie będę miał Karola z sobą — powiedział. Na stoku poniżej zagrody Mateusza leżała Katla jak wielki, okropny tłumok, milcząca i nasyciona krwią. Co jakiś czas patrzyła na Jonatana, tak jak patrzy pies, żeby wiedzieć, czego sobie życzy jego pan. Nikogo teraz nie napastowała, ale póki tam była, strach nie opuszczał doliny. Nikt nie miał odwagi się cieszyć. Dopóki istnie Katla, powiedział Orwar, Dolina Dzikich Róż nie może ani cieszyć się wolnością, ani opłakiwać swoich zmarłych. Był tylko jeden ktoś, kto mógł odprowadzić ją do jej groty. Tym kimś był Jonatan.

— Czy chcesz pomóc po raz ostatni Dolinie Dzikich Róż? — zapytał Orwar. — Gdybyś ją tam zaprowadził i przywiązał na łańcuchu, ja zrobię resztę, jak przyjdzie pora.

— Zgoda — powiedział Jonatan. — Chcę ci pomóc, Orwarze, jeszcze ten ostatni raz.

Dobrze wiem, jak się powinno jeździć konno wzdłuż rzek. Najlepiej jechać pomału i patrzeć na płynącą w dole rzekę, na migoczącą wodę i na gałęzie wierzb, które tańczą na wietrze. Nie powinno się mieć wtedy smoka tuż za sobą.

A myśmy mieli. Słyszeliśmy z tyłu ciężkie stąpanie łap. Człap, człap, człap — niebezpieczny to był odgłos, do tego stopnia, że nasze konie prawie wariowały ze strachu. Ledwo mogliśmy je utrzymać. Co jakiś czas Jonatan dał w róg. To też był okropny dźwięk i z pewnością Katla również go nie lubiła. Ale musiała mu być posłuszna. To jedno mnie pocieszało podczas tej naszej jazdy. Nie odzywaliśmy się do siebie ani słowem, Jonatan i ja, jechaliśmy tylko i jechali, byle szybciej. Jonatan musiał przed nocą przywiązać Katłę na łańcuchu w jej grocie, tam miała zdechnąć. Potem nigdy już jej nie zobaczymy, obiecał, i zapomnimy, że istnieje taki kraj jak Karmaniaka. Prastare Góry niech sobie stoją po wieczne czasy, ale my już nigdy nie będziemy jeździli tymi drogami.

Pod wieczór zrobiło się cicho, huragan umilkł i nas spokojny, ciepły wieczór. Jak ślicznie zachodziło słońce. W taki wieczór, pomyślałem sobie, powinno się jeździć wzdłuż rzeki bez

uczucia strachu. Nie pokazałem te jednak Jonatanowi. To znaczy tego, że się boję. Wreszcie dojechaliśmy do Wodospadu Karma.

— Karmaniako, widzisz nas tu po raz ostatni — powiedział Jonatan, kiedy przejeżdżaliśmy przez most. A potem zagrał na rogu.

Katla zobaczyła swoją skałę po drugiej stronie rzeki. Chciała się tam widocznie dostać, bo syknęła z podniecenia. Syknęła tuż przy tylnych nogach Grima. Bard źle, że to zrobiła.

Bo wtedy stało się, co się stało. Grim, nieprzytomny z przerażenia, stanął dęba i uderzył w poręcz mostu. Krzyknąłem myśląc, że Jonatan wpadnie głową naprzód do wodospadu. Ale nie wpadł. Natomiast róg wyleci mu z ręki i zniknął głęboko w dole, w szumiącej wodzie. Okrutne ślepia Katli widziały całe to zdarzenie. Zrozumiała, że teraz nie ma już pana nad sobą. Ryknęła i natychmiast ogień buchnął z jej z nozdrzy.

Ach, jak myśmy pędzili ratując nasze biedne życia. Jak gnaliśmy! Przez most, potem ścieżką pod górę, w stronę twierdzy Tengila. Za nami goniła sycząca Katla. Ścieżka wiła się i wspinała zygzakami przez Prastare Góry. I nawet w najgorszym śnie nie mogło być nic bardziej potwornego niż uciekać tamtędy, wąskimi półkami skalnymi, z Katlą na piętach. Była tak blisko, że jej ogień prawie nas lizał. Jeden straszny płomień wystrzelił tu tuż przy Jonatanie i przez okropny moment myślałem że go spalił. Ale Jonatan krzyknął:

— Nie zatrzymuj się! Jedź! Jedź!

Biedne nasze konie! Katla goniła za nimi, a one prawie pękały z wysiłku, żeby jej umknąć. Pędziły ścieżką pod górę, zakosami, skrętami, zygzakami, piana z nich pryskała, galopowały coraz prędzej i prędzej, aż w końcu już prędzej nie mogły. Katla została w tyle i zaczęła ryczeć ze złości. Była teraz na własnym terenie, tu nikt nie mógł jej ująć. Uderzała łapami coraz szybciej, wiedziałem, że w końcu zwycięży. Przez swoje uparte okrucieństwo.

Długo jechaliśmy, bardzo długo, ale nie miałem nadziei na jakiegokolwiek wybawienie.

Znaleźliśmy się teraz dość wysoko w górach. Od Katli dzielił nas spory kawałek drogi, widzieliśmy ją prosto pod nami, na wąskiej półce skalnej nad wodospadem. Zatrzymała się na chwilę. To była jej skała. Tutaj wystawała dawniej, stąd patrzyła. I teraz zrobiła to samo. Niemal wbrew własnej woli zatrzymała się i spojrzała w dół na wodospad. Ogień i dym buchały z jej nozdrzy, człapała niespokojnie tam i z powrotem. Ale potem przypomniała sobie o nas i obróciła w naszą stronę płonące ślepia. Ty okrutna, pomyślałem, ty okrutna, okrutna, dlaczego nie zostajesz na swojej skale?

Wiedziałem, że pójdzie za nami, że nas dogoni... Dotarliśmy do dużego kamienia, zza którego wtedy, jak przyjechaliśmy pierwszy raz do Karmaniaki, ukazał się nam jej straszliwy łeb. Wtem nasze konie utraciły resztę sił. Niesamowite to uczucie, kiedy koń pada pod tobą. A to właśnie się stało, oba po prostu runęły na ścieżkę. I jeżeli mieliśmy przedtem nadzieję na cud, który by nas wybawił, teraz nadzieja ta została przekreślona. Byliśmy zgubieni i wiedzieliśmy o tym. Katla też wiedziała. Jaki diabelski triumf zabłyśnął w jej ślepiąc. Stała bez ruchu na skale i gapiła się na nas. Z szydery śmiechem, jak mi się zdawało. Nie śpieszyła się teraz ani trochę. Zupełnie jakby sobie myślała: Przyjdę, kie przyjdę. W każdym razie możecie się mnie na pewno spodziewać.

Jonatan popatrzył na mnie w ten swój miły sposób.

— Przebacz mi, Sucharku, że zgubiłem róg — powiedział. — Ale to nie moja wina.

Chciałem mu odpowiedzieć, że nigdy, przenigdy i miałem mu nic do przebaczenia, byłem jednak oniemiały ze strachu.

Katla stała w miejscu. Kłęby ognia i dymu wydobywały się z jej nozdrzy, zaczęła tupać łapami. Schowaliśmy za dużym głazem, żeby strumienie jej ognia nie mogły nas osiągnąć. Przyłgnąłem mocno do Jonatana, z całej siły. Spojrzał na mnie ze łzami w oczach.

A potem ogarnął go szal. Pochylił się i krzyknął Katli:

— Nie rusz tylko Sucharka! Słyszysz, potworze? Nie rusz Sucharka, bo jak nie, to...

Chwyć oburącz za głaz, jak gdyby był olbrzym i mógł ją przestraszyć. Nie był jednak olbrzymem i mógł przestraszyć Katli, ale głaz leżał na samym brzegu przepaści.

„Katli nic nie ugodzi” — powiedział kiedyś Orwar. Mógł też dodać, że i żaden głaz, choćby największy.

Głaz zepchnięty przez Jonatana nie zabił Katli. Ale zleciał prosto na nią. Z rykiem, który przewróciłby górę wpadła tyłem do Wodospadu Karma.

## Rozdział 16

Jonatan nie zabił Katli. Zrobił to Karm. A Katla zabiła Karma. Na naszych oczach. Widzieliśmy to. Nikt poza Jonatanem i mną nie widział zabijających się wzajemnie dwóch potworów z pradawnych czasów. Patrzyliśmy, jak walczą na śmierć i życie w Wodospadzie Karma. Kiedy Katla ryknęła i znikła pod wodą, nie mogliśmy w to z początku uwierzyć. Trudno, było uwierzyć, że naprawdę jej nie ma. Tam gdzie się pogrążyła, wirowała piana. Nic więcej. Nie widzieliśmy śladu Katli. Ale potem zobaczyliśmy węża. Wynurzył zieloną głowę z piany, ogonem bił w wodę. Ach, co za ohyda! Olbrzymi wąż, długi na całą szerokość rzeki, dokładnie taki, jak opowiadała Elfrida.

Wąż-olbrzym w Wodospadzie Karma, o którym Elfrida słyszała bajki jako mała dziewczynka, wcale nie był bardziej bajką niż Katla. Istniał naprawdę, był tak samo potworem jak ona. Kręcił łbem na wszystkie strony, szukał... aż dostrzegł ją. Wypłynęła z głębin i nagle znalazła się w samym środku wirów. Wąż rzucił się ku niej i omotał ją. Katla pluła swym śmiercionośnym ogniem, ale on tak się na niej zacisnął, że ogień uwiązł jej w gardzieli. Wtedy zaczęła go gryźć. A on gryzł ją. Gryźli się nawzajem, chcąc się zabić. Widocznie marzyli o tym od niepamiętnych czasów, bo kłębili się i kąsali jak dwoje szaleńców, przetaczali w wirach wodnych swe ohydne cielska jedno przez drugie. Katla ryczała między ugryzieniami, Karm kąsał nie wydając żadnego dźwięku. Czarna krew smoka i zielona węża mieszały się z białą pianą, która stawała się ciemna i mętna.

Jak długo walczyli? Nie wiem. Wydawało mi się, że stoję na ścieżce od tysiąca lat i że nigdy niczego innego nie widziałem, jak tylko ostatnią walkę tych dwóch rozwścieczonych potworów.

Długo trwała ta straszna walka, ale wreszcie skończyła się. Katla wydała rozdzierający ryk, to był jej śmiertelny ryk, po czym zamilkła. Karm nie miał już wtedy głowy. Ale jego cielsko trzymało ją nadal w uścisku i zapadli się razem w odmęty, ciasno ze sobą spleceni. A potem nie było już żadnego Karma ani żadnej Katli, zniknęli tak, jakby nigdy nie istnieli. Piana zrobiła się znowu biała, a trującą krew potworów zmyły potężne wody wodospadu. Wszystko było jak przedtem. Jak od zamierzchłych czasów.

Staliśmy na ścieżce dysząc, mimo że już było po wszystkim. Długo nie mogliśmy mówić. Wreszcie Jonatan powiedział:

— Musimy uciekać! Szybko! Zaraz zacznie się ściemniać, nie chcę, żeby noc zastała nas w Karmaniące. Biedne nasze konie, Grim i Fialar! Nie wiem, jak zdołaliśmy je poderwać na nogi i jak stamtąd uciekliśmy. Były tak zmęczone, że ledwo szły.

Opuściliśmy jednak Karmaniąkę i przejechaliśmy po raz ostatni przez most. Potem konie nie były już w stanie zrobić ani kroku więcej. Jak tylko dotarliśmy do końca mostu po drugiej stronie, runęły na ziemię. Tak jakby uznały, że pomogły nam dostać się do Nangijałi i że teraz dość już tego.

— Rozpalimy sobie ognisko na naszym starym miejscu — powiedział Jonatan. Miał na myśli tę skałę, gdzie przesiedzieliśmy noc podczas burzy i skąd pierwszy raz zobaczyłem Katlę. Dreszcz mnie przeszedł na samo wspomnienie. Wolałbym rozbić obozowisko gdzie indziej. Jednak dalej nie mogliśmy już jechać.

Przed ułożeniem się na noc należało napoić konie. Daliśmy im wody, ale nie chciały pić. Zanadto były zmęczone. To mnie zaniepokoiło.

— Jonatanie, z nimi dzieje się coś dziwnego — powiedziałem. — Myślisz, że lepiej się poczują, jak się prześpią?

— Naturalnie! Wszystko będzie dobrze, jak się prześpią! — odpowiedział Jonatan.



Pogłaskałem Fialara, który leżał z zamkniętymi oczami.

— Co za dzień miałeś, biedny Fialarze!

Ale Jonatan powiedział, że jutro wszystko będzie dobrze. Rozpaliliśmy ogień dokładnie w tym samym miejscu, gdzie przedtem. Ta skała, prawdę mówiąc, była najlepszym miejscem, jakie można sobie wyobrazić do rozpalenia ogniska. Gdyby tylko dało się zapomnieć, że Karmaniaka jest tak blisko! Od tyłu chroniły nas przed wiatrem wysokie skały, nadal ciepłe od słońca. Przed nami stroma ściana opadała prosto do Wodospadu Karma. Przy moście, po naszej stronie, była jeszcze jedna przepaść, a na jej dnie zieleniała malutka łączka. Wyglądała jak maleńki, zielony punkcik, daleko, daleko pod nami.

Siedzieliśmy przy ognisku i patrzyliśmy na zmrok zapadający nad Prastarymi Górami i nad Rzeką Prastarych Rzek. Byłem zmęczony i myślałem o tym, że dłuższego i bardziej ciężkiego dnia nigdy jeszcze nie przeżyłem. Od świtu do zmierzchu nic, tylko krew, strach, śmierć, Są przygody, które nie powinny się zdarzać, powiedział kiedyś Jonatan. Tego dnia mieliśmy takich aż nadto Dzień walki był rzeczywiście długi i ciężki, teraz nareszcie skończył się.

Ale smutek się nie skończył. Myślałem o Mateuszu Tak bardzo mi go było brak i gdyśmy siedzieli przy ogniu spytałem Jonatana:

— Gdzie jest teraz Mateusz, jak myślisz?

— W Nangilimie — odpowiedział.

— W Nangilimie? Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

— Ależ tak, słyszałeś — powiedział Jonatan. — Pamiętasz ten ranek, kiedy opuszczałem Dolinę Wiśni, a ty się tak bałeś? Pamiętasz, co wtedy powiedziałem? Że jeżeli nie wrócę, to się spotkamy w Nangilimie. Tam jest teraz Mateusz.

Potem opowiedział o Nangilimie. Dawno mi nic ni opowiadał, nie było kiedy. Teraz siedział przy ogniu i opowiadał o Nangilimie i było prawie tak, jak wtedy kiedy siadywał na brzegu mojej kanapy u nas w domu w mieście.

— W Nangilimie... w Nangilimie — mówił Jonatan takim głosem jak zawsze, kiedy opowiadał.

— Tam jest jeszcze czas ognisk i bajek.

— Biedny w takim razie Mateusz, bo ma pełno przy gódód które nie powinny się zdarzać.

Ale Jonatan powiedział, że w Nangilimie jest czas wesołych bajek, a nie ponurych, czas wypełniony zabawami. Ludzie się tam bawią, pracują też, oczywiście, i pomagają jedni drugim we wszystkim, ale dużo się bawią, śpiewają i tańczą, i opowiadają bajki. Czasem straszą dzieci naprawdę okropnymi, ponurymi bajkami o potworach, takich jak Karm i Katla, i o okrutnych ludziach, takich jak Tengil. Ale potem śmieją się z tego. „Wystraszyłyście się? — mówią do dzieci. — To przecież tylko bajka. Nic takiego nigdy nie istniało. W każdym razie nie w naszych dolinach.”

Jonatan powiedział, że Mateuszowi jest w Nangilimie bardzo dobrze. Ma starą zagrodę w Dolinie Jabłoni, najładniejszą zagrodę w najpiękniejszej i najbardziej zielonej dolinie z wszystkich dolin Nangilimy.

— Niedługo będzie pora zbierania jabłek w jego sadzie — mówił Jonatan. — Powinniśmy tam wtedy być, żeby mu pomóc. On jest za stary, żeby się wspinać na drabiny.

— Miałbym prawie ochotę się tam dostać — powiedziałem. Bo takie mi się wszystko zdawało przyjemne w tej Nangilimie, no i bardzo tęskniłem za Mateuszem.

— Naprawdę? — spytał Jonatan. — No tak, moglibyśmy, oczywiście, zamieszkać u Mateusza. W zagrodzie Mateusza w Dolinie Jabłoni, w Nangilimie.

— Opowiedz, jak by to było — poprosiłem.

— Ach, byłoby wspaniale — powiedział Jonatan. — Moglibyśmy jeździć sobie po lasach i rozpałać ogniska to tu, to tam — żebyś wiedział, jakie tam są lasy wokół dolin Nangilimy! A głęboko w tych lasach leżą małe, czyste jeziora. Moglibyśmy rozpałać sobie ognisko co noc przy jakimś innym jezioru i nie byłoby nas przez całe dni i noce, a potem wracalibyśmy znów do domu do Mateusza.

— I pomagilibyśmy zbierać jabłka — powiedziałem. - Ale wtedy Sofia i Orwar musieliby zajmować się Dolin Wiśni i Doliną Dzikich Róż bez ciebie, Jonatanie.

— A dlaczego by nie? — odpowiedział. — Sofia i Orwar już mnie nie potrzebują, sami sobie poradzą w swoich dolinach.

Zamilkł. Milczeliśmy obaj. Byłem zmęczony i wcale nie wesoły. Żadna to pociecha słuchać o jakiejś Nangilimie która jest tak daleko.

Zmierzchało coraz bardziej, góry robiły się coraz ciemniejsze. Duże, czarne ptaki krążyły nad nami i krzyczały smętnie, wszystko było takie smutne. Wodospad huczał a mnie męczyło słuchanie tego huk. Przypominał mi to, o czym chciałem jak najszybciej zapomnieć. Wszystko razem było samym smutkiem, niczym, tylko smutkiem Pomyślałem sobie, że chyba już nigdy nie będę wesoły. Przysunąłem się bliżej do Jonatana. Siedział bardzo spokojnie, oparty o skałę, twarz miał bladą. Wyglądał ja królewicz z bajki, blady i zmęczony królewicz. Biedny Jonatanie, ty też nie jesteś wesoły, pomyślałem. Ach gdybym mógł choć trochę cię rozweselić!

Kiedyśmy tak siedzieli milcząc, Jonatan odezwał się:

— Słuchaj, Sucharku. Muszę ci o czymś powiedzieć.

Od razu się wystraszyłem, bo jak on tak zaczynał, to na pewno chodziło o coś smutnego.

— O czym musisz mi powiedzieć? — spytałem.

Pogłaskał mnie po policzku wskazującym palcem.

— Nie bój się, Sucharku... czy przypominasz sobie co powiedział Orwar? Że nawet najmniejszy płomyk z ognia Katli wystarczy, żeby kogoś okaleczyć albo zabić, pamiętasz?

— Tak, ale dlaczego musisz mówić o tym teraz?

— Dlatego... dlatego, że mały płomyk z ognia Katli sparzył mnie, kiedyśmy przed nią uciekali.

Przez cały dzień moje serce było chore od zmartwień i okropnych strachów, ale nie płakałem. Teraz płacz wydobył się ze mnie prawie jak krzyk.

— Jeszcze i ty umrzesz, Jonatanie? — krzyknąłem.

Wtedy Jonatan powiedział:

— Nie. Ale chciałbym. Bo już nigdy nie będę mógł się ruszać.

Wytłumaczył mi, na czym polega okrucieństwo ognia Katli. Jeżeli nie zabije, to czyni coś znacznie gorszego. Psuje coś wewnątrz swojej ofiary i powoduje jej kalectwo. Nie zauważa się tego od razu, to przychodzi ukradkiem, powoli, ale nieubłagane.

— Teraz mogę ruszać już tylko rękami — powiedział. — Niedługo nawet to będzie niemożliwe.

— Może ci przejdzie? — spytałem płacząc.

— Nie, Sucharku, to nigdy nie przejdzie. Chyba żebym się dostał do Nangilimy.

Chyba żeby się dostał do Nangilimy! Ach, teraz zrozumiałem. Znowu zamierzał zostawić mnie samego, byłem przekonany. Kiedyś wybrał się do Nangijali beze mnie...

— Znowu... nie! — krzyknąłem. — Nie beze mnie! Nie wolno ci uciec do Nangilimy beze mnie!

— Chcesz ze mną pójść? — zapytał.

— A co myślisz? Mówiłem ci przecież, że gdziekolwiek pójdziesz, pójde z tobą.

— Mówiłeś. I to mnie pociesza. Ale tam bardzo trudno się dostać.

Milczał przez chwilę, a potem powiedział:

— Pamiętasz, jak to było wtedy, kiedyśmy skoczyli Tego straszego dnia, kiedy się paliło, a my wyskoczyliśmy z okna na podwórze. Dostałem się wtedy do Nangijali, pamiętasz?

— Jasne, że pamiętam — odpowiedziałem i zaczął jeszcze bardziej płakać. — Jak możesz tak pytać? przecież stale to pamiętam, zdaje ci się może, że nie?

— Tak, wiem — Jonatan znowu pogładził mnie policzku.

A potem powiedział:

— Pomyślałem, że może moglibyśmy skoczyć jesz raz. W tę przepaść. Na tę łączkę w dole.

— To byśmy się zabili — odpowiedziałem. — A dostalibyśmy się wtedy do Nangilimy?

— Tak, na pewno. Jak tylko dotkniemy gruntu, zobaczymy światło Nangilimy. Zobaczymy ranne światło nad dolinami Nangilimy, bo tam jest teraz ranek.

— Cha-cha, więc możemy skoczyć prosto do Nangilimy — zaśmiałem się po raz pierwszy od dawna.

— Możemy — powiedział Jonatan. — Zaraz po wylądowaniu zobaczymy prosto przed sobą ścieżkę do Doliny Jabłoni. Grim i Fialar już tam stoją i czekają. Wystarczy na nie wsiąść, by ruszyć w drogę.

— I ty wcale nie będziesz sparaliżowany? — spytałem.

— Nie. Będę wtedy wolny od wszelkiego zła i wesoły jak nie wiem co! I ty też, Sucharku, ty też! Ścieżka do Doliny Jabłoni prowadzi przez las, wyobrażasz sobie, co to będzie za uczucie jechać tam razem w porannym słońcu?

— Dobra — powiedziałem znowu się śmiejąc.

— I nie będzie się nam śpieszyło — mówił dalej Jonatan. — Wykapiemy się w jakimś małym jeziorku, jeżeli nam przyjdzie ochota. Tak czy inaczej zdążymy do Doliny Jabłoni, zanim Mateusz ugotuje zupę.

— Ale on się ucieszy, jak nas zobaczy! — powiedziałem. Potem nagle poczułem się tak, jakby mnie ktoś zdzielił kijem. A konie? Jak to sobie Jonatan wyobraża, że weźmiemy z sobą Grima i Fialara do Nangilimy?

— Mówisz, że one już tam na nas czekają? — spytałem. — Przecież leżą tu obok i śpią.

— Nie śpią, Sucharku. One nie żyją. Zabił je ogień Katli. To, co tu widzisz, to tylko jakby ich skorupy. Wierz mi, Grim i Fialar już stoją przy ścieżce do Nangilimy i czekają na nas.

— No, to się pospieszmy — powiedziałem — żeby nie musiały długo czekać.

Jonatan popatrzył na mnie z uśmiechem.

— Ja nie mogę się ani trochę pospieszyć. Nie mogę ruszyć się z miejsca, zapomniałeś?

Wtedy zrozumiałem, co muszę zrobić.

— Jonatanie, wezmę cię na plecy — powiedziałem. — Kiedyś ty zrobiłeś to dla mnie. Teraz ja to zrobię dla ciebie. W ten sposób będzie sprawiedliwie.

— Owszem, bardzo sprawiedliwie — zgodził się Jonatan. — Odważysz się, Sucharku Lwie Serce?

Podszedłem do urwiska i spojrzałem w dół. Było już ciemno. Łączka ledwo się rysowała. W głowie mi się zakręciło od tej straszliwej głębi. Jeżeli w nią skoczymy to w każdym razie na pewno

dostaniemy się obaj do Nangilimy. Nikt nie będzie musiał zostać sam i martwić się i płakać, i bać się.

Tylko że nie m y mieliśmy skoczyć, j a miałem to zrobić. Jonatan powiedział, że trudno się dostać do Nangilimy, dopiero teraz zrozumiałem dlaczego. Czy się odważę, czy się kiedykolwiek odważę?

No tak, myślałem, jeżeli nie odważysz się teraz, to jesteś śmieciem i nigdy nie będziesz niczym innym, ja nędznym śmieciem.

Wróciłem do Jonatana.

— Tak, odważę się.

— Mój dzielny, mały Sucharek! No, to zrobmy t zaraz.

— Chcę najpierw posiedzieć przy tobie chwilę.

— Ale nie za długo.

— Nie. Tylko niech się zrobi całkiem ciemno. Tak żebym nie widział.

Usiadłem obok Jonatana i wziąłem go za rękę. Poczułem, że jest taki silny i dobry, że przy nim nic nie jest naprawdę niebezpieczne.

Potem zapadła noc i ciemność ogarnęła Nangijalę, góry, rzeki i cały kraj. Stałem nad przepaścią z Jonatanem, wisiał mi na plecach, rękami obejmował za szyję, czułem przy uchu jego oddech. Oddychał całkiem spokojnie. Nie tak, jak ja... Jonatanie, bracie mój, dlaczego nie jestem równie odważny, jak ty?

Nie widziałem przed sobą przepaści, ale wiedziałem, że się tam znajduje. Wystarczyło zrobić tylko krok w ciemność, a byłoby po wszystkim. Poszłoby bardzo szybko.

— Sucharku Lwie Serce — spytał Jonatan — boisz się?

— Nie... tak, boję się! Ale zrobię to, Jonatanie, zrobię to teraz... zaraz... a potem już nigdy nie będę się bał! Nigdy nie będę się ba...

— Ach, Nangilima! Tak, Jonatanie, tak, widzę światło!

W i d z e ś w i a t ł o!

## Posłowie

Piszę do wszystkich dzieci, które przysłały mi listy o Bracia Lwie Serce. Nie mogę odpowiedzieć każdemu z was osobno, bo zajęłoby mi to tyle czasu, że już nic innego nie zdążyłabym zrobić. Oczywiście, bardzo się ucieszyłam z waszych listów i z tego, że lubicie książkę o Braciach Lwie Serce, ogromnie się ucieszyłam. Chcecie, żebym napisała jeszcze jedną książkę i opowiedziała wam, jak to było w Nangilimie. Otóż nie, nie będzie następnej książki o Jonatanie i Sucharku. Ale mogę teraz, w tym liście, opowiedzieć wam jak im się żyło w Zagrodzie Jabłoni w Nangilimie.

Mateusz tak się ucieszył, kiedy wjechali wieczorem konno jego zagrody, że się rozplakał. „Nie myślałem, że przyjdziecie i szybko — powiedział. — Kochany chłopaczku — zwrócił się Sucharka — teraz znowu mogę być twoim dziadkiem”.

Wokół zagrody Mateusza był duży sad. W najdalszym jego rośla ogromna, stara jabłoń. Sucharek, rzecz jasna z pomocą Jonatana, zbudował sobie na niej domek. Jabłoń znakomicie się nadawała do włazenia, łatwo było na nią się wdrapać. Nawet Mateusz i się wdrapał, ale szybko zszedł. Grim i Fialar zamieszkały w stajni Mateusza, bo Mateusz miał oczywiście stajnię. Miał też konia który nazywał się Strukas, dziwne imię, prawda? Koń Mateusza był szary i ogromnie miły, ale nie mógł tak dobrze skakać, jak Grim i Fialar. Mateuszowi co prawda nie zależało tak bardzo na skakaniu, chciał przede wszystkim móc na nim pojechać na przykład do wsi, kiedy musiał się tam wybrać, czy gdzie indziej.

Jonatan i Sucharek jeździli po lasach dokładnie tak, jak Jonatan zapowiedział, rozpalali ogniska to tu, to tam, nie było ich przez całe dni i noce, kąpali się i nurkowali w jeziorach, ale zawsze wracali do domu, do Mateusza.

W lasach Nangilimy nie mieszkali wilki, za to były dzikie psy. Któregoś wieczoru, kiedy Jonatan i Sucharek położyli się przy ognisku, przyszedł do nich taki dziki pies. Najpierw nie miał odwagi się zbliżyć, w końcu jednak położył się koło Sucharka, a kiedy Sucharek go pogłaskał, zamachał ogonem. Bo ten dziki pies chciał żyć z ludźmi. I tak stał się psem Sucharka, na imię otrzymał Mecke. Kiedy Sucharek i Jonatan odbywali konną przejażdżkę, zawsze biegł przy nich, bo chciał być cały czas z Sucharkiem.

Nie, Tengil i Katla nie przyszli do Nangilimy. Tengil dostał się do miejsca zwanego Lokrume. Nie wydaje mi się, żeby mu tam było zbyt źle, ale już nigdy więcej nie mógł ciemnieć i uciskać ludzi. Jossi też się dostał do Lokrume, a kiedy spotkali się z Tengilem, stanęli w miejscu i tylko wytrzeszczyli na siebie oczy, po czym prędko się odwrócili i odeszli każdy w swoją stronę. Nikt nie wie, dokąd poszli Katla i Karm. Sucharek spytał o to Jonatana, a Jonatan odpowiedział: „Może dostali się do Sorokaste”. Ale nie opowiedział nic o Sorokaste, więc ani ja, ani Sucharek nie wiemy, co to za miejsce.

Mama Jonatana i Sucharka przyszła najpierw do Nangijali. Tam zajęła się nią Sofia i mama u niej zamieszkała, w Zagrodzie Tulipanów. Potem, po jakimś czasie, obie przyszły do Nangilimy i zamieszkały razem w uroczym domku niedaleko Zagrody Jabłoni. Jonatan i Sucharek codziennie je odwiedzali — to było tak, jak gdyby mieli dwie mamy, tylko że nie mieszkali u nich.

No tak, teraz już mniej więcej wiecie, jak się wszystko ułożyło.

Dziękuję, żeście do mnie napisali. Hej, hej!

Astrid Lindgren